tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 16 (1371)
13-19.04.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

ZAKŁAMANA LEGENDA PRAWICY
SERGIUSZ PIASECKI – POPRZEDNIK BATYRA

JERZY MAKSYMIUK
ORKIESTRA W CZŁOWIEKU

PROF. ADAM GIEREK
ABSURDALNA POLITYKA KLIMATYCZNA UNII EUROPEJSKIEJ

ŚWIAT ZAKŁADNIKIEM NETANJAHU

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
16 >
9 771509 311607

InPost Paczkomat 24/7

Zamów PRENUMERATĘ

Darmowa dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 41272a67e2

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Kiedy Święczkowski straci immunitet?

Najpierw zawetował SAFE, a teraz robi cyrk z sędziami Trybunału Konstytucyjnego. O co tu chodzi? Nawet tak słaba ekipa w Kancelarii Prezydenta, jaką mu skompletowało PiS, musi rozumieć, że nie zbuduje tym pozycji Nawrockiego. Dlaczego więc strzela te samobóje?

Kto faktycznie decyduje o co ważniejszych krokach prezydenta? Czyja ręka trzyma sznur, który Nawrocki ma na szyi?

Po problemach z Andrzejem Dudą, poprzednim wynalazkiem, Kaczyński prawdopodobnie znalazł skuteczniejsze i bezpieczniejsze dla siebie rozwiązanie. Zobaczył, że z Nawrockim może wszystko, więc będzie z tego korzystał. Tak też jest w przypadku Trybunału Konstytucyjnego. Dla PiS to instytucja o największym znaczeniu, bo w przypadku łamania konstytucji Trybunał może wysłać na grzyby albo w inne miejsce także Nawrockiego. Na uporczywe łamanie konstytucji są przecież środki zaradcze. I gdy ta prawda zaczęła docierać do łamaczy prawa, zwarli szeregi w obronie Święczkowskiego i sędziów powiązanych z PiS. Robią wszystko, byle nie dopuścić do zmian w składzie TK. By Kaczyński dalej kontrolował sytuację i rządził na telefon.

Czeka nas więc bezwzględna wojna, w której stawką jest ustrój państwa. A na każdej wojnie, zwłaszcza tej, w której chodzi o konstytucję i prawo, ważne są kadry. Czyli ludzie mający wysokie kompetencje i charaktery wojowników. Obserwuję debaty prawników z obu stron tej wojny. Przyglądam się członkom obecnego Trybunału Konstytucyjnego i tym, których Sejm wybrał na nowe kadencje.

Jakaż przepaść jest między Krystyną Pawłowicz czy Stanisławem Piotrowiczem a Anną Korwin-Piotrowską, która przypomniała, że sędziowie nie ślubują prezydentowi. „To jest ślubowanie złożone całemu narodowi". Politycy PiS nazywający ten akt „farsą i teatrem politycznym", obrażają polski naród.

Porównuję byłych prezesów Trybunału – Andrzeja Zolla i Marka Safjana – z obecnym, czyli Bogdanem Święczkowskim. Politykiem, który jako prawa ręka Zbigniewa Ziobry doprowadzał sądownictwo i prokuraturę do zapaści. Jest jedynym prezesem TK w Europie, który ma zarzuty karne. Gdy zostanie pozbawiony immunitetu, będzie w takiej samej sytuacji jak jego wspólnik Ziobro.

Będzie jeszcze dużo kompromitujących wypowiedzi i gróźb ze strony urzędników prezydenta pod adresem sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Jednak w finale pisowski, dyspozycyjny Trybunał, z kuriozalnymi postaciami, przejdzie do historii. Ponurej i niechlubnej. Jako przestroga na przyszłość. Ostrzeżenie dla wyborców, jak blisko jest od manipulacji nastrojami do zamordyzmu. I złowrogiego cienia Kaczyńskiego. Nad wszystkim.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 41272a67e2

W NUMERZE

KRAJ

8 **Polska Partia Wojny**
Dla Trumpa zrobią wszystko

15 **Ochronka prawników PiS**
Neosędziowie bronią swoich

18 **Miliardy za błędy**
Arbitraże przegrywane przez Polskę

38 **Nie wstydzą się swojej przeszłości**
Olsztyńskie Stowarzyszenie Pokolenia

ZAGRANICA

11 **Świat zakładnikiem Netanjahu**
Co się kryje za agresywną polityką

42 **Tajemnica Watykanu i mafii**
– rozmowa z Raffaellą Notariale

54 **Odsalarnie wody ważniejsze niż ropa**
Strategiczne zakłady na celowniku

TECHNOLOGIE

22 **Cyfrowa suwerenność Europy**
Usługi lepiej chroniące prywatność

OPINIE

26 **Waldemar Karpa**
Pollicitatio nad Wisłą

30 **Adam Gierek**
Polityka klimatyczna Unii Europejskiej

HISTORIA

34 **Zakłamana legenda prawicy**
Sergiusz Piasecki wielkim pisarzem?

KULTURA

46 **Żyję muzyką, myślę dźwiękami**
Dwie rocznice Jerzego Maksymiuka

49 **Qulturalia**

50 **Sytuacje graniczne**
40. przegląd monodramów

66 **Kwiato-stany**
Nowe odczytania symboliki kwiatu

SPORT

52 **Simeone kocha Griezmanna**
Furda mundial, dzieje się w Europie!

OBSERWACJE

58 **Przysmak z lasu deszczowego**
Dzikie kakao

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Kiedy Święczkowski straci immunitet?

7 **Jerzy Bralczyk**
O języku na siłę

21 **Jan Widacki**
Kto się mniej spóźnił na pociąg?

25 **Andrzej Romanowski**
Wybudować grób

29 **Andrzej Szahaj**
Malinowski, Fleck i inni

33 **Roman Kurkiewicz**
Ani wojna, ani pokój, ani triumf, ani zgon

41 **Tomasz Jastrun**
Płonący krzyż

57 **Wojciech Kuczok**
Pikująca Szozda

50
KULTURA

SYTUACJE GRANICZNE
40. przegląd monodramów

52
SPORT

SIMEONE KOCHA GRIEZMANNA
Furda mundial, dzieje się w Europie!

58
OBSERWACJE

PRZYSMAK Z LASU DESZCZOWEGO
Dzikie kakao

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK (3)

eprasa.pl 41272a67e2

Siewcy polexitu

Mamy jakieś dyskusje: brzydkie, ładne, jakbyśmy byli arystokratami w Wersalu i porównywali peruczki. Pokutuje traktowanie zwykłych obywateli jak debili i indoktrynowanie ich. Później jedna strona debaty oburza się, że druga lepiej kłamie, niż kłamała poprzednia, więc pozostajemy w sporach estetycznych czy moralnych. Unia powinna być rozpatrywana jako wspólne pole do uprawiania polityki i póki da się tam dogadywać w różnych sprawach, jest potrzebna. Ale nikt nie mówił, że to nadal będzie polityka. Mieliśmy się stać Zachodem i sprawa załatwiona. Tak samo z NATO, a okazuje się, że sojusz również podlega polityce.

Siewcy polexitu

Strasznie Unia pozwala zbijać kapitał polityczny

Łukaszko Walczuk

•

Weźmy takie pozornie niezauważalne drobiazgi jak długa i ciągła praktyka w sprawach techniki. Kiedy już zostaniemy oderwani od wspólnego dostępu do know-how. Można krzyczeć, że coś jest proste jak konstrukcja cepa, jednak wyprodukowanie tego cepa może się okazać zadaniem ponad siły. Możemy się napawać widokiem broni wysoce nowoczesnej, plującej ogniem w zawrotnym tempie. A tu widać, jakie tempo jest wymagane do produkowania odpowiedniej ilości amunicji. A co z bardziej zaawansowaną technologią? Elektryczne auto, choćby Izerę, zrobić łatwo – karoseria, silnik i baterie. Ejże, łatwo? To gdzie ta Izera? Również z tego powodu nie możemy wycofać się z Unii Europejskiej. Nagle może się okazać, że papier toaletowy ponownie będzie rarytasem. Wcześniej to była jeszcze RWPG – braterstwo w biedzie. A dzisiaj?

Tadeusz Żyła

Neurochirurgia to gra zespołowa

Klika lat temu w „Przeglądzie" (32/2022) ukazał się wywiad Beaty Dżon-Ozimek z dr. n. med. Dariuszem Łątką z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu. Dr Łątka z synem Kajetanem, również doktorem nauk medycznych, wdrażali wtedy unikatową, endoskopową metodę leczenia kręgosłupa, w której pacjent prawie natychmiast po operacji wracał do normalnego życia. Metoda ta jest stale udoskonalana. Dzięki temu Oddział i Klinikę Neurologii Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Opolu opuszcza coraz więcej zdrowych pacjentów, którzy nie mieli już szans na normalne życie. A dzięki publikacji „Przeglądu" również moja żona trafiła do dr. Łątki. W odróżnieniu od wielu innych lekarzy dr Kajetan Łątka nie odmówił naprawy kręgosłupa, który był w tragicznym stanie, z groźbą postępującego paraliżu. Po kilku wizytach i analizie przypadku żony dr Kajetan Łąka zdecydował się na zabieg. Operacja udała się, żona wróciła do pełni sił i odzyskała radość życia. Lekarze z Opola okazali się prawdziwymi specjalistami od beznadziejnych przypadków.

Włodzimierz Syzdek, Warszawa

O sztuce myślenia do góry nogami

O sztuce myślenia do góry nogami

Bez rozliczenia przeszłości nie uregulujemy m.in. relacji polsko-ukraińskich. Na Ukrainie fani zbrodniczych dokonań UPA muszą być tego w pełni świadomi. Świadome muszą też być władze RP, które lansują pojednanie między naszymi narodami na potrzeby polityczne. Pojednania nie ma. Misja posła Kowala jest skazana na klęskę. Trudno nie zauważyć, że ukraińscy koledzy tego pana nadal czczą pamięć o tych, którzy odpowiadają za zbrodnie na obywatelach II RP (nie tylko na etnicznych Polakach).

Damian Paweł Strączyk

ZDJĘCIE TYGODNIA

Szóstka sędziów Trybunału Konstytucyjnego odebrała uchwały o wyborze i złożyła ślubowanie w Sali Kolumnowej Sejmu. Przysięgę powtórzyło dwoje sędziów zaprzysiężonych wcześniej przez prezydenta. Ten mimo zaproszenia nie wziął udziału w uroczystości na Wiejskiej. Warszawa, 9 kwietnia 2026 r.

FOT. ANNA STRZYŻAK/KANCELARIA SEJMU

eprasa.pl 41272a67e2

Sędziowie Trybunału Konstytucyjnego **Marcin Dziurda, Anna Korwin-Piotrowska, Krystian Markiewicz** i **Maciej Taborowski** oraz **Magdalena Bentkowska** i **Dariusz Szostek** złożyli ślubowanie w Sejmie. Wobec odmowy prezydenta Nawrockiego przyjął je marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty, w obecności byłych szefów Trybunału Konstytucyjnego.

•

Premier Tusk ujawnił wykryte przez ABW powiązania giełdy kryptowalut Zondacrypto z politykami. Fundacja Ziobry dostała 450 tys. zł, a fundacja posła Wiplera 70 tys. euro miesiąc przed głosowaniem nad wetem prezydenta wobec ustawy regulującej rynek kryptowalut.

•

Mamy duży problem z niestawianiem się pacjentów na umówione wizyty lekarskie, co zwiększa i tak długie kolejki. Okazuje się, że podobnie lekceważąco są traktowane turnusy w sanatoriach. **W latach 2024 i 2025 nie przyjechało na umówione terminy prawie 13,5 tys. pacjentów.**

•

W 2025 r. na zleceniach i umowach pokrewnych pracowało w Polsce **1,5 mln osób.**

•

1 mln 591 tys. zł zarobił w 2025 r. prezes NBP **Adam Glapiński**. Licząc dni robocze, było to ponad **6 tys. zł dziennie.**

•

Odwołano Pam Bondi, amerykańską prokuratorkę generalną nadzorującą śledztwa w sprawie Jeffreya Epsteina.

•

Po 127 latach funkcjonowania **zakończyła działalność kopalnia Wujek.**

PRZEBŁYSKI

IPN od Albanii do Mongolii

Karol Polejowski. Nie słyszeliście? Prawa ręka innego Karola. U Nawrockiego był wiceprezesem IPN. Wiernym i posłusznym. Liczy więc na awans. W numerze wielkanocnym „Naszego Dziennika" pochwalił się swoimi sukcesami. I wyjazdem z Nawrockim do Mołdawii. Po co? Namawia Mołdawian, żeby sobie założyli własny IPN.

Podobne rozmowy prowadzi z Albanią. A niedługo ruszy do… Mongolii. Światowa kariera Polejowskiego to nie przypadek. Według Karola P. jest tak, bo IPN to „wzorcowe rozwiązanie, które jest bardzo atrakcyjne". I tu zgoda. Polejowski wie przecież, że IPN wzorcowo doi budżet państwa. I wypłaca za to bardzo atrakcyjne pensje.

Modelowy trumpista

Cóż by bez niego zrobili Polacy? Zwłaszcza ci kochający Trumpa prawie tak mocno jak Nawrocki. Prawie, bo Batyra w tej miłości nikt nie prześcignie.

Choć Piotr Gursztyn („Sieci") bardzo się stara. Na dwa sposoby. Po pierwsze, tak wychwala globalne zasługi Trumpa, że ambasador Rose dopisał go do listy „Ameryka first, Trump first". Na czołowe miejsce. A po drugie, Gursztyn rozlicza się z krytykami Trumpa w specyficznym stylu tegoż ambasadora: „antyamerykańska szajba liberalno-lewicowych elit w Polsce", „antyamerykańskie wzmożenie", „antyamerykańska fobia" itd. Gursztyn cierpi. Bo na całym świecie tylko Trump nie jest frajerem.

PYTANIE TYGODNIA

Jak wpłynie na uczniów zakaz używania telefonów w szkole?

DR MAGDALENA ŚNIEGULSKA,
psycholożka, psychoterapeutka, USWPS

Odpowiedź na to pytanie to obecnie wróżenie z fusów. Sam ruch oceniam jako swoisty plaster na sumienie, który nie rozwiązuje problemów. W praktyce uczniowie tylko bardziej się kryją z używaniem telefonów. Musimy postawić na partycypację i wspólnie ustalać zasady funkcjonowania szkoły, bo sam zakaz niewiele zmienia. Kluczowa jest edukacja zamiast straszenia. Powinniśmy też zrezygnować z nadużywania słowa uzależnienie – semantyka ma znaczenie. Taki komunikat odbiera młodym poczucie wpływu, sprawia, że mówią: „To wina uzależnienia – nie mogę nic z tym zrobić". Pamiętajmy, że walka ze smartfonami to nie walka z przyczynami trudności. Telefon to tylko narzędzie, a niepokojące zjawiska, np. przemoc rówieśnicza, istniały mimo braku telefonów. Tymczasem dla wielu uczniów smartfon w szkole to ważne narzędzie, które wspiera w trudnej sytuacji.

DR MACIEJ DĘBSKI,
socjolog, prezes Fundacji Dbam o Mój Z@sięg

Wszystko zależy od sposobu wdrożenia zakazu. Badania prowadzone przez fundację pokazują, że bardzo duża część młodych osób w ogóle nie ma problemu z telefonem w szkole. Nieprawdą jest zatem twierdzenie, że urządzenia mobilne wpływają wyłącznie negatywnie na zdrowie psychiczne, co niesłusznie podnosi resort edukacji. Sam zakaz to za mało. Szkoła musi stworzyć przestrzeń, która pozwoli uczniom w kreatywny sposób wyładować poczucie, że coś im odebrano. Kluczowe jest stworzenie antidotum: atrakcyjnie zaaranżowane przerwy, dostęp do sportu i stref relaksu, a także wprowadzenie edukacji z zakresu higieny cyfrowej. Dla uczniów przebodźcowanych zakaz może stać się cennym odpoczynkiem, o ile szkoła zaoferuje im realne wsparcie i atrakcyjną alternatywę.

KRYSTYNA SZUMILAS,
posłanka KO, przewodnicząca sejmowej Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży

Zakaz wpłynie przede wszystkim na lepszą koncentrację i nauczy, że są w życiu momenty, gdy telefon musi pozostać niedostępny. To pierwszy krok wprowadzający zasady w chaosie informacyjnym. Przepisy powinny jednak uwzględniać wyjątki, np. monitorowanie zdrowia. Sama blokada nie rozwiąże wszystkich problemów – musimy równolegle uczyć dzieci świadomego korzystania z technologii oraz ochrony przed dezinformacją i uzależnieniami. Szkoła nie wystarczy, bo młodzież używa smartfonów głównie poza nią. Także dorośli muszą zrozumieć, że nadużywanie urządzeń przez najmłodszych jest po prostu niebezpieczne.

Rozmawiał Maciej Belowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, YOUTUBE

eprasa.pl 41272a67e2

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

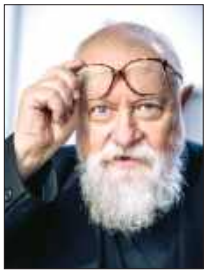

Jerzy Bralczyk

O języku na siłę

Zrządzenia i zrzędzenia

Mówienie o populizmie właściwie przestało już być zarzutem, skoro wszyscy się zgodzili, że trzeba mówić do targetu i że to od niego zależy, jak. Rzecz w tym, do jakiego targetu. Większość odbiorców, których można uznać za przyszłych wyborców, no, w każdym razie duża część, jak się zdaje, woli, jak do niej mówić twardo i mocno, i najlepiej nie po francusku. Słowo elity nadal brzmi niesympatycznie, i to niemal dla wszystkich, zazwyczaj nawet wymaga dość specjalnej artykulacji. Kiedy twardego języka używa ktoś z wysokim cenzusem, to nawet lepiej, poza tym jego rubaszna swojskość może imponować i zarazem niedowartościowanych dowartościowywać. Postrzega się go jako walącego prawdę prosto z mostu (prawda jest prosta), dostaje on też premię za to, co internet nazywa „niegryzieniem się w język", za „miażdżenie" przeciwnika. I za polskość.

Ci, co tego nie lubią, mogą piętnować brutalność i prostactwo, ale niewykluczone, że się w tym piętnowaniu pogubią i pokażą jako delikatne wykształciuchy, których przyjemnie drażnić. Albo, sprowokowani, będą próbować stosowania równie mocnych chwytów, co im nie wyjdzie – nie zyskają nowych zwolenników, a zniesmaczą dawnych.

Kto wie, czy językowe prowokacje polityków, w tym nominatów in spe, nie są obliczone bardziej na takie właśnie reakcje. Mam zresztą wrażenie, że tak sprowokowani obrażeni (częściej chyba obrażone) mogą swoimi wyrazistymi zachowaniami wywoływać niezamierzoną – nie bójmy się powiedzieć – estetyczną niechęć. Wulgaryzmy, w pewnych ustach brzmiące naturalnie, w innych smaku nie mają i nie dają. I na transparentach są niepotrzebne. Może okazjonalnie się sprawdzą, na chwilę, jako wywołane emocjami, ale zmieniają obraz nadawcy i w dłuższej perspektywie wywołują wrażenie jego niespójności.

Może lepszy byłby kostyczny humor à la marszałek, może symulowana dobrotliwość sugerująca mniej poważne traktowanie (broń Boże lekceważenie), może przesadne honorowanie, nawet komplementowanie – w każdym razie przyjmowanie broni przeciwnika w tej politycznej szermierce wydaje się niestosowne. Kto w ciebie kamieniem, ty najwyżej kamyczkiem. Kto toporem, ty floretem.

Ale nie po francusku.

■

eprasa.pl 41272a67e2

POLSKA PARTIA WOJNY

Zrobią wszystko, co Donald Trump każe

Robert Walenciak

„Ludzie Prawa i Sprawiedliwości oraz Karola Nawrockiego chcą wplątać Polskę w wojnę na Bliskim Wschodzie. Nie pozwolę na to. Przydałby się wam, nie tylko dziś, kubeł zimnej wody na głowę", napisał w lany poniedziałek Donald Tusk. No i internet się zapalił: czy Tusk nie przesadził, czy znów jedzie kijem po klatce z lwem, czy też coś jest na rzeczy.

Tusk nie przesadził. Mamy partię wojny. PiS i ośrodek prezydenta Nawrockiego uciekają od tego określenia, wołają, że to nie oni, ale fakty są nieubłagane. PiS i Nawrocki byli gotowi wciągnąć Polskę w wojnę z Iranem. I o tym mówili.

Dlaczego politycy PiS zawzięcie bronią Donalda Trumpa? I są w tym tak gorliwi i służalczy?

Najgłośniej mówił Marcin Przydacz, szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej, który w niedzielę wielkanocną zachęcał do pomocy Ameryce. Przekonywał w Polsat News, że europejscy sojusznicy z NATO powinni wesprzeć Stany Zjednoczone. Między innymi poprzez ewentualny udział w misji odblokowania zamkniętej przez Iran cieśniny Ormuz.

Zdaniem Przydacza część sojuszników zachodnich, „zwłaszcza tych, którzy mają odpowiednią flotę i odpowiedni sprzęt", powinna „w ramach jakiejś działalności koalicyjnej wesprzeć Amerykanów", z jednej strony w imię własnego interesu – w tym obniżenia cen energii – z drugiej w imię euroatlantyckiej solidarności. „Ja do tego ich bardzo mocno namawiam", podkreślał. A to, że atak na Iran był autorskim pomysłem Trumpa i Netanjahu i sojusznicy o tym nie zostali poinformowani? Że Trump raz nawoływał Europę, by się zaangażowała w ochronę cieśniny Ormuz (czyli w wojnę), innym razem wymyślał jej, że jest tchórzliwa i Ameryka jej nie potrzebuje? Przydacz na to również miał odpowiedź: „Dzisiaj jest taka, a nie inna sytuacja i trzeba się starać to sojuszniczo jakoś przeprowadzić, a nie się obrażać". Innymi słowy, zademonstrować wasalną lojalność.

O potrzebie zademonstrowania wasalnej lojalności mówił też Jacek Czaputowicz, szef MSZ w rządzie Mateusza Morawieckiego. „Współpraca w ramach sojuszu wymaga czegoś więcej niż kupowania broni, tak jakby Amerykanie nie mieli komu jej sprzedawać. Wymaga wychodzenia naprzeciw oczekiwaniom partnera, by i on uznał, że sojusz służy realizacji także jego interesów", tłumaczył Czaputowicz w Radiu TOK FM i w „Rzeczpospolitej". „Była szansa dla Polski, żeby może jedną baterię Patriot skierować do jakiegoś państwa arabskiego – załamywał ręce. – To przecież jest bardziej broń do obrony, a nam powinno zależeć, aby wykazać solidarność". Tymczasem nic takiego nie miało miejsca i „to jest wielki szok w Stanach Zjednoczonych, bo oni liczyli na to, że jesteśmy ich bliskim sojusznikiem".

„To jest bardzo niedobra sytuacja. Myślę, że są osoby w naszej polityce, które rozumieją powagę sytuacji – rozwodził się Czaputowicz, wskazując, że taką osobą jest Jarosław Kaczyński. – Jeżeli on by podjął teraz działania, żeby przekonać polskie społeczeństwo, to można by tę decyzję zmienić, i myślę, że warto to zrobić. To jest sytuacja moim zdaniem naprawdę niedobra, bo nasze wsparcie dla Stanów Zjednoczonych jest bardzo słabe". A powinniśmy prowadzić taką politykę, aby ciągle udowadniać Stanom Zjednoczonym, że nasze wsparcie dla nich jest supermocne. Wtedy nas zauważą i będą miały w swojej łaskawej pamięci.

Ten sposób myślenia prezentują politycy PiS. Adam Bielan lamentował, że działania Donalda Tuska odpychają nas od USA.

Posłowie PiS bronili też Ameryki Donalda Trumpa podczas debaty sejmowej dotyczącej regulowanych cen benzyny. Gdy posłowie koalicji przypominali, że wzrost cen paliw to efekt wojny z Iranem, odpowiadał im Zbigniew Kuźmiuk: „Wczoraj tu się odbyły gremialne ataki na prezydenta Trumpa i na Stany Zjednoczone. Nasz strategiczny partner, który udostępnia nam najwyższe technologie, jeśli chodzi o obronność. Powoduje, że tutaj stacjonuje 11 tys. żołnierzy. A państwo sobie, za przeproszeniem, gęby wycieracie Trumpem, który gwarantuje nam bezpieczeństwo. To są dopiero ruskie onuce, to jest dopiero prorosyjskość".

To wpisy i wypowiedzi z ostatnich dni. Gdy sięgniemy trochę dalej, zostaniemy zalani protrumpową wazeliną. Przykładem niech będzie weto Karola Nawrockiego do ustawy wdrażającej unijny Akt o usługach cyfrowych. Wprowadzenie tych regulacji pozwoliłoby choć częściowo ograniczyć samowolę amerykańskich big techów, które żerują na Polakach. Nawrocki był też gotów przystąpić do trumpowskiej Rady Pokoju, a Jarosław Kaczyński wprost wołał, że powinniśmy brać w niej

eprasa.pl 41272a67e2

Wizyta Karola Nawrockiego u Donalda Trumpa. Z tyłu od lewej: Jarosław Dębowski, Adam Bielan, Sławomir Cenckiewicz i Marcin Przydacz. Biały Dom, 3 września 2025 r.

udział – w tym celu wysupłać 1 mld dol. i wpłacić na jej konto.

Przykładem może być również Dominik Tarczyński, który zamieścił w sieci nagranie z chwili śmierci 37-letniego pielęgniarza Alexa Prettiego, zastrzelonego przez agentów ICE w Minneapolis. Opatrzył je podpisem: „Dobra robota, ICE".

Kilka dni później politycy PiS wywołali awanturę, ponieważ marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty ogłosił, że nie podpisze wniosku o przyznanie Donaldowi Trumpowi Pokojowej Nagrody Nobla, „bo na nią nie zasłużył". Mateusz Morawiecki domagał się w związku z tymi słowami odwołania Czarzastego z funkcji marszałka. „To facet, który wrzuca pod tramwaj nasze relacje z USA!", wykrzykiwał Janusz Cieszyński. A Przemysław Czarnek stwierdził w radiowej Trójce, że Czarzasty „naraża Polskę na skrajne niebezpieczeństwo". W RMF FM zadeklarował zaś, że bez wahania podpisałby się pod wnioskiem w sprawie Nagrody Nobla dla Trumpa. „Donald Trump rzeczywiście w ciągu ostatnich 12 miesięcy zrobił dużo więcej dla pokoju niż Barack Obama, kiedy dostał Nagrodę Nobla", mówił.

Jak więc widać, politycy PiS z popierania Trumpa we wszystkim zrobili swój znak firmowy. Nagroda Nobla, wytłumaczenie najgłupszych wypowiedzi, udział w wojnie – wszystko bez wahania.

Polska prawica wie, że pilnowanie amerykańskich interesów się opłaca.

Dorzućmy do tej grupy publicystów z pisowskich mediów. W ich opowieści Stany Zjednoczone są jedynym światowym hegemonem, niszczą wszystko, co chcą, i trzymanie się trumpowej poły to szczyt naszego szczęścia.

•

Dlaczego politycy PiS zawzięcie bronią Donalda Trumpa? Dlaczego są gotowi wepchnąć Polskę w jego awantury? I są w tym tak gorliwi i służalczy? Dlaczego stali się partią wojny? Składa się na to kilka rzeczy.

Po pierwsze, PiS i Nawrocki są zaangażowani w ruch MAGA, w alt-prawicową międzynarodówkę CPAC. To jest więź ideowa. Jak komuniści mieli swoją ojczyznę proletariatu, tak oni mają swoją. Przecież nie wiadomo dokładnie, kogo woli Tarczyński – Trumpa czy Kaczyńskiego. Ta więź ideowa oraz wspólna walka z Unią Europejską i z liberalnym porządkiem buduje braterstwo broni.

Wszyscy pamiętamy, jak Donald Trump zaangażował się w pomoc Karolowi Nawrockiemu podczas wyborów prezydenckich. To nie było tylko spotkanie przed kamerami, nad Wisłę przybył też zespół fachowców od kampanii wyborczych. Czy to zadecydowało o wyniku wyborów? Nikt tego nie wyliczy. Ale biorąc pod uwagę, jak niewielką różnicą głosów zakończyły się wybory prezydenckie, tej pomocy nie wolno lekceważyć.

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

eprasa.pl 41272a67e2

Po drugie, gorliwość PiS w byciu partią wojny wzmacnia ambasada USA. Tom Rose jest aktywnym ambasadorem, chętnie wtrącającym się w polskie sprawy. W Wielki Piątek zamieścił w portalu X wpis niewątpliwie uzgodniony z Departamentem Stanu. W pierwszej części lamentował nad Europejczykami, którzy „wiedzą, że Iranem rządzi fanatyczny reżim islamistyczny, który ma za sobą półwieczną historię apokaliptycznego terroryzmu i morduje dziesiątki tysięcy własnych obywateli, otwarcie wzywa do zniszczenia Izraela i zadania śmierci Ameryce oraz nadal buduje rakiety balistyczne w celu ochrony swojego programu nuklearnego", ale nie chcą pomagać Donaldowi Trumpowi. I są wyjątkowo niewdzięczni: „Powiedzmy sobie jasno – prezydent Donald Trump nigdy nie prosił Europy, by walczyła razem z nami. Wszystko, czego Donald Trump chciał, to pozwolenie na korzystanie z lotnisk i baz, które opłaciliśmy, obsadzaliśmy i utrzymywaliśmy, by bronić Europy. Nie żołnierzy. Nie eskalacji. Tylko dostępu. Nawet to okazało się zbyt trudne. Sojusze nie są trwałe, gdy jedna strona odmawia pomocy drugiej".

Stany Zjednoczone chciały więc pomocy czy nie chciały? Oczywiście chciały, ale tak, by Europa sama prosiła Trumpa o przyjęcie jej oferty. Z pozycji wiernego i oddanego wasala. Przydacz, Czaputowicz, Bielan, Kuźmiuk… Polska prawica w tej roli się melduje.

Po trzecie, politycy polskiej prawicy wiedzą, że pilnowanie amerykańskich interesów się opłaca. Nie tylko dlatego, że Donald Trump przyśle ekipę specjalistów od kampanii wyborczych, a algorytmy amerykańskich social mediów zostaną „dobrze" ustawione. Także dlatego, że Amerykanie potrafią się odwdzięczyć swoim zwolennikom. Los Andrzeja Dudy jest tu przykładem. Gdy Duda pożegnał się z Pałacem Prezydenckim, musiał przeżyć szok, bo wszyscy o nim zapomnieli. Ale w końcu pomocną dłoń wyciągnął do niego amerykański think-tank wspierający Trumpa – Heritage Foundation. Duda został tam zatrudniony jako Distinguished Visiting Fellow (czyli wybitny ekspert wizytujący). Nie wiemy za ile. Ale na pewno jest to kilkaset tysięcy dolarów rocznie.

Trump zaangażował się w pomoc Nawrockiemu podczas wyborów prezydenckich. Nad Wisłę przybył też zespół fachowców od kampanii wyborczych.

Odłóżmy sprawę apanaży na bok. Duda niemal od razu po zatrudnieniu dał dowody lojalności. Gdy Trump popełnił kolejny skandaliczny nietakt, mówiąc o żołnierzach armii sojuszniczych (czyli również o Polakach), że w Afganistanie nie było z nich pożytku, że „pozostawali trochę z tyłu, z dala od linii frontu", wziął amerykańskiego prezydenta w obronę. „Nie należy robić awantury z jednego zdania i »wielkiego halo«", tonował.

Jest jeszcze czwarty powód uległości ludzi PiS wobec USA. Otóż wielu z nich rzeczywiście wierzy, że nadskakiwanie Trumpowi, granie użytecznego wasala jak najbardziej Polsce służy. Bo gdy będziemy użyteczni, to Ameryka będzie trzymała w Polsce swoich żołnierzy, co zapewni nam bezpieczeństwo. A użyteczni możemy być dwojako: w popieraniu Ameryki Trumpa we wszystkim, np. w rozbijaniu Unii Europejskiej, oraz płacąc miliardy za amerykański sprzęt wojenny i amerykańskie technologie. Bo takiego kupca trzeba chronić.

Jeśli chodzi o założenie, że Ameryka będzie nas chroniła jako miejsce, gdzie łatwo zarabia się miliardy... To ryzykowna teza, zawsze bowiem ktoś nas może przebić. A w zasadzie już przebija. Kirył Dmitriew, specjalny wysłannik prezydenta Putina do USA, zdążył już zaproponować amerykańskim przyjaciołom Donalda Trumpa miliardowe biznesy: wspólną eksploatację Arktyki, wspólny handel węglowodorami, sprzedawanie rosyjskiego gazu Europie czy nawet wspólną inwestycję drogową – podziemny tunel między Alaską a Syberią. 115 km, 65 mld dol. W tej konkurencji nie mamy szans.

Możemy wciąż pytać, czy Trump uważa Polskę za ważniejszą dla swoich interesów od Rosji, ale dla PiS to i tak jest bez znaczenia. Partia wojny nie ma wahań, jest zwarta i gotowa. Kaczyński jest gotów dać miliard Trumpowi i wstąpić do Rady Pokoju, Czarnek przyznałby mu Nagrodę Nobla, Nawrocki wspiera wszystkim, co ma, Przydacz wspomógłby europejską flotą i pewnie naszymi trałowcami, Czaputowicz – Patriotami. Tacy nam się trafili politycy.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Polacy a Ameryka Trumpa

W sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" z marca 2026 r. zapytano, czy polscy żołnierze powinni wziąć udział w konflikcie na Bliskim Wschodzie, jeśli poprosiłyby o to Stany Zjednoczone. 84,7% badanych odpowiedziało „nie", 11% było za, a 4,4% nie miało zdania.

Natomiast w sondażu United Surveys by IBRiS dla Wirtualnej Polski, przeprowadzonym w dniach 27-29 marca 2026 r., zadano pytanie: „Czy uważasz Stany Zjednoczone za stabilnego i wiarygodnego gwaranta bezpieczeństwa dla Polski?". Z tą opinią zgodziło się 40,6% Polaków (9,4% było o tym zdecydowanie przekonanych). Przeciwnego zdania było 54,5% badanych. 4,9% respondentów nie miało zaś w tej sprawie opinii.

Co interesujące, w grupie wyborców koalicji rządzącej aż 77% respondentów nie ufa USA. Zupełnie inne stanowisko zajmują wyborcy PiS. Aż 87% uważa Stany Zjednoczone za wiarygodnego partnera.

W przypadku sympatyków Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna – 58% nie widzi w USA stabilnego gwaranta bezpieczeństwa, przeciwnego zdania jest 42% respondentów.

eprasa.pl 41272a67e2

Jakub Katulski

ŚWIAT ZAKŁADNIKIEM NETANJAHU

Skutecznie przekonał Izraelczyków o ich wyjątkowości

Agresywna polityka zagraniczna Beniamina Netanjahu okazuje się kosztowna dla społeczności żydowskich w Europie i USA. Coraz częściej obok wyrazów poparcia dla Palestyńczyków i solidarności z mieszkańcami bombardowanej Strefy Gazy obserwujemy incydenty antysemickie. W dyskusjach internetowych, nawet w Polsce, nietrudno o komentarze, których autorzy sugerują, że „Hitler miał rację", lub doszukują się odpowiedzialności wszystkich Żydów za działania Izraela. Poza internetem dochodzi do realnych aktów przemocy. W metropolii Toronto w marcu w ciągu kilku dni ostrzelano trzy synagogi. 10 marca francuska policja aresztowała dwóch braci, mających obywatelstwo włoskie i marokańskie, pod zarzutem planowania „morderczego i antysemickiego" ataku, a 23 marca w Londynie podpalono cztery karetki żydowskiej organizacji charytatywnej Hatzola. Rzeczywistość społeczności żydowskich to dziś przede wszystkim funkcjonowanie w lęku.

Według UNESCO 61% nauczycieli w Unii Europejskiej styka się w swoich klasach z kłamstwem oświęcimskim, a co 10. nauczyciel ma z nim do czynienia często. Nawet w europejskiej polityce antysemityzm jest już narzędziem wykorzystywanym wprost. Pomijając błazenady Grzegorza Brauna, jego partia Konfederacja Korony Polskiej protestowała przeciwko Krajowej Strategii przeciwdziałania antysemityzmowi i wspierania życia żydowskiego na lata 2025-2030, nazywając ją „żydowskim faszyzmem" i przekonując, że antysemityzm to „rdzeń programu supremacji" wprowadzanego przez diasporę żydowską.

Netanjahu mierzy się z oskarżeniami o zbrodnie wojenne i przeciwko ludzkości.

Izraelczycy dumni z wojny

Paliwem dla antysemickich postaw i retoryki jest trwająca nieprzerwanie od dwóch i pół roku intensywna wojna prowadzona przez Izrael na kilku frontach. Jej najnowszą odsłoną jest agresja na Iran i Liban. Wojna w Iranie chwilowo zwolniła, gdy Trump triumfalnie ogłosił zawieszenie broni (choć kilka godzin wcześniej groził zniszczeniem całej cywilizacji w Iranie). Teheran odebrał to pozytywnie, bo przedstawiony przez Trumpa 10-punktowy plan zawieszenia broni w istocie jest zwycięstwem Irańczyków i odpowiada ich potrzebom: od gwarancji zakończenia działań zbrojnych, przez obietnice wnoszenia opłat w wysokości 2 mln dol. od statku przeprawiającego się przez cieśninę Ormuz, aż po zdjęcie sankcji. Rzeczniczka prasowa Białego Domu Karoline Leavitt zaznaczyła jednak, że ten plan stanowi jedynie podstawę do negocjacji.

Izraelczycy są niezadowoleni z tego, że Trump zdecydował się na zawieszenie broni. W ich oczach to zdrada. Powszechne poparcie obywateli dla agresywnych wojen i głębokie przekonanie, że wszelkie działania ich żołnierzy są uzasadnione, to pokłosie lat wykorzystywania

eprasa.pl 41272a67e2

przez Netanjahu wojennej retoryki. A izraelski premier potrafi skutecznie przekonywać rodaków, że funkcjonują w oblężonej twierdzy, którą tylko on jest w stanie obronić.

Wielki Brat za oceanem

Do realizacji celów w Libanie i w Iranie kluczowe dla Netanjahu jest partnerstwo z Donaldem Trumpem. Lecz osobista sympatia polityków nie jest jedyną odpowiedzią na pytanie, jak Izraelowi udało się wciągnąć Waszyngton w wojnę, której skutki odczuwa cały świat. Odpowiedzią nie są też popularne w internecie spekulacje dotyczące haków, jakie na Trumpa miał zbierać Mosad za pośrednictwem finansisty pedofila Jeffreya Epsteina. Ten ostatni przez lata utrzymywał bliskie relacje z amerykańskim prezydentem, a jednocześnie finansował izraelskie organizacje, w tym wspierające żydowskie osadnictwo na terytoriach okupowanych.

Netanjahu długo budował relacje z wieloma kluczowymi postaciami z bliskiego otoczenia Trumpa. Przyjaźnił się z Charlesem Kushnerem, ojcem Jareda Kushnera, męża najstarszej córki Donalda Trumpa – Ivanki. Charles, prawnik, biznesmen i filantrop wspierający hojnie kampanie prezydenckie Trumpa, został przez Netanjahu w 2007 r. umieszczony na liście, która wyciekła do mediów, a zawierała nazwiska potencjalnych darczyńców. Według Jewish Telegraphic Agency Jared jeszcze jako nastolatek miał użyczyć Netanjahu swojej sypialni, gdy ten zatrzymał się w domu Kushnerów. Być może właśnie ta bliskość sprawiła, że Trump powierzył zięciowi przewodniczenie zespołowi, który w 2020 r. ogłosił plan pokojowy w celu zażegnania konfliktu izraelsko-palestyńskiego, nazywany „umową stulecia". Plan ten ku radości Netanjahu Palestyńczycy odrzucili, gdyż nie był odpowiedzią na ich potrzeby, za to faworyzował Izrael.

Jared Kushner był też autorem przemowy Trumpa wygłoszonej w 2016 r. podczas corocznej konferencji American Israel Public Affairs Committee (AIPAC) – kluczowej organizacji lobbującej na rzecz Izraela wśród amerykańskich polityków. Barak Ravid na łamach dziennika „Ha-Arec" zauważył, że Kushner wcześniej spotkał się z izraelskim ambasadorem Ronem Dermerem, zaufanym człowiekiem Netanjahu, a duże fragmenty przemowy „brzmiały, jakby były cytowane słowo w słowo z notatek premiera Netanjahu".

AIPAC nie patrzy na afiliacje partyjne – zbiera dotacje zarówno od demokratów, jak i od republikanów, wykorzystując te środki przede wszystkim do wspierania w prawyborach tych kandydatów, których uważa za najlepszych dla Izraela. Ten przypadek jest o tyle istotny, że AIPAC był największym podmiotem finansującym kampanie polityczne w Stanach Zjednoczonych, w cyklu wyborczym 2023-2024 przeznaczając na ten cel 127 mln dol. – częściowo (ok. 55 mln) przez powiązany Super PAC United Democracy Project.

Działania dyplomatyczne Beniamina Netanjahu w ostatnim roku koncentrowały się właśnie na relacjach izraelsko-amerykańskich, w samym 2025 r. Bibi dwukrotnie odwiedził Stany Zjednoczone, spotykając się z Donaldem Trumpem, ale także gościł w Izraelu delegacje obu izb Kongresu czy też wiceprezydenta J.D. Vance'a.

> Rzeczywistość społeczności żydowskich to dziś funkcjonowanie w lęku.

Bliscy Europejczycy

W 2025 r. mobilność Netanjahu była w znacznym stopniu ograniczona przez nakaz aresztowania wydany przez Międzynarodowy Trybunał Karny w związku z zarzutami ludobójstwa popełnianego na Palestyńczykach. To sprawiło, że rząd Netanjahu skupił się raczej na wizytach w krajach „bezpiecznych", a z niektórymi europejskimi liderami spotykał się w Izraelu. Przede wszystkim wysiłki skoncentrował na tradycyjnie proizraelskich Niemczech, Węgrzech i Czechach. Izrael dwukrotnie odwiedził minister spraw zagranicznych RFN Johann Wadephul, a oprócz niego przyjechali tam niemiecki prezydent Frank-Walter Steinmeier, kanclerz Friedrich Merz i czeski minister spraw zagranicznych Jan Lipavský.

Największe poruszenie wywołała wizyta Netanjahu na Węgrzech. Spotkanie z Viktorem Orbánem pokazało nie tylko polityczną bliskość obu premierów, ale nade wszystko ich brak poważania dla instytucji prawa międzynarodowego. O ile w przypadku Netanjahu jest to zrozumiałe – Izrael nie uznaje jurysdykcji Międzynarodowego Trybunału Karnego – o tyle w przypadku Węgier zaproszenie izraelskiego przywódcy, na którym ciążą poważne zarzuty, było wyraźną wskazówką, że Orbán nie ma zamiaru honorować umów międzynarodowych, jeśli przeszkadzają mu w relacjach dwustronnych.

Także polski rząd, po kilku dniach gorącej debaty w mediach społecznościowych, poinformował w styczniu 2025 r., że Beniamin Netanjahu może swobodnie przebywać na terytorium Polski i nie zostanie zatrzymany zgodnie z nakazem MTK, jeśli zdecyduje się przyjechać na obchody rocznicy wyzwolenia byłego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz-Birkenau.

Kara śmierci dla Palestyńczyków

Coraz trudniejsze są jednak relacje z resztą Europy. Mimo wezwań Trumpa do wojny w Iranie nie dołączyli europejscy sojusznicy, a rządy Francji, Wielkiej Brytanii i Hiszpanii nazwały ją nielegalną (choć rząd w Londynie i tak zezwolił amerykańskim lotnikom na korzystanie z baz na swoim terytorium do działań zbrojnych).

Oliwy do ognia dolało szczególnie głosowanie w Knesecie 30 marca. Stosunkiem głosów 62 do

eprasa.pl 41272a67e2

Przed izraelskim premierem stoi wyzwanie: wygrać kolejne wybory.

47 przeforsowano ustawę wprowadzającą karę śmierci przez powieszenie jako domyślną sankcję dla osób skazanych za terroryzm, jeśli w akcie terrorystycznym ktoś zginął. W myśl nowego prawa osoby pod izraelską administracją wojskową – czyli de facto wyłącznie Palestyńczycy – skazane przez sądy wojskowe będą poddawane egzekucjom w ciągu 90 dni od wyroku, a prokuratorzy nie będą musieli wnioskować o karę śmierci. Zamiast tego sędziowie będą musieli udokumentować wyjątkowe okoliczności, jeśli zdecydują się zastosować karę dożywotniego pozbawienia wolności.

Przegłosowane przepisy określane są jako dyskryminujące m.in. przez Amnesty International, ale również przez wiele postaci izraelskiej opozycji czy partię Fatah oficjalnie rządzącą w Autonomii Palestyńskiej. A to dlatego, że na Zachodnim Brzegu Jordanu obowiązują odrębne porządki prawne – Palestyńczycy odpowiadają przed sądami wojskowymi, a izraelscy osadnicy przed cywilnymi. Wygląda więc na to, że gdy żydowscy osadnicy zabiją Palestyńczyka, nie będzie im groziła kara śmierci, bo sądy cywilne nie będą wydawać takich wyroków.

Po kontrowersyjnym głosowaniu odbyło się jeszcze bardziej kontrowersyjne świętowanie – minister bezpieczeństwa publicznego Itamar Ben Gwir wraz z innymi parlamentarzystami z jego ugrupowania Ocma Jehudit (Żydowska Siła), z wpiętymi w klapy garniturów znaczkami w kształcie szubienicy, wznosili toasty szampanem. Nowe przepisy być może zostaną jeszcze odrzucone przez Sąd Najwyższy, ale nie zmieni to faktu, że zarówno parlamentarna prawica, jak i większość Izraelczyków od lat popiera wprowadzenie takiego rozwiązania. Już w 2017 r. badanie Israel Democracy Institute pokazało, że 70% oczekuje wprowadzenia kary śmierci za terroryzm. W lipcu 2024 r. na Uniwersytecie Reichmana w Herclijji prof. Asif Efrat opublikował badanie, z którego wynika, że 64,5% Izraelczyków popiera karę śmierci, a sprzeciwia się jej zaledwie 19,2%. Trudno jeszcze o badania reakcji opinii publicznej na ostatnie głosowanie w Knesecie, ale niewiele wskazuje na to, by sytuacja miała się odwrócić.

Netanjahu mógł się zdecydować na przepchnięcie kontrowersyjnej ustawy z dwóch powodów. Przede wszystkim politycy Ocma Jehudit zapowiadali, że kara śmierci dla terrorystów jest ich warunkiem koalicyjnym. A bez skrajnej prawicy Netanjahu nie ma szans na budowę koalicji rządowej po nadchodzących wyborach. Po piętach depcze mu bowiem już dziś dawny koalicjant Naftali Bennett – także przedstawiciel prawicy, ale starający się skapitalizować niezadowolenie tych wyborców, którzy chcą polityki twardej ręki wobec Palestyńczyków, silnej armii i rozwoju osadnictwa na Zachodnim Brzegu, lecz zarazem są zmęczeni aferami korupcyjnymi i ustępstwami wobec ultraortodoksów, którzy wciąż wzbraniają się przed obowiązkiem służby wojskowej.

Drugi powód to wyczucie czasu. Netanjahu zdaje sobie sprawę z tego, że z inną amerykańską administracją niż ta Trumpa może mieć trudności z przepychaniem tak niepopularnych pomysłów jak wzmiankowana ustawa, przesunięcie strefy buforowej w Libanie do rzeki Litani (czyli zajęcie ok. 15% terytorium kraju) bądź zniszczenie irańskiej gospodarki. To ostatnie okazało się rzeczywistym celem wojny z Iranem, bo o zmianie reżimu, którą ten konflikt był legitymizowany w pierwszych dniach, nie wspomina już ani Netanjahu, ani Trump, pozostawiając środowiska irańskich monarchistów w diasporze jedynie z kacem moralnym.

Polityka odpierania oskarżeń

Zakończenia konfliktu izraelsko-palestyńskiego i uznania palestyńskiej podmiotowości coraz głośniej domagają się Hiszpania i Irlandia. Hiszpański premier Pedro Sánchez nazwał ustawę o karze śmierci „krokiem w kierunku apartheidu", a Helen McEntee, ministra spraw zagranicznych Irlandii, podkreśliła, że przepis w swojej naturze jest dyskryminujący.

To oczywiście tylko słowa, ale wyrażają zmieniające się nastroje. W całej Europie liczne partie opozycyjne domagają się zmian w podejściu do Izraela, czy to przez zawieszenie udziału tego kraju w programie Horyzont Europa, wspierającym inicjatywy badawcze, czy poprzez zawieszenie umowy stowarzyszeniowej. 8 kwietnia w poście na platformie X Pedro Sánchez wezwał społeczność międzynarodową, by pociągnęła Netanjahu do odpowiedzialności za łamanie prawa międzynarodowego, i podkreślił, że Unia Europejska musi zawiesić umowę stowarzyszeniową. Zresztą Sánchez i jego minister

FOT. SHUTTERSTOCK (2),TOSHIYUKI FUKUSHIMA/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 41272a67e2

spraw zagranicznych José Manuel Albares regularnie wzywają inne kraje UE do uruchomienia mechanizmów sankcyjnych wobec Izraela.

Bibi mierzy się też z licznymi oskarżeniami o zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciwko ludzkości czy stosowanie dyskryminacyjnej polityki wobec Palestyńczyków. W lutym 2022 r. głośnym echem w światowych mediach odbił się raport Amnesty International nazywający odrębne porządki prawne, w których funkcjonują Izraelczycy i Palestyńczycy, apartheidem. We wrześniu 2025 r. komisja śledcza ONZ przedstawiła Radzie Praw Człowieka raport, w którym stwierdziła, że Izrael „ponosi odpowiedzialność za niepodejmowanie działań mających na celu zapobieżenie ludobójstwu, za dopuszczenie się ludobójstwa oraz za brak ukarania sprawców ludobójstwa na Palestyńczykach w Strefie Gazy". Kilka miesięcy wcześniej, w lipcu, izraelska organizacja B'Tselem opublikowała raport zatytułowany „Nasze ludobójstwo".

A to tylko wierzchołek góry lodowej licznych oskarżeń, które dla wielu państw mogłyby być ciosem wizerunkowym, uderzeniem w podstawy relacji międzynarodowych. Izraelscy dyplomaci są jednak wprawieni w publikowaniu dementi.

Potrafią także przekonywać polityków i intelektualistów, że w istocie to Izrael ma rację w konflikcie, do aktów ludobójstwa nie dochodzi, Siły Obrony Izraela realizują wyłącznie prawo do samoobrony, a ludność cywilna ginie jako przypadkowe ofiary lub z rąk palestyńskich organizacji bojowych. Tak skonstruowana narracja jest na tyle skuteczna, że Netanjahu nie stracił najważniejszych partnerów i wciąż unika sankcji oraz izolacji na arenie międzynarodowej. Rozumiejąc jednak zmieniającą się sytuację w Europie, musi poszukiwać przyjaciół gdzie indziej. Dlatego tak ważne w narracji izraelskich dyplomatów okazały się tzw. porozumienia abrahamowe, szczególnie normalizacja relacji ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi.

Netanjahu korzysta również z przychylności indyjskiego premiera Narendry Modiego, który przebywał z oficjalną wizytą w Izraelu ledwie dwa dni przed atakiem na Iran. Może to sugerować, że był częściowo poinformowany o izraelskich planach. Stosunki z Modim są tak istotne, że 25 lutego przewodniczący Knesetu Amir Ochana zawiesił na szyi indyjskiego premiera Medal Knesetu. Rzecz w tym, że medal ten został wymyślony specjalnie na potrzeby wręczenia go Modiemu.

Dziś mówi się o strategicznym partnerstwie, które umożliwia obu krajom współpracę w dziedzinie wojskowości, zwłaszcza w rozwoju technologii sztucznej inteligencji i cyberbezpieczeństwa, ale także w zakresie rolnictwa czy zarządzania zasobami wodnymi. Dla Indii oznacza to istotną zmianę w polityce zagranicznej – dotychczas jednym z głównych partnerów był Iran, a Indie korzystały regularnie z importu surowców energetycznych przez cieśninę Ormuz.

Czego chce Netanjahu?

Przed izraelskim premierem stoi wyzwanie: wygrać kolejne wybory, rozpisane na październik tego roku, w których musi zapewnić sobie wsparcie prawicowych koalicjantów, bo na bardziej umiarkowane partie nie ma co liczyć. Choć Bennett również może chcieć sięgnąć po głosy prawicowych wyborców i przychylność prawicowych ugrupowań, Netanjahu ma asa w rękawie. Będzie przekonywał Izraelczyków, że zmiana przywódcy w czasie konfliktu zbrojnego jest złym pomysłem, a on sam przecież może się poszczycić wybiciem lub choćby spiłowaniem zębów Iranowi, Hezbollahowi i Hamasowi. Destabilizacja regionu, która stanowi cenę kolejnych izraelskich działań, z punktu widzenia Izraela jest korzystna, bo osłabia najważniejszych rywali.

Mimo że deklarowane cele kolejnych operacji nie były osiągane i nie przyniosły długotrwałego spokoju, przynajmniej odwróciły uwagę Izraelczyków i izraelskich mediów od ciągnącego się od lat procesu korupcyjnego. Najnowszą odsłoną tej afery jest kwestia ułaskawienia, o które Netanjahu formalnie wniósł do prezydenta Icchaka Herzoga w ubiegłym roku. W ostatnich tygodniach prezydent otrzymał opinię prawną Ministerstwa Sprawiedliwości, na podstawie której ma zamiar podjąć decyzję. Póki jednak toczą się działania zbrojne, Bibi nie musi się martwić o wścibskie media, bo na pierwszych stronach gazet i w głównych wydaniach dzienników telewizyjnych najważniejsze jest bezpieczeństwo.

Jakub Katulski

NIE TYLKO BRAUN
RELACJE POLSKO-ŻYDOWSKIE I MOWA NIENAWIŚCI

Książkę można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę na konto fundacji „Przeglądu": 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821, Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, lub przez sklep internetowy sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 41272a67e2

Ochronka prawników PiS

Upolitycznieni sędziowie i prokuratorzy działający pod dyktando PiS są bezkarni

Andrzej Sikorski

Sędzia Jakub Iwaniec powinien siedzieć na ławie oskarżonych za liczne przestępstwa, których się dopuścił, ale – jak ustaliła „Gazeta Wyborcza" – wrócił do orzekania w VIII Wydziale Karnym Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa. W referacie Iwańca do rozpatrzenia jest 250 spraw, w tym kilka dotyczy pijanych kierowców. Tak więc pisowski sędzia, któremu prokuratura chce postawić zarzut prowadzenia samochodu w stanie nietrzeźwości (za co grożą nawet trzy lata więzienia), będzie orzekał w imieniu Rzeczypospolitej o winie innych pijaków za kierownicą. Czegoś takiego nie wymyśliłby nawet mistrz satyry Stanisław Bareja!

Pijaństwo, hejt i matactwa

Przypomnijmy: według ustaleń prokuratury 11 października 2025 r. Jakub Iwaniec (mając jakieś 2 promile w wydychanym powietrzu) stracił panowanie nad samochodem i uderzył w drzewo. Do wypadku doszło w pobliżu jego domu, prawnikowi nic się nie stało, wycofał samochód na drogę i zaparkował na swojej posesji. Świadkami zdarzenia były dwie kobiety, krewne jego sąsiadki, które o mało nie zostały potrącone. Iwaniec feralnego dnia był na pijackiej imprezie z kolegami. Do domu został odwieziony przez znajomych, ale po jakimś czasie zgłodniał, wsiadł do auta i pojechał do pizzerii. Obsługa lokalu i klienci zeznali, że pan sędzia był mocno wstawiony – chwiał się na nogach i bełkotał. Chciał zamówić piwo, ale mu odmówiono.

Prokuratura zebrała solidny materiał dowodowy, m.in. zeznania kilkunastu świadków, protokoły oględzin auta i miejsca zdarzenia, ekspertyzę toksykologiczną i opinie biegłych. 27 października 2025 r. do Izby Odpowiedzialności Zawodowej Sądu Najwyższego skierowano wniosek o uchylenie immunitetu Iwańcowi. Bez tego nie można postawić zarzutów i skierować aktu oskarżenia do sądu. Sprawa miała zostać rozpoznana dopiero 24 marca br., ale decyzją neosędzi Marii Szczepaniec spadła z wokandy. Kolejny termin wyznaczono na maj.

Według ustaleń prokuratury 11 października 2025 r. Jakub Iwaniec, mając jakieś 2 promile w wydychanym powietrzu, stracił panowanie nad autem i uderzył w drzewo.

Wcześniej, w czerwcu 2024 r., prokuratura złożyła do IOZ wniosek o uchylenie immunitetu Iwańcowi za znieważenie Waldemara Żurka, wówczas sędziego Sądu Okręgowego w Krakowie. Chodzi o wpisy na twitterowym koncie FigoFago, gdzie opisywano Żurka jako „złodzieja", „gościa bez honoru", „osła Temidy" i „oszusta podatkowego". Sprawa jest odpryskiem afery hejterskiej, ale neosędzia Marek Motuk uznał, że prokuratorzy nie udowodnili, że to Iwaniec szkalował Żurka. Mało tego! Motuk stwierdził, że mogło nie dojść do pomówienia Żurka, a prokuratura powinna sprawdzić,

eprasa.pl 41272a67e2

czy nienawistne wpisy zawierają prawdę (sic!).

Niemal dwa lata na rozpatrzenie w IOZ czeka wniosek o uchylenie immunitetu Iwańcowi w sprawie afery hejterskiej. Współpracownik Zbigniewa Ziobry miał działać wspólnie z innymi propisowskimi prawnikami w zorganizowanej grupie przestępczej, której celem było szkalowanie (głównie za pośrednictwem mediów społecznościowych i portali internetowych) sędziów sprzeciwiających się upolitycznieniu wymiaru sprawiedliwości. W ten sposób chciano nie tylko skompromitować niewygodnych sędziów, ale też odsunąć ich od piastowania stanowisk w sądownictwie, a także zainicjować wobec nich postępowania dyscyplinarne. Wykorzystywano do tego materiały z akt osobowych, które znajdowały się w Ministerstwie Sprawiedliwości, w tym informacje majątkowe, osobiste i dane wrażliwe.

Z ujawnionych przez Onet informacji wynika, że Iwaniec przekazał Emilii Szmydt vel Małej Emi (została skazana prawomocnie za szkalowanie sędziego Waldemara Żurka) wiele informacji dotyczących życia prywatnego Krystiana Markiewicza, prezesa Stowarzyszenia Sędziów Iustitia. Były to m.in. numery telefonów sędziego, jego domniemanej kochanki i dane dziecka Markiewicza. W rozmowach z Małą Emi Iwaniec mówił o Markiewiczu, że jest „alimenciarzem", „chujem", „jebaką" i „skurwielem". „Trzeba mu ostro dojebać", pisał Iwaniec do koleżanki hejterki.

Kolejny wniosek prokuratury o uchylenie immunitetu Iwańcowi został złożony do IOZ w lipcu 2024 r. Pan sędzia, który za rządów PiS był zastępcą rzecznika dyscyplinarnego przy Sądzie Okręgowym w Warszawie, m.in. ukrywał akta postępowań dyscyplinarnych przed nowymi rzecznikami dyscyplinarnymi powołanymi przez Adama Bodnara. Jednak neosędzia IOZ Paweł Wojciechowski nie zgodził się na uchylenie Iwańcowi immunitetu.

Sami swoi

Izba Odpowiedzialności Zawodowej Sądu Najwyższego została utworzona z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy w 2022 r. w miejsce nielegalnej Izby Dyscyplinarnej, która miała być sądem kapturowym dla niezależnych sędziów i prokuratorów. Jej likwidacji domagała się Komisja Europejska po wyrokach wydanych przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej i Europejski Trybunał Praw Człowieka. PiS poszło na pozorne ustępstwa, licząc na odblokowanie miliardów złotych dla Polski z Krajowego Planu Odbudowy. Problem w tym, że IOZ umeblowało dwóch polityków: prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki. Pierwszy wybrał 11 sędziów z 33 kandydatów wylosowanych przez pierwszą prezes Sądu Najwyższego neosędzię Małgorzatę Manowską, a drugi kontrasygnował te decyzje.

Izba Odpowiedzialności Zawodowej Sądu Najwyższego została utworzona z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy w 2022 r.

Legalność IOZ jest kwestionowana przez prawników. W 2024 r. sędzia Sądu Najwyższego Barbara Skoczkowska, która została oddelegowana do orzekania w Izbie Odpowiedzialności Zawodowej, stwierdziła w wydanym orzeczeniu, że IOZ ma „strukturalną i ustrojową" wadę, bo m.in. sędziów do niej wybrał prezydent za zgodą premiera. Wybór ten nie był przypadkowy (w większości byli to wspierający PiS i wadliwie powołani neosędziowie), prezydent nie uzasadnił, dlaczego wybrał tych, a nie innych sędziów, nikt też nie pytał sędziów, czy chcą orzekać w nowej izbie (część nie chciała). Jak stwierdziła sędzia Skoczkowska, IOZ nie jest sądem niezawisłym i bezstronnym, a prawo do procesu przed niezależnym i ustanowionym ustawą sądem gwarantują konstytucja, Europejska Konwencja Praw Człowieka i Traktat o Unii Europejskiej.

Obecnie w IOZ orzeka siedmioro sędziów, w tym pięcioro neosędziów wskazanych przez PiS. Są to: Tomasz Demendecki, Marek Dobrowolski, Maria Szczepaniec, Marek Siwek i Paweł Wojciechowski. Towarzystwo to skutecznie blokuje rozliczenia sędziów i prokuratorów związanych z dawną władzą.

Oprócz sędziego Jakuba Iwańca prokuratura chce pozbawić immunitetów tzw. rzeźników Zbigniewa Ziobry, czyli głównych rzeczników dyscyplinarnych sądów powszechnych, którzy represjonowali niezależnych sędziów. Skierowała do IOZ wnioski w sprawie uchylenia immunitetu Piotrowi Schabowi, Michałowi Lasocie i Przemysławowi Radzikowi oraz sędziom zamieszanym w aferę hejterską: Łukaszowi Piebiakowi i Arkadiuszowi Cichockiemu. Żadnemu z nich włos z głowy nie spadł.

Niektóre orzeczenia IOZ są wyjęte żywcem z pisowskiej narracji. W sprawie immunitetu Piotra Schaba neosędzia Maria Szczepaniec umorzyła postępowanie, gdyż według niej chrzestny dziecka Zbigniewa Ziobry i świadek na jego ślubie Dariusz Barski nieprzerwanie pełni funkcję prokuratora krajowego. A prokurator Dariusz Makowski, naczelnik Wydziału Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej, nie był uprawniony do złożenia wniosku o uchylenie immunitetu Schabowi, bo został powołany na to stanowisko przez Jacka Bilewicza, następcę Barskiego, czyli osobę nieuprawnioną (sic!).

Sędzia Jakub Iwaniec powinien siedzieć na ławie oskarżonych za liczne przestępstwa, których się dopuścił, ale wrócił do orzekania.

Neosędzia Szczepaniec poszła za ciosem i nie dopuściła do udziału w postępowaniu prokuratora

eprasa.pl 41272a67e2

Do prokuratury nadzorowanej przez Jerzego Ziarkiewicza kierowane były „najgorętsze" politycznie śledztwa.

Sławomira Głuszka z Prokuratury Krajowej, bo, jak stwierdziła, został on delegowany do Prokuratury Krajowej nielegalnie przez nielegalnego prokuratora krajowego Dariusza Korneluka.

Usłużni prokuratorzy

Z wymiaru sprawiedliwości kpi prokurator Jerzy Ziarkiewicz, za rządów PiS szef Prokuratury Regionalnej w Lublinie. Ten zaufany człowiek Zbigniewa Ziobry był symbolem upolitycznienia prokuratury. Zasłynął tym, że chronił osoby związane z PiS, które były podejrzane o popełnianie przestępstw, a jednocześnie osobiście nadzorował i ręcznie sterował śledztwami wymierzonymi w tych, których PiS uważało za swoich wrogów. Do nadzorowanej przez Ziarkiewicza prokuratury (i prokuratur podległych) kierowane były „najgorętsze" politycznie śledztwa. W zależności od zapotrzebowania część była prowadzona z przesadnym zaangażowaniem, inne zaś trafiały do tzw. zamrażarki, a właściwie do garażu prokuratury, gdzie ukrywano akta, co było niezgodne z prawem. W śledztwach, które rzekomo były prowadzone, nic się nie działo, a Ziarkiewicz tylko przedłużał ich bieg. Wyszło to na jaw przypadkiem, gdy jeden z kierowców prokuratury zaczął psioczyć na przełożonych, że musi parkować samochód służbowy pod chmurką, a zimą dodatkowo odśnieżać pojazd i zdrapywać z niego lód, bo służbowy garaż po sam sufit zawalony jest aktami.

W lutym 2025 r. Prokuratura Krajowa złożyła do Izby Odpowiedzialności Zawodowej wniosek o uchylenie immunitetu Ziarkiewiczowi (wcześniej został zawieszony w obowiązkach). Śledczy chcieli postawić mu zarzuty w związku z przekroczeniem uprawnień, poświadczeniem nieprawdy i ukrywaniem dokumentów. Sprawę przydzielono neosędziemu Tomaszowi Demendeckiemu, który jest dobrym kolegą Ziarkiewicza. Panowie znają się jeszcze ze studiów na UMCS, a w czasach rządów PiS Demendecki miał być częstym gościem w gabinecie Ziarkiewicza. Gdy powiązania towarzyskie zostały ujawnione przez dziennikarzy, Demendecki złożył wniosek o wyłączenie go ze sprawy immunitetowej, a ta utknęła w martwym punkcie.

Okazuje się, że Ziarkiewicz ma się dobrze. Jak gdyby nigdy nic kilka dni temu stawił się do pracy w Prokuraturze Krajowej, do której w ostatnich dniach rządów PiS awansował go Zbigniew Ziobro. Ścigany przez prokuraturę na razie sam nie będzie jednak ścigał przestępców, bo złożył wniosek o wykorzystanie zaległego urlopu wypoczynkowego. Żeby było ciekawiej, Ziarkiewicz nawet jako zawieszony w pełnieniu obowiązków zarabiał gigantyczne pieniądze. Za nicnierobienie pobierał co miesiąc ponad 40 tys. zł. W marcu br. Karol Nawrocki powołał skompromitowanego prokuratora do Rady Bezpieczeństwa i Obronności przy Prezydencie RP.

Prokuratorski immunitet chroni nadal Teresę Rutkowską-Szmydyńską, byłą szefową Prokuratury Regionalnej w Gdańsku. Pani prokurator podobnie jak Jerzy Ziarkiewicz działała na zlecenie polityczne, ingerując w śledztwa, tak aby nie zaszkodziły osobom związanym z PiS, natomiast bardzo angażowała się w sprawy, które można by wykorzystać wobec przeciwników PiS. Między innymi próbowała wrobić w lipne przestępstwa polityków PO Ryszarda i Krzysztofa Brejzów, a z drugiej strony doprowadziła do umorzenia głośnej sprawy zgwałcenia nieletniej przez syna Jacka Kurskiego.

Z wymiaru sprawiedliwości kpi prokurator Jerzy Ziarkiewicz, za rządów PiS szef Prokuratury Regionalnej w Lublinie.

Ale nie za to Prokuratura Krajowa wysłała do IOZ wniosek o uchylenie immunitetu zaangażowanej politycznie prokuratorce. Rutkowska-Szmydyńska rozwinęła parasol ochronny nad Kingą R., która miała trafić do aresztu w związku z popełnionymi przestępstwami oszustw podatkowych i prania brudnych pieniędzy. Nie trafiła jednak, bo prokurator regionalna w Gdańsku nakazała podległemu prokuratorowi wycofać z sądu wniosek o areszt i zwolnić podejrzaną. Jak się okazało, Kinga R. była znajomą ważnego polityka z rządu PiS. Zdaniem prokuratury Rutkowska-Szmydyńska dopuściła się przestępstwa przekroczenia uprawnień i utrudniania postępowania karnego poprzez pomoc sprawcom w uniknięciu odpowiedzialności karnej.

Andrzej Sikorski

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 41272a67e2

Marek Czarkowski

Miliardy za błędy

Jak Polska przegrywa arbitraże z zagranicznymi inwestorami

Na początku kwietnia br. sąd w Brukseli wydał nieprawomocny wyrok w sprawie z powództwa spółki Pfizer Export przeciw Rzeczypospolitej Polskiej i przyznał amerykańskiemu koncernowi ok. 5,6 mld zł. Zobowiązał także Polskę do odbioru ok. 64 mln dawek szczepionki przeciw COVID-19, które i tak muszą zostać zniszczone. Premier Donald Tusk i minister finansów Andrzej Domański na specjalnie zwołanych konferencjach prasowych poddali surowej krytyce swoich poprzedników, którzy do takiej sytuacji doprowadzili.

Przyczyną sporu z Pfizerem była decyzja rządu Mateusza Morawieckiego z 2022 r. o odmowie odbioru i zapłaty za szczepionki. W uzasadnieniu powołano się na siłę wyższą, czyli wojnę w Ukrainie, gwałtowny spadek zakażeń w kraju oraz posiadanie znacznego zapasu szczepionek. W ówczesnej ocenie polskiego rządu odebranie kolejnych i zapłacenie za nie byłoby niecelowe i finansowo nieuzasadnione.

Zobowiązania Polski w tej kwestii wynikały z umowy, jaką Komisja Europejska w imieniu państw członkowskich UE zawarła z koncernem. Negocjacje prowadzone były bezpośrednio przez przewodniczącą KE Ursulę von der Leyen i prezesa Pfizera Alberta Bourlę. Jak się potem okazało, wymieniali się oni SMS-ami i w prywatnych rozmowach telefonicznych uzgadniali szczegóły kontraktu wartego dziesiątki miliardów.

Opisująca sprawę dziennikarka „New York Timesa" Matina Stevis-Gridneff, powołując się na unijne przepisy o dostępie do dokumentów, zażądała wglądu w treść owych SMS-ów. Komisja Europejska odmówiła, twierdząc, że takich wiadomości nie da się odnaleźć lub nie są one dokumentami w rozumieniu prawa. Niezrażona tym redakcja amerykańskiego dziennika poszła do sądu Unii Europejskiej, który 14 maja 2025 r. orzekł, że Komisja złamała unijne zasady przejrzystości, bezprawnie odmawiając dostępu do wspomnianej korespondencji oraz nie dopełniając obowiązku starannej archiwizacji dokumentacji dotyczącej sprawy. W wyroku wskazano winę Komisji Europejskiej – politycznie reprezentowanej przez Ursulę von der Leyen – lecz nie przesądzono o konsekwencjach karnych.

PiS w relacjach z Brukselą i Waszyngtonem było nieudolne, a obecna ekipa rządząca… słynie z poddaństwa wobec Komisji Europejskiej. Jeśli zatem wyrok się utrzyma, będziemy musieli zapłacić Amerykanom równowartość prawie 6 mld zł, odebrać szczepionki i na własny koszt je zutylizować.

Nie po raz pierwszy okazało się, że nie radzimy sobie w sporach toczących się przed międzynarodowymi sądami arbitrażowymi. Pytanie dlaczego.

Holenderska lekcja

Gdy w pierwszej połowie lat 90. XX w. Polska masowo podpisywała z państwami zachodnimi umowy o ochronie inwestycji (tzw. BIT – Bilateral Investment Treaties), nikt nie liczył, ile może to nas kosztować. Najważniejsze było przyciągnięcie kapitału. Umowy dwustronne miały świadczyć o tym, że jesteśmy otwarci na biznes, a pieniądze inwestorów są bezpieczne. Najgłośniej zrobiło się o umowie, którą zawarliśmy 7 września 1992 r. z Holandią. Później okazało się, że bardzo wiele znanych w Polsce firm z udziałem kapitału zagranicznego ma korzenie w tym kraju. Dlaczego? Bo Amsterdam i Haga potrafią dbać o interesy „swoich" firm.

Na przykład większościowym udziałowcem spółki akcyjnej

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 41272a67e2

W kwietniu sąd w Brukseli wydał nieprawomocny wyrok w sprawie z powództwa spółki Pfizer Export. Przyznał koncernowi ok. 5,6 mld zł i zobowiązał Polskę do odbioru ok. 64 mln dawek szczepionki przeciw COVID-19.

Autostrada Wielkopolska (do niej należy A2) była spółka AWSA Holland I B.V. z siedzibą w Holandii, posiadająca ok. 98,85% kapitału. Dziś kierowcy samochodów osobowych za przejazd odcinkiem Konin-Świecko płacą 138 zł. I rząd nic z tym nie może zrobić.

Swego czasu w dokumentach KRRiT dotyczących struktury własności mediów pojawiała się spółka Polsat Media B.V. z siedzibą w Holandii, która posiadała pakiet ok. 18% akcji Telewizji Polsat.

Właściciel sieci supermarketów Biedronka, spółka Jeronimo Martins Polska, miał w przeszłości akcjonariusza – Polti-Investments B.V. z siedzibą w Niderlandach. W strukturze właścicielskiej znalazła się też spółka o egzotycznej nazwie Beleggingsmaatschappij Tand B.V., także mająca adres w Kraju Tulipanów.

Jednak najbardziej znaną holenderską spółką w Polsce była Eureko B.V., która posiadała ok. 33% akcji naszego narodowego ubezpieczyciela PZU SA. Dla jej właścicieli udział w prywatyzacji PZU był interesem życia. W 1999 r. Holendrzy za ok. 2 mld zł, czyli ok. 515 mln euro, nabyli 20% akcji spółki. O połowę mniejszy pakiet kupił Bank Millennium tworzący z inwestorem konsorcjum. Później, już spierając się z polskim rządem o to, czy ważna jest kolejna umowa, na podstawie której mieli otrzymać 21% akcji PZU, Holendrzy kupowali akcje pracownicze. Gdy polscy politycy zorientowali się, że zmierza to w złym kierunku, kolejne rządy zaczęły blokować realizację zobowiązań prywatyzacyjnych.

W 2003 r. spółka Eureko wszczęła postępowanie arbitrażowe przeciwko Polsce na podstawie wspomnianej umowy o ochronie inwestycji z Holandią z roku 1992. W sierpniu 2005 r. trybunał arbitrażowy wydał częściowy wyrok, w którym stwierdził, że Polska naruszyła wynikające z niej obowiązki. Sprawa zakończyła się w roku 2009 ugodą przewidującą m.in. wypłatę na rzecz Eureko bardzo wysokiej dywidendy oraz stopniowe wyjście Holendrów z akcjonariatu PZU. Później szacowano, że Eureko zarobiło ok. 16-18 mld zł.

Hazard niski, kwoty wysokie

Mało znanym przypadkiem była sprawa arbitrażu wytoczonego Polsce przez zarejestrowane w Holandii spółki Horthel Systems B.V., Poland Gaming Holding B.V. i Tesa Beheer B.V. Sprawa była skutkiem ubocznym tzw. afery hazardowej. 1 października 2009 r. dziennik „Rzeczpospolita" opublikował fragmenty stenogramów rozmów polityków Platformy Obywatelskiej z przedstawicielami branży hazardowej. Miały one dowodzić nielegalnego lobbingu, którego celem było zablokowanie planowanych przez resort finansów zmian w polskim prawie, regulujących działalność firm zajmujących się automatami o niskich wygranych. Wybuchł polityczny skandal, co skłoniło rząd premiera Donalda Tuska do skierowania do Sejmu niezwykle restrykcyjnej ustawy o grach hazardowych, która od 1 stycznia 2010 r. drastycznie ograniczyła możliwość instalowania automatów poza kasynami, a docelowo – do 1 stycznia 2015 r. – miała doprowadzić do całkowitego ich zniknięcia z rynku.

Polskie firmy, które przez lata legalnie zajmowały się hazardem rozrywkowym, protestowały, ale o żadnych odszkodowaniach nie mogło być mowy.

Właściciele holenderskich spółek wybrali dyskretne, lecz – jak się okazało – bardzo skuteczne rozwiązanie. Powołując się na polsko-holenderską umowę o ochronie inwestycji, wytoczyli sprawę przed szwajcarskim trybunałem arbitrażowym. Reprezentujący ich prawnicy dowodzili, że ustawa hazardowa z roku 2009, a zwłaszcza sposób jej wdrożenia, naruszyła zasadę *fair and equitable treatment* (FET), która zobowiązywała Polskę do uczciwego, rzetelnego i niestronniczego traktowania inwestorów zagranicznych, z poszanowaniem ich uzasadnionych oczekiwań. Przekonywali o nadmiernej ingerencji państwa, niespójnej z rzekomymi celami ochrony porządku publicznego, a oznaczającej pośrednie wywłaszczenie spółek prowadzących legalną działalność w obszarze niskiego hazardu.

Holenderskie spółki domagały się od Polski ok. 240 mln zł. Ostatecznie trybunał, uznając część roszczeń, przyznał im jako odszkodowanie ok. 37,7 mln zł. Polska próbowała uchylić wyrok, jednak 14 grudnia 2017 r. szwajcarski sąd kasacyjny skargę oddalił, utrzymując go w mocy.

Arbitraże nam nie służą

Niezwykle kosztownym przypadkiem sporu arbitrażowego jest sprawa australijskiej spółki GreenX Metals (dawniej Prairie Mining), która zainwestowała w Polsce w dwa projekty wydobywcze: kopalnię Jan Karski w Lubelskim Zagłębiu Węglowym oraz kopalnię Dębieńsko na Górnym Śląsku. Australijczycy uzyskali wstępne pozwolenia, przeprowadzili prace rozpoznawcze i przygotowywali się do rozpoczęcia wydobycia. Tymczasem polskie władze – jak argumentowali przed trybunałem arbitrażowym – poprzez serię działań administracyjnych i zmian legislacyjnych systematycznie uniemożliwiały im uzyskanie niezbędnych koncesji. Przedstawiciele GreenX Metals twierdzili, że Polska prowadziła kampanię, której celem była ochrona interesów państwowych spółek górniczych kosztem zagranicznego konkurenta. Efekt? Inwestycja na setki milionów straciła wartość.

Niezwykle kosztownym przypadkiem sporu arbitrażowego jest sprawa australijskiej spółki GreenX Metals, która zainwestowała w Polsce w dwa projekty wydobywcze: kopalnie Jan Karski i Dębieńsko.

eprasa.pl 41272a67e2

W 2019 r. Australijczycy wszczęli postępowanie arbitrażowe przed Stałym Trybunałem Arbitrażowym w Hadze. Ich pierwotne roszczenie opiewało na ok. 4,2 mld zł. Równolegle powiązani z projektem inwestorzy brytyjscy wszczęli odrębne postępowanie na podstawie Traktatu Karty Energetycznej. W październiku 2024 r. trybunał orzekł na ich korzyść.

Łączna kwota odszkodowania przyznana w ramach obu postępowań (opartego na umowie BIT i tego opartego na Traktacie Karty Energetycznej) wyniosła 252 mln funtów – czyli, z kosztami procesowymi i odsetkami, ok. 2 mld zł. Polska zaskarżyła wyrok oparty na umowie o ochronie inwestycji, jednocześnie próbowała uchylić wyrok wydany na podstawie Traktatu Karty Energetycznej, kierując sprawę do sądów w Singapurze. 9 stycznia 2026 r. Międzynarodowy Sąd Handlowy w Singapurze odrzucił argumentację prawników reprezentujących Polskę i przyznał rację brytyjskim inwestorom. Czy zapłacimy? Zobaczymy, gdyż tego rodzaju sprawy ciągną się latami.

Świadczy o tym chociażby spór, jaki toczył się między Polską a francuskim koncernem farmaceutycznym Servier przed Stałym Trybunałem Arbitrażowym w Hadze. Rozpoczął się on w 2010 r. Francuzi uznali, że decyzje strony polskiej o wycofaniu lub ograniczeniu pozwoleń na sprzedaż części ich leków, wynikające z potrzeby dostosowania prawa farmaceutycznego do wymogów unijnych, naruszają ich interesy. 14 lutego 2012 r. zapadł wyrok. Trybunał przyznał rację koncernowi i zasądził kwotę 4 mln euro (investmentpolicy.unctad.org/investment-dispute-settlement/cases/339/servier-v-poland).

Jednak wyrok ten oznaczał tylko rozstrzygnięcie sporu. Później zaczęły się postępowania o jego uchylenie, uznanie, wykonanie. I do dziś nie jest jasne, czy Polska zapłaciła Francuzom, czy nie.

Ciekawym przypadkiem był spór z państwem polskim cypryjskiej spółki Mercuria Energy Group, należącej do Sławomira Smołokowskiego i Grzegorza Jankilewicza. Dotyczył kary w wysokości ok. 100 mln dol., nałożonej w 2008 r. na polską spółkę zależną Mercurii, J&S Group, za rzekome niedotrzymanie obowiązku utrzymywania obowiązkowych zapasów paliw. Po latach polskie sądy karę uchyliły, a państwo zwróciło Mercurii kwotę główną, zapominając o odsetkach. Spółka uznała to za naruszenie standardu sprawiedliwego i równego traktowania chronionego przez Traktat Karty Energetycznej i wszczęła arbitraż w Sztokholmie.

W 2022 r. Instytut Arbitrażowy Sztokholmskiej Izby Handlowej przyznał rację spółce Mercuria Energy Group i zasądził na jej rzecz 32,9 mln dol. powiększone o odsetki i koszty.

W grudniu 2022 r. Instytut Arbitrażowy Sztokholmskiej Izby Handlowej przyznał jej rację i zasądził na jej rzecz 32,9 mln dol. powiększone o odsetki i koszty. Polska natychmiast zaskarżyła ten wyrok, powołując się na argument, że arbitraż na podstawie Traktatu Karty Energetycznej między inwestorem z jednego państwa UE (w tym przypadku Cypru) a innym państwem UE (Polską) jest niezgodny z prawem Unii Europejskiej. 23 grudnia 2024 r. Sąd Apelacyjny Svea uchylił wyrok arbitrażowy w sprawie Mercuria Energy Group przeciwko Polsce, podzielając argumentację strony polskiej.

Podsumowując ćwierćwiecze naszych arbitraży inwestycyjnych, można odnieść wrażenie, że to zjawisko systemowe. Przegrane sprawy nie dotyczą jednego sektora, jednego regulatora ani jednego rządu. Obejmują nadzór bankowy i sektor wydobywczy, decyzje KNF i Ministerstwa Środowiska, orzeczenia Sądu Najwyższego oraz zmiany legislacyjne. Szacunki wskazują, że łączna kwota zasądzonych i wypłaconych przez Polskę odszkodowań może wynosić nawet przeszło 2,2 mld euro (www.obserwatorfinansowy.pl/tematyka/makroekonomia/trendy-gospodarcze/ue-i-polska-chca-zmian-w-arbitrazu-inwestycyjnym/).

Zagraniczni inwestorzy wiedzą, że arbitraż bywa skuteczną metodą dochodzenia roszczeń. Polski rząd nie może lekceważyć werdyktów takich instytucji jak Stały Trybunał Arbitrażowy w Hadze czy Instytut Arbitrażowy Sztokholmskiej Izby Handlowej.

Marek Czarkowski

LIST

Felietony
Jan Widacki
Między cieśniną Ormuz a Lwowem

Między cieśniną Ormuz a Lwowem

Szanuję prof. Widackiego. W felietonach przekazuje wiele cennych spostrzeżeń, które chłonę. Ale zdarzają się i takie, które wywołują u mnie reakcje prawdopodobnie niezamierzone przez autora. W świątecznym wydaniu, pisząc w felietonie o wojnie między prezydentem RP a rządem Donalda Tuska, najwyraźniej stoi po stronie rządu. W moim odczuciu emerytowanego górnika obie strony Konstytucję RP traktują nie jako prawo najwyższe, ale jako narzędzie do sprawowania władzy. Prof. Widacki uważa, że prezydent powinien stanąć przed Trybunałem Stanu. A ja uważam, że powinien również stanąć rząd Donalda Tuska. W Konstytucji RP w art. 4 zapisano, że „władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu". Jak można – mając mandat do sprawowania władzy na cztery lata, zaciągać zobowiązanie na lat 45? Zwłaszcza gdy społeczeństwo jest w tej kwestii podzielone i gdy pieniędzy jest za mało na edukację, służbę zdrowia, kulturę i bezpieczeństwo wewnętrzne. O tak ogromnym zadłużeniu, i na tak długi czas, powinien decydować naród w referendum.

Józef Brzozowski

eprasa.pl 41272a67e2

Z Galicji

Jan Widacki

Kto się mniej spóźnił na pociąg?

Do wszystkich chorób trapiących przez lata ten wymiar sprawiedliwości – z których jako najpoważniejszą nie wiem czemu wymieniano akurat przewlekłość postępowań, a nie jakość wymierzanej sprawiedliwości – doszły choroby najcięższe w postaci paraliżu, który dotknął Sąd Najwyższy i Trybunał Konstytucyjny.

Wszelkie próby naprawienia tej sytuacji przez Sejm i ministra sprawiedliwości skutecznie blokuje prezydent. W sądach apelacyjnych liczba wakatów co najmniej dorównuje liczbie obsadzonych etatów, do orzekania w najtrudniejszych sprawach karnych „pożycza się" sędziów z wydziałów cywilnych. „Przewlekłość" postępowań jeszcze się zwiększa, a jakość wymierzanej sprawiedliwości staje się jeszcze niższa, niż była dotąd. A i do tej pory była niska!

Cierpi na tym sprawiedliwość, a ta nie jest jakimś pojęciem abstrakcyjnym, tylko sumą sprawiedliwych wyroków dotyczących ludzi i ich najbardziej żywotnych interesów. Sprawy zaszły bardzo daleko. Bez współpracy parlamentu, rządu, prezydenta, środowisk sędziowskich i akademickich środowisk prawniczych nie da się nie tylko uzdrowić sytuacji, ale nawet zatrzymać degradacji wymiaru sprawiedliwości, która siłą rzeczy postępuje.

O ile koalicja rządząca miała jeszcze nadzieję, że skutecznie naprawi wymiar sprawiedliwości po wyborach prezydenckich, o tyle, gdy wbrew oczekiwaniom prezydentem został Karol Nawrocki, straciła na to szanse. Prezydent bez skrupułów blokuje wszelkie działania naprawcze ministra sprawiedliwości i rządzącej większości, stawiając sobie za cel nie dobro Rzeczypospolitej, o którym tak chętnie mówi, ale korzyści swojego obozu politycznego. Od człowieka, którego dewizą jest „im gorzej, tym lepiej", trudno oczekiwać, że włączy się w dzieło naprawy czegokolwiek. Nic więc dziwnego w tym, że wszystkie ustawy zmierzające do naprawy wymiaru sprawiedliwości Nawrocki wetuje, że nie nominuje, nie przyjmuje ślubowań. Wydaje się, że to sytuacja bez wyjścia.

Warunkiem powodzenia byłoby, gdyby w przyszłorocznych wyborach rządząca dziś koalicja zdobyła większość pozwalającą na odrzucenie prezydenckiego weta. Na to jednak się nie zanosi. Chyba że stałby się jakiś cud.

Niedawno prof. Piotr Kardas stwierdził, że konieczny jest „reset konstytucyjny", tak by Sąd Najwyższy i Trybunał Konstytucyjny zostały rozwiązane (same się rozwiązały?), a sędziów do nich powołano na nowo. Zareagował na to prof. Marcin Matczak, mówiąc, że byłoby z gruntu niesprawiedliwe zwalniać na równi „neosędziów" i „sędziów niezłomnych". Niesprawiedliwe, tym bardziej że ci pierwsi, dając się nominować niezgodnie z konstytucją, wykazali się brakiem moralnym, „gumowym kręgosłupem", i udowodnili, że na sędziów już z tego powodu się nie nadają.

PiS wierzy, że w 2027 r. weźmie całą władzę i zrobi z sądownictwem, co będzie chciało.

Niestety, obawiam się, że obaj panowie profesorowie wykazali całkowity brak realizmu. Prof. Matczak najwyraźniej wyznaje dobrze ugruntowaną u nas filozofię wykluczającą wszelki kompromis. „Wszystko albo nic", a więc najczęściej w efekcie nic, za to okupione dużymi stratami, które można na koniec nazwać zwycięstwem moralnym. Prof. Kardas tym razem skłonny był, jak widać, zaakceptować kompromis (w formie tego „resetu"), wcześniej był w sprawie neosędziów równie bezkompromisowy jak prof. Matczak. Co z tego? Na okrągły stół w wymiarze sprawiedliwości, którego finałem mógłby być ten „reset", czas był zaraz po wyborach z 2023 r., kiedy PiS było spanikowane i gotowe przyjąć jakiś kompromis.

Rządząca większość zachłyśnięta sukcesem nie myślała wtedy jednak o żadnych kompromisach, wierzyła, że po wyborach prezydenckich uporządkuje kwestie wymiaru sprawiedliwości po swojemu. Obecnie, po wyborze Karola Nawrockiego, już wie na pewno, że nie uporządkuje. Może i byłaby gotowa iść na pewien kompromis (i „reset"), ale teraz PiS nie potrzebuje już żadnych kompromisów ani „resetów". Wierzy, że w 2027 r. weźmie całą władzę i zrobi z sądownictwem, co będzie chciało.

Tak więc spór dwóch panów profesorów jest sporem o to, kto na pociąg się spóźnił tylko 5 minut, a kto całą godzinę. Rzecz w tym, że pociąg już odjechał! Obie propozycje są dziś równie nierealne. Szkoda o nich dyskutować.

sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA ELEKTRONICZNA SUBSKRYPCJA ZDANIE

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 41272a67e2

Cyfrowa suwerenność Europy

Wybór europejskich usług to gwarancja bezpieczeństwa danych i ochrony prywatności

Kornel Wawrzyniak

A gdyby Donald Trump nakłonił w ciągu kolejnych 24 godzin amerykańskie big techy do odłączenia Europy od swoich usług? Oznaczałoby to większy chaos, niż nam się wydaje. Jako Europa jesteśmy od amerykańskich big techów w pełni zależni – np. 99,5% zapytań wyszukiwarek internetowych obsługują dziś Google, należący do Microsoftu Bing oraz rosyjski Yandex. W razie kryzysu geopolitycznego uzależnienie to może spowodować utratę kluczowych funkcji nie tylko wyszukiwarek internetowych, ale także większości usług sztucznej inteligencji, które do poprawnego działania potrzebują aktualnych danych.

Ucieczka od chaosu

Wiele narzędzi internetowych, takich jak poczta elektroniczna, programy do edycji tekstów czy komunikatory, jest własnością amerykańskich korporacji. Te zaś podlegają prawu Stanów Zjednoczonych. Skandale z ostatnich lat będące udziałem big techów pokazały, że inwigilacja i modele biznesowe oparte na zarabianiu na danych osobowych są codziennością. Mimo obowiązywania w Europie Aktu o usługach cyfrowych (DSA) część amerykańskich big techów próbuje omijać przepisy chroniące europejskich użytkowników. A w obecnych uwarunkowaniach geopolitycznych korzystanie z usług cyfrowych należących do Amerykanów to jak siedzenie na tykającej bombie. Zwłaszcza przy nieobliczalności Donalda Trumpa.

Jeśli ktoś bagatelizuje ryzyko odłączenia Europie wtyczki, przypomnijmy, że obecny prezydent USA groził nałożeniem 25-procentowych ceł odwetowych na kraje, które zastosują przepisy DSA wobec amerykańskich big techów. Ochrona praw europejskich użytkowników rzekomo godzi w interesy technologicznych gigantów. Poza tym w biznesie liczą się pieniądze. Między innymi za sprawą ustawy CHIPS and Science Act podpisanej przez Joego Bidena Intel wycofał się z budowania fabryk na całym świecie (w tym z Polski) i wszystkie moce przerobowe przerzucił nagle do USA. Firmy technologiczne wyłożyły też sporo pieniędzy na inaugurację prezydentury Trumpa.

Weźmy również pod uwagę sytuację z 19 lipca 2024 r., gdy na całym świecie nagle doszło do awarii na lotniskach, w bankowości, u operatorów płatności, w części firm telekomunikacyjnych i mediów, niektórzy odnotowali nawet problemy z pakietem Office. Wszystko przez aktualizację firmy CrowdStrike dla systemów Windows, w wyniku której komputery przestały się włączać i wyświetliły tzw. blue screen of death, czyli niebieski ekran informujący o krytycznym błędzie systemu.

Incydent miał dotknąć prawie 8,5 mln urządzeń. To zaledwie 1% komputerów z systemem Microsoftu, lecz już tyle wystarczyło, aby wysiadło wiele strategicznych usług. Problem rozwiązano w ciągu kilku godzin, ale sytuacja ta pokazuje, że jedną aktualizacją można pozbawić ludzi dostępu do ich własnych pieniędzy czy wywołać chaos komunikacyjny. I można to zrobić nie tylko przypadkiem, lecz także celowo.

„Mam wrażenie, że dzisiaj i w Polsce, i na świecie dojrzewamy do tego, żeby zrozumieć, że cyberbezpieczeństwo ma nie tylko wymiar techniczny, ale też społeczny. Nie mieści się tylko w klawiaturze komputera albo w przekonaniu, że dotyczy »grona nerdów«, którzy na tym się znają. Cyberbezpieczeństwo dotyczy każdego obywatela, bo skutkować może np. brakiem wody w kranie czy prądu w gniazdkach”, mówił minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski podczas niedawnej konferencji SECURE 2026.

Big techy, przyzwyczajone do bezprawia i dyktowania warunków, przeżywają obecnie szok w związku z działaniem DSA. Komisja

eprasa.pl 41272a67e2

Europejska nałożyła na platformę X należącą do Elona Muska 120 mln euro kary z powodu braku transparentności. Ale przewin korporacji jest znacznie więcej.

Nikt np. nie ściga oszustów grasujących w mediach społecznościowych. Agencja Reutera dotarła do wewnętrznych dokumentów Mety, z których wynika, że firma prognozowała, iż 10% jej przychodów w 2024 r. będzie pochodziło z reklam oszustów. To zysk na poziomie 16 mld dol. Ujawnione dokumenty pokazują, że korporacja Zuckerberga przez co najmniej trzy lata nie zatrzymywała reklam, które narażały użytkowników Facebooka, Instagramu i WhatsAppa na oszustwa ze strony takich szemranych biznesów jak nieistniejące e-sklepy, rzekome platformy inwestycyjne, nielegalne kasyna internetowe czy podmioty oferujące zakazane produkty medyczne. Jedynym działaniem podejmowanym wobec takich sprzedawców było naliczanie im wyższych stawek za reklamowanie się.

Henna Virkkunen odpowiedzialna w Komisji Europejskiej za suwerenność technologiczną, sprawy bezpieczeństwa i demokracji podkreśla w mediach, że tylko w ubiegłym roku straty wynikające z oszustw finansowych online przekroczyły w UE 4 mld euro. Przestrzega zarazem, że przestępcy coraz częściej wykorzystują sztuczną inteligencję, co utrudnia ich wykrycie. Dlatego platformy internetowe powinny stosować „wszystkie możliwe środki", by identyfikować i usuwać nielegalne treści. Czymże jest jednak 4 mld euro strat poniesionych przez użytkowników wobec 16 mld dol., które Meta mogła zarobić na reklamach od oszustów.

Kłamstwo o braku alternatywy

Amerykańskim gigantom technologicznym jest na rękę utrzymywanie Europejczyków w przekonaniu, że nie ma na Starym Kontynencie alternatywy dla ich produktów. Okazuje się jednak, że zamienników jest całkiem sporo. Informowałem już na łamach „Przeglądu" (15/2026), że Europejczycy pracują nad alternatywą dla serwisu X. Na W Social przyjdzie nam jeszcze chwilę poczekać, ale już dziś możemy zamienić swoją amerykańską skrzynkę mejlową czy pakiet biurowy na europejskie propozycje.

Do suwerenności cyfrowej dążą nie tylko urzędnicy z Unii, lecz także zwykli użytkownicy. Niestabilność Donalda Trumpa i kolejne skandale związane z działalnością big techów sprawiają, że nawet mniej zorientowani internauci zaczęli się rozglądać za europejskimi wyborami. Rodzime usługi muszą przede wszystkim być zgodne z unijnym rozporządzeniem GDPR (RODO). To daje dzisiaj największą gwarancję prywatności użytkowników i perspektywę bardziej etycznego działania usługodawców.

Według danych z raportu firmy Proton aż 8 na 10 konsumentów w Wielkiej Brytanii, Niemczech i Francji uważa, że ich kraje są zbyt zależne od amerykańskich firm technologicznych. Zdaniem respondentów Europa oferuje silniejsze przepisy dotyczące prywatności i niezależny nadzór. Firmy technologiczne na Starym Kontynencie są budowane wokół praw cyfrowych.

Portal Cybernews informuje, że coraz więcej krajów europejskich decyduje się na przejście na system Linux i oprogramowanie typu open source, aby odzyskać suwerenność cyfrową i w obliczu rosnących napięć geopolitycznych zmniejszyć zależność od amerykańskich gigantów. Szlezwik-Holsztyn, kraj związkowy Niemiec, próbuje całkowicie odejść od narzędzi firmy Microsoft, takich jak Teams, Word, Excel i Outlook, na rzecz alternatywnych rozwiązań typu open source. Wspomniany land jest zresztą liderem w działaniach na rzecz suwerenności cyfrowej.

Według danych firmy Proton aż 8 na 10 konsumentów w Wielkiej Brytanii, Niemczech i Francji uważa, że ich kraje są zbyt zależne od amerykańskich firm.

Coraz więcej pojedynczych użytkowników przyłącza się do oddolnych inicjatyw promujących europejskie usługi cyfrowe. Na stronach takich jak Switch-to.eu publikowane są listy europejskich zamienników produktów amerykańskich big techów. Wystarczy wpisać nazwę produktu, z którego się korzysta, aby znaleźć alternatywne propozycje wyszukiwarek, przeglądarek, skrzynek mejlowych, komunikatorów czy chmury danych z serwerami w UE.

Usług made in EU jest dziś cała masa. Zacznijmy od przeglądarek internetowych. Vivaldi, LibreWolf czy Waterfox stawiają na prywatność danych i blokowanie śledzenia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 41272a67e2

użytkowników. Pocztę Gmail od Google'a czy Outlook od Microsoftu też da się zastąpić. Proton Mail czy Tuta to dostawcy usług z siedzibami w Europie. Obydwie firmy zapewniają brak śledzenia i reklam oraz szyfrowanie wiadomości.

Europejczycy robią też aplikacje do chatowania: francuski Olvid ani szwajcarska Threema nie wymaga podawania numeru telefonu czy rejestracji przez e-mail. Wszystkie używają bezpiecznego szyfrowania typu end-to-end. Mamy również w Europie usługi zapewniające przestrzeń dyskową i przesyłową (Proton Drive, WeTransfer), nawigację (np. OsmAnd) i programy do wideorozmów (Jitsi, Whereby).

Euroogle

Być może udało się przekonać część czytelników do zmiany jakiejś aplikacji na europejską. Ale pewnie są jeszcze tacy, którzy stwierdzą: „Hola! Hola! Ale Google'a to pan nie zastąpisz". Dziś mogę odpowiedzieć, że Europejczycy są na dobrej drodze do stworzenia własnej wyszukiwarki mogącej realnie zastąpić Google'a czy Bing. W Europie istnieją takie silniki wyszukiwania jak francuski Qwant, niemiecka Ecosia czy holenderski Startpage. Ten ostatni działa jako domyślna opcja w przeglądarce Vivaldi.

Tuż po ponownym wyborze Donalda Trumpa na prezydenta USA prezes Ecosii Christian Kroll przestrzegał: „Gdyby Stany Zjednoczone zdecydowały się wycofać amerykańską technologię z Europy, musielibyśmy wrócić do książek telefonicznych".

Być może właśnie dlatego Ecosia i Qwant połączyły siły i ogłosiły, że zbudują europejską infrastrukturę, by zapewnić użytkownikom odpowiednią alternatywę dla produktu z Mountain View. European Search Perspective (EuSP) ma siedzibę w Paryżu. Kierownictwo nie upiera się, że będzie europejskim Google'em, ale od podstaw buduje własny indeks wyszukiwania: „Zdecydowanie nie dostarczymy zestawu narzędzi tak dużego jak Google. Ale wierzymy, że po stronie wyszukiwania, zwłaszcza dzięki możliwościom sztucznej inteligencji, możemy zapewnić wystarczająco dobrą technologię", mówił Olivier Abecassis, szef Qwant, w wywiadzie dla Euronews Next.

Nie porywają się więc z motyką na słońce i nie chcą stworzyć produktu konkurencyjnego dla Google'a. Ich praca może być jednak dla Europejczyków dobrym zabezpieczeniem na wypadek odłączenia od amerykańskich indeksów sieciowych.

Problem

Europejskie alternatywy nie będą rosnąć, jeśli nie zaczniemy z nich korzystać na większą skalę. Problemem jest przyzwyczajenie użytkowników. Korzystanie z zamienników to również wysiłek włożony w ich znalezienie. Tymczasem Microsoft czy Google podtykają nam swoje narzędzia już na etapie włączenia nowo zakupionego sprzętu, na którym najczęściej znajdziemy system Windows z przeglądarką Chrome. Przejęcie Twittera przez Elona Muska pokazuje, że dana usługa z dnia na dzień może się zmienić pod dyktando jednej osoby. Dziś napiszesz, co myślisz, jutro usuną twój wpis lub nie będą chcieli skasować fałszywych zdjęć w bikini. Na pytanie, czy oni tak mogą, odpowiedzi są dwie. Po pierwsze, giganci technologiczni nie boją się konsekwencji. Po drugie, warto zrobić rachunek sumienia w kwestii zapoznawania się z warunkami korzystania z aplikacji.

Na takich stronach jak Switch-to.eu publikowane są listy europejskich zamienników produktów big techów z USA.

Uspokoję: prawie nikt ich nie czyta, więc nie jesteście sami. Według Jasona Cohena z brytyjskiego serwisu PCMag przeczytanie warunków prawnych świadczenia usług (Terms & Conditions) 13 najpopularniejszych w Wielkiej Brytanii aplikacji zajęłoby łącznie 17 godzin. Na lekturę warunków samego TikToka przeciętny użytkownik musiałby poświęcić ponad półtorej godziny (umowa ma ponad 11,6 tys. słów). Według serwisu Visual Capitalist absolutnym rekordzistą pod tym względem jest Microsoft. Przeczytanie ich warunków korzystania z usług zajmuje prawie tyle samo co lektura szekspirowskiego Makbeta. Szybciej przeczytamy „Sztukę wojenną" Sun Tzu. Zapoznanie się z warunkami korzystania z aplikacji Zoom czy Spotify zajmie zaś więcej czasu niż przeczytanie Kodeksu Hammurabiego.

Badanie przeprowadzone przez firmę Deloitte wykazało, że 91% osób akceptuje warunki prawne świadczenia usług bez ich przeczytania. Respondenci wskazują, że są one zbyt długie i złożone, aby przez nie przebrnąć. Język, jakim są pisane, jest zbyt skomplikowany i zawiera specjalistyczne słownictwo. Część użytkowników nie zna takich terminów jak API, pliki cookies, dane stron trzecich. Według serwisu Thinkmoney w przypadku np. TikToka umowa napisana jest jak dla osoby dorosłej, chociaż w aplikacji rejestrować się mogą 13-latki.

W warunkach obecnej niestabilności geopolitycznej suwerenność cyfrowa staje się kluczowym elementem autonomii Europy. Kontrola nad technologiami, danymi i infrastrukturą cyfrową to kwestia nie tylko konkurencyjności gospodarczej, lecz także bezpieczeństwa, odporności państw na dezinformację i zdolności samodzielnego podejmowania decyzji politycznych. W tym kontekście wspieranie europejskich firm technologicznych powinno być priorytetem politycznym Unii – warunkiem budowy niezależnego ekosystemu cyfrowego opartego na europejskich wartościach, regulacjach i strategicznych interesach.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 41272a67e2

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Wybudować grób

„Wybudować grób. To się tylko tak mówi". „Było, jak mówię. Zawadził o laskę". „Przyszedł pan fasoli kupić? Do mnie?". Z różnych powieści Wiesława Myśliwskiego przypominam sobie te pierwsze zdania. „Gdy mam pierwsze zdanie – mówił – mam książkę, choć jeszcze niczego o niej nie wiem". Dowiadywał się w trakcie pisania. „Z przywłaszczenia sobie chłopskiego losu wzięła się moja twórczość", powiedział po napisaniu „Kamienia na kamieniu".

Wieś Myśliwskiego to nie tylko przenikliwie przedstawiona rzeczywistość – to także wielka metafora. Chłopski los. W dramacie „Drzewo" stary Duda siedzi „wysoko na konarze, przywarty do pnia": nie pozwala ściąć domowego drzewa, nie chce na wsi nowych porządków. Tymczasem wieś Myśliwskiego tkwi w codziennym bytowaniu, w odwiecznym rytmie czynności gospodarskich – takich właśnie jak łuskanie fasoli. Ale też żyje w cieniu „końca wsi", „kresu kultury chłopskiej". Czy również kresu dotychczasowych form życia?

Ten świat, osadzony w konkretnym czasie i miejscu, a przy tym pełen reminiscencji, zapewnia trwałość także naszemu światu. Zatrzymuje go jak na starej fotografii. Proza, pozornie prosta, utrzymana w nurcie mowy potocznej, więc stroniąca od ornamentyki, jest jednak gęsta od znaczeń, a w odbiorze okazuje się niełatwa, jakby dokumentowała tytuł ostatniego zbioru: „W środku jesteśmy baśnią". Myśliwski zawsze był sobą: niepodatny na zmiany polityczne, nieszukający poklasku. Marcel Reich-Ranicki uznawał próżność za cechę każdego pisarza – u Myśliwskiego nie było o niej mowy.

Myśliwski zawsze był sobą: niepodatny na zmiany polityczne, nieszukający poklasku.

Dziś jest to dzieło zamknięte. Rozpoczęte w wieku 35 lat i kończone pół wieku później, było zawsze dawkowane powoli i oszczędnie. „Z każdej książki muszę najpierw wyzdrowieć. Taka kuracja trwa nieraz kilka lat", mówił. Te „kilka lat" uznawał i tak za czas zbyt krótki. Ostatnio nic już nie pisał. „Nie chce mi się", mówił z właściwą sobie prostotą. A jednak niedawno znów zaczął coś skrobać. Nie na klawiaturze komputera, nawet nie na maszynie do pisania. Pisał zawsze ołówkiem, na kartkach papieru, dziennie nie więcej niż jedną stronę. A zapisane kartki często niszczył. Proces twórczy był u niego męką i bólem.

Do tego pisarstwa zbliżałem się powoli i nieufnie. Ale gdy je odkryłem, uległem – jak każdy – magii. Czy jednak także dlatego, że ta sceneria – to też świat moich przodków, ludzi z prowincji i ze wsi? Świat, który sam jeszcze oglądałem w dzieciństwie: w zastygłych formach z XIX w.? A potem poznałem samego Myśliwskiego. W roku 2017, po pewnym zebraniu w Pałacu Kultury i Nauki, podszedł do mnie, by powiedzieć: „Jest pan jednym z kilku ludzi w Polsce, którym ufam". Trudno, bym tych słów nie zapamiętał. „Nieboszczyk pan Adam miał to do siebie, iż nie tylko, co mawiał, ale i: jak mawiał, zatrzymywało się w pamięci". Tak Cyprian Norwid pisał o Adamie Mickiewiczu, a słowa te można również odnieść do Myśliwskiego. Bo to, co pisał i mówił, rzeczywiście zatrzymywało się w pamięci. „Kamień grobowy położony ręką geniusza na starej Polsce". To znów Stanisław Worcell o „Panu Tadeuszu". Więc to także można odnieść do Myśliwskiego? Wszak on też położył kamień grobowy – na polskiej wsi i polskiej prowincji.

Mój z nim kontakt był głównie telefoniczny. „Witaj, Andrzej", słyszałem pierwsze słowa w słuchawce. Posyłałem mu moje kolejne książki, on czytał je natychmiast i przez telefon recenzował. List otrzymałem tylko raz, a poczty mailowej Wiesław nie miał, bo jej nie uznawał. Raz też, pod koniec czerwca 2024 r., odwiedziłem w Warszawie ich oboje, Wiesława i panią Wacławę. Mieszkali z dala od centrum, przy cichej ulicy, jakby wziętej z dawnej prowincji. Wręczyłem naszą z Pawłem Dybiczem rozmowę „Życie pełne historii". Wiesław znów ją pochłonął w parę dni. „Czyta się jak kryminał – zawyrokował. – Chociaż nie lubię kryminałów".

A jednak miał też dla mnie słowa krytyki. Ten mistrz słowa, zakochany w polszczyźnie, był niezmiernie wyczulony na poprawne posługiwanie się językiem. „Nie mówi się »w temacie« – wyjaśniał. – Ani »tym niemniej«. Mówi się: »niemniej jednak«". Próbowałem tłumaczyć, że to jest język mówiony, ale te wyjaśnienia raczej go gniewały. Polszczyzna musi być piękna – zdawał się mówić. Kartkę z tymi dwiema jego uwagami trzymam w biurku: na wyciągnięcie ręki.

Wielokrotnie powiadał, że lekturę „Przeglądu" zaczyna od mojego felietonu. Czy i ten felieton wzbudziłby jego uznanie? „Wybudować grób". Ta śmierć – to kres pisarstwa wyjątkowego w całym polskim dorobku literackim.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 41272a67e2

Pollicitatio nad Wisłą

Debata publiczna karleje i ulega dramatycznej trywializacji

Waldemar Karpa

Pojęcie *res publica* w pierwotnym, rzymskim rozumieniu wykraczało daleko poza proste, instytucjonalne określenie ustroju państwowego czy formy rządu. *Res publica* to przede wszystkim „rzecz wspólna". To domena publiczna, której nienaruszalnym fundamentem jest *concordia* – zgoda obywatelska – oraz *libertas*, wolność rozumiana jako brak arbitralnej dominacji, tyranii i zniewolenia. Rzymska republika nie była jedynie zbiorem martwych praw i suchych przepisów. Funkcjonowała jako specyficzny sposób zarządzania państwem oparty na nieustannym poszukiwaniu konsensusu, szacunku dla uświęconych tradycją procedur (*antiqua forma*) i racjonalnej debacie angażującej elity oraz obywateli. To w owych „sposobach działania", w gotowości do współpracy ponad podziałami dla dobra ogółu, tkwiła istota republikańskiego etosu. Niestety, poddając chłodnej ocenie współczesną polską scenę polityczną, trudno oprzeć się wrażeniu, że owa antyczna forma ulega postępującej, głębokiej i być może nieodwracalnej erozji. Debata publiczna, będąca krwiobiegiem każdej dojrzałej demokracji, karleje i jest dramatycznie trywializowana. Ustępuje miejsca zjawisku, które w rzymskiej tradycji prawnej określano mianem *pollicitatio*.

W starożytności *pollicitatio* oznaczała jednostronne przyrzeczenie obywatela wobec miasta lub społeczności. Najczęściej dotyczyło ono ufundowania monumentalnej budowli użyteczności publicznej, zorganizowania igrzysk lub przekazania znacznych środków finansowych. Obietnica ta była składana zazwyczaj w zamian za objęcie zaszczytnego urzędu (*ob honorem*) lub z czystej chęci zyskania poklasku i ugruntowania swojej pozycji społecznej. Choć w pierwotnych założeniach mechanizm ten miał służyć dobru wspólnemu i budowaniu infrastruktury miejskiej, z czasem zaczął odsłaniać swoje mroczne oblicze. Stał się narzędziem kupowania przychylności tłumu i korumpowania sfery publicznej.

Współcześnie mechanizm ten uległ daleko idącej degeneracji, stając się głównym, a nierzadko jedynym orężem w arsenale politycznego populizmu. Dzisiejsza *pollicitatio* to obietnica absolutnego bezpieczeństwa, dobrobytu, mocarstwowej potęgi i bezbolesnych rozwiązań skomplikowanych problemów. Jest składana przez decydentów nie na podstawie realnych możliwości makroekonomicznych państwa, lecz wyłącznie w celu maksymalizacji krótkotrwałego kapitału politycznego i wyborczego. W miejsce merytorycznego sporu o dobro wspólne otrzymujemy niekończącą się licytację na slogany, w której racjonalne argumenty ekonomiczne, prawne i strategiczne toną w zgiełku emocjonalnej polaryzacji. Upadek debaty publicznej nie polega bowiem na tym, że politycy zamilkli, ale przestali ze sobą – i z obywatelami – rozmawiać, zastępując autentyczny dialog spektaklem wyreżyserowanych konfliktów i plemiennych wojen.

> W starożytności *pollicitatio* oznaczała jednostronne przyrzeczenie obywatela wobec miasta lub społeczności.

Doskonałym, a zarazem niezwykle niepokojącym studium tego zjawiska jest tocząca się w Polsce dyskusja wokół bezprecedensowego wzrostu wydatków obronnych oraz koncepcji finansowania zbrojeń. Dotyczy to zwłaszcza unijnego programu SAFE (Security Action for Europe) i jego krajowej mutacji, określanej mianem Polskiego SAFE 0%. Kwestia bezpieczeństwa narodowego, która z samej swojej natury powinna stanowić nienaruszalny fundament ponadpartyjnej *concordii*, stała się kolejnym polem bitwy. Racja stanu bezceremonialnie ustępuje miejsca partykularnym interesom, ambicjom politycznym i cynicznej grze o władzę. Zamiast jednoczyć naród w obliczu realnych wyzwań geopolitycznych, temat ten przyczynia się do pogłębiania podziałów i erozji spójności społecznej.

Jak trzeźwo diagnozuje prof. Grzegorz W. Kołodko, polska gospodarka, mimo fasadowych sukcesów, nominalnego wzrostu PKB i urzędowego triumfalizmu, zmierza w stronę skrajnie niebezpiecznej nierównowagi. Deficyt budżetowy o charakterze strukturalnym zbliża się do alarmującego poziomu 7%, a dług publiczny nieubłaganie rośnie ku konstytucyjnemu progowi 60% PKB (a licząc adekwatną unijną metodą ESA 2010, do 75% PKB). Roczne koszty samej tylko obsługi tego zadłużenia przekraczają 100 mld zł. W tak napiętej i obiektywnie trudnej sytuacji racjonalna debata publiczna powinna się koncentrować na bolesnych, niepopularnych wyborach makroekonomicznych. W jaki sposób zrównoważyć bezsprzeczną konieczność modernizacji sił zbrojnych i wydolność finansową państwa? Gdzie szukać oszczędności? Jak zracjonalizować wydatki socjalne i administracyjne, by nie doprowadzić do zapaści finansów publicznych?

eprasa.pl 41272a67e2

Zamiast tego elity polityczne serwują społeczeństwu narrację opartą niemal wyłącznie na strachu. Nieustanne epatowanie groźbą rychłej agresji militarnej ze strony Rosji staje się wygodnym narzędziem manipulacji, pozwalającym na forsowanie wydatków obronnych na poziomie 5% PKB – najwyższym spośród wszystkich 32 państw członkowskich NATO. W tym właśnie miejscu współczesna *pollicitatio* ujawnia najgroźniejsze, destrukcyjne oblicze. Politycy obiecują obywatelom iluzję absolutnego bezpieczeństwa, kupowanego za pieniądze pożyczone za granicą na wysoki procent. Ignorują przy tym fakt, że prawdziwa odporność państwa opiera się nie tylko na liczbie zakupionych czołgów, wyrzutni rakietowych czy samolotów bojowych, lecz głównie na sile i stabilności gospodarki, spójności społecznej oraz sprawności dyplomacji.

Uleganie presji globalizującego się militaryzmu i bezrefleksyjne dołączanie do wyścigu zbrojeń to w dłuższej perspektywie droga donikąd. Europa jako całość wydaje na zbrojenia znacznie więcej niż jej potencjalni adwersarze, jednak robi to w sposób dramatycznie nieskoordynowany i marnotrawny. Podczas gdy Stany Zjednoczone operują ok. 30 systemami uzbrojenia, rozdrobniona Europa utrzymuje ich aż 178. Zamiast mądrej, zoptymalizowanej polityki obronnej, opartej na synergii i współpracy w ramach sojuszy, wybiera się rozwiązanie najprostsze z punktu widzenia politycznego PR: wydawać więcej, nie zważając na to, czy wydaje się mądrzej. To przykład ucieczki od odpowiedzialności, w którym racjonalna analiza ustępuje miejsca militarystycznej psychozie. Politykom zawsze łatwiej przychodzi asygnowanie kolejnych miliardów na zbrojenia niż żmudna praca nad koordynacją, logistyką i efektywnością wydatków.

Spór o projekt SAFE to kwintesencja wszystkich patologii współczesnej polskiej debaty publicznej. Z jednej strony, na stole leży unijny instrument finansowy, z drugiej – odważna propozycja sięgnięcia po część potężnych rezerw walutowych Narodowego Banku Polskiego, by sfinansować niezbędne zbrojenia bez dalszego, samobójczego pogrążania budżetu w długu. Z czysto ekonomicznego punktu widzenia wykorzystanie części rezerw – których wartość przekracza bilion złotych (w tym ponad 550 ton złota), a które lokowane są za granicą na stosunkowo niski procent (ok. 2%), podczas gdy państwo pożycza kapitał znacznie drożej (ok. 5%) – jest rozwiązaniem pragmatycznym, logicznym i opłacalnym. Wymagałoby to jednak tego, co w zdegenerowanej, współczesnej *res publica* wydaje się towarem najbardziej deficytowym: dojrzałej współpracy ponad podziałami, owej rzymskiej *concordii*.

Aby tak skomplikowana operacja finansowa mogła się powieść i przynieść wymierne korzyści dla państwa, niezbędny jest absolutny konsensus między rządem, prezydentem a niezależnym bankiem centralnym. Wymaga to stworzenia swoistego triumwiratu, porozumienia ponad podziałami, w którym prezydent Karol Nawrocki, premier Donald Tusk oraz prezes NBP Adam Glapiński potrafiliby wznieść się ponad bieżące animozje. Tymczasem w polskich realiach propozycja ta natychmiast stała się kolejnym orężem w brutalnej walce politycznej. Zamiast z powagą pochylić się nad inżynierią finansową, ramami konstytucyjnymi takiego rozwiązania i długofalowymi skutkami dla gospodarki, czołowi politycy woleli wykorzystać sytuację do wzajemnych oskarżeń, dyskredytowania oponentów i budowania taniego kapitału politycznego. Wicepremierzy Władysław Kosiniak-Kamysz i Radosław Sikorski opowiedzieli się za fuzją obu programów SAFE, co mogłoby oznaczać podwójne finansowanie, ale bez gwarancji racjonalizacji ogólnych wydatków. Debata o miliardach złotych i długoterminowej stabilności państwa sprowadziła się do personalnych animozji, medialnych uszczypliwości i prawno-konstytucyjnych przepychanek. W tym zgiełku litera prawa bywa traktowana skrajnie instrumentalnie, a duch racji stanu ulatnia się, ustępując miejsca plemiennej lojalności.

Zamiast merytorycznej dyskusji, jak zoptymalizować koszty obsługi długu i racjonalnie zarządzać rezerwami narodowymi, obserwujemy żenujący spektakl, w którym jedni oskarżają drugich o zdradę interesów narodowych, łamanie konstytucji czy uleganie obcym wpływom. Pojawiają się głosy o niezgodności z ustawą zasadniczą jakiegokolwiek posiłkowania się rezerwami NBP, podczas gdy inni prawnicy wskazują potencjalną niekonstytucyjność unijnego SAFE ze względu na klauzule warunkowości.

Spór o projekt SAFE to kwintesencja wszystkich patologii współczesnej polskiej debaty publicznej.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 41272a67e2

W ten sposób fundamentalne pytania o przyszłość polskiej gospodarki i bezpieczeństwa zostają zagłuszone przez kakofonię politycznej *pollicitatio*. Obiecuje się wszystko wszystkim: potężną armię, utrzymanie rozbudowanych programów socjalnych (jak 13. i 14. emerytura czy waloryzowane 800+), brak nowych podatków i dynamiczny rozwój, ignorując prawa matematyki i ekonomii. To droga do katastrofy, w której rachunek za dzisiejszą nieodpowiedzialność elit zapłacą przyszłe pokolenia.

Ten fatalny stan rzeczy ma katastrofalne skutki dla spójności społecznej, która jest przecież spoiwem każdej *res publica*. Republika nie może trwać i rozwijać się bez elementarnego zaufania obywateli do instytucji państwa i do siebie nawzajem. Kiedy debata publiczna zostaje zredukowana do prymitywnego starcia, w którym każda propozycja oponenta politycznego jest z definicji odrzucana jako zdrada, niekompetencja lub szaleństwo, społeczeństwo traci zdolność do racjonalnej oceny otaczającej je rzeczywistości. Strach przed wojną, cynicznie podsycany przez decydentów, w połączeniu z rosnącymi obciążeniami fiskalnymi, widmem cięć socjalnych i inflacją tworzy mieszankę o ogromnym potencjale wybuchowym. Obywatele, zamiast być traktowani jako podmiotowi partnerzy w poważnej dyskusji o przyszłości państwa, stają się biernymi, zastraszonymi odbiorcami propagandy politycznej – obietnic bez pokrycia, za które ostatecznie sami będą musieli zapłacić najwyższą cenę.

Wracając do myśli antycznej, warto z całą mocą przypomnieć, że historyczny upadek republiki rzymskiej nie rozpoczął się od nagłej inwazji barbarzyńców. Wynikał z powolnego, wewnętrznego rozkładu obyczajów politycznych, zaniku *concordii* i brutalnej prywatyzacji sfery publicznej przez ambitne, zwaśnione jednostki. Kiedy partykularne interesy frakcji wzięły górę nad dobrem wspólnym, a racjonalna debata w Senacie ustąpiła miejsca demagogii i przemocy, los *res publica* był przesądzony. Współczesna Polska, choć funkcjonuje w innych realiach geopolitycznych i historycznych, stoi przed uderzająco podobnym wyzwaniem. Postępująca militaryzacja debaty publicznej, sprowadzanie niezwykle skomplikowanych problemów makroekonomicznych do czarno-białych klisz oraz traktowanie państwa jako łupu politycznego to prosta droga do intelektualnego autorytaryzmu, w którym nie ma już miejsca na niuanse, uzasadnione wątpliwości i wspólne poszukiwanie optymalnych rozwiązań.

Światełkiem w tunelu i dowodem na to, że merytoryczna debata wciąż jest w Polsce możliwa, była konferencja „Niedomknięte sejfy. Od sporu politycznego do systemowych rozwiązań dla bezpieczeństwa Polski", zorganizowana przez Centrum Badawcze TIGER w Akademii Leona Koźmińskiego (ALK). Właśnie tam odbyła się rzetelna dyskusja na temat projektu SAFE i alternatywnych sposobów finansowania bezpieczeństwa państwa. W przeciwieństwie do politycznych przepychanek debata w ALK toczyła się w atmosferze szacunku dla pluralizmu idei. Wybitni ekonomiści i przedstawiciele różnych instytucji potrafili zasiąść do dyskusji, by na chłodno analizować ryzyka i korzyści płynące z poszczególnych rozwiązań.

Prof. Marek Belka przekonywał, że kluczem do bezpieczeństwa i racjonalnego wykorzystania rezerw jest przyjęcie euro. Prof. Witold Orłowski postulował dywersyfikację mechanizmów finansowania, a prof. Dariusz Rosati wraz z dr. Jakubem Borowskim precyzyjnie punktowali ukryte koszty sterylizacji pieniądza w projekcie prezydenckim. Z kolei przedstawiciele NBP i Kancelarii Prezydenta, tacy jak Artur Soboń czy Leszek Skiba, mieli przestrzeń do obrony swoich racji, wskazując zagrożenia związane z uszczuplaniem rezerw w dobie niepewności geopolitycznej. To rzadki, a zarazem niezwykle budujący przykład tego, jak powinna funkcjonować współczesna *res publica*: jako przestrzeń wymiany merytorycznych argumentów, a nie politycznych inwektyw. I dowód na to, że na tematy ważne i trudne da się debatować rzeczowo, pragmatycznie i kulturalnie.

Zatem dzisiaj „jeszcze nie jest za późno" – by sparafrazować tytuł eseju prof. Kołodki – aby zawrócić z tej niebezpiecznej drogi. Wymaga to jednak fundamentalnej, głębokiej zmiany paradygmatu uprawiania polityki nad Wisłą. Musimy bezwzględnie przywrócić debacie publicznej jej ciężar gatunkowy i powagę. Oznacza to konieczność odrzucenia pustej, populistycznej *pollicitatio* na rzecz uczciwego, rzetelnego informowania społeczeństwa o kosztach i długoterminowych konsekwencjach podejmowanych decyzji. W kluczowej kwestii wydatków obronnych i projektu SAFE potrzebujemy chłodnej, eksperckiej kalkulacji, opartej na realnych możliwościach gospodarki, a nie na wzbudzaniu strachu i politycznym zacietrzewieniu. Jeśli prawo okazuje się barierą dla racjonalnych rozwiązań ratujących finanse państwa, należy je mądrze i w zgodzie z procedurami modyfikować, a nie używać jako pałki na przeciwników.

Tylko autentyczny powrót do etosu *res publica* – rozumianej jako wspólna, niepodzielna odpowiedzialność za państwo, wymagająca mądrego kompromisu, szacunku dla procedur i fundamentalnego uznania dla oponenta – może uchronić nas przed wielowymiarowym kryzysem, z którego żadne, nawet najnowocześniejsze i najdroższe systemy uzbrojenia nas nie wydobędą. Prawdziwe, trwałe bezpieczeństwo rodzi się bowiem w głowach krytycznie myślących obywateli, w sile innowacyjnej gospodarki i w mądrości sprawnie zarządzanego państwa, a nie w niedomkniętych sejfach skłóconych, krótkowzrocznych polityków, którzy w imię doraźnych korzyści gotowi są poświęcić przyszłość całej wspólnoty.

Jak diagnozuje prof. Grzegorz W. Kołodko, polska gospodarka zmierza w stronę skrajnie niebezpiecznej nierównowagi.

Waldemar Karpa jest ekonomistą, kierownikiem Katedry Ekonomii Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie

eprasa.pl 41272a67e2

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Malinowski, Fleck i inni

Gdy byłem *visiting fellow* w Cambridge, wybrałem się do Department of Social Anthropology, aby wziąć udział w seminarium naukowym. Od czasu bowiem, gdy miałem przyjemność słuchać na studiach wspaniałych wykładów z historii antropologii kulturowej prof. Marka Ziółkowskiego (późniejszego senatora i ambasadora), moja miłość do tej dyscypliny naukowej była niezachwiana. Szefem departamentu (katedry) był wtedy Ernest Gellner, światowej klasy żydowsko-czesko-brytyjski antropolog kultury. Zapytał, skąd jestem… i przeszedł na polski. Choć było to zaledwie kilka słów przywitania i zgody na wzięcie udziału w seminariach katedry, i tak zrobiło na mnie wrażenie. Równe temu, jakie odniosłem, gdy wiele lat później wybitny filozof i estetyk amerykański Joseph Margolis (a było to w Houston podczas zjazdu jednego z oddziałów amerykańskiego towarzystwa filozoficznego) nagle przerwał prowadzoną po angielsku konwersację i powiedział do mnie po polsku: „Wiesz, moja mamusia nigdy nie chciała ze mną rozmawiać w jidysz, zawsze po polsku". Wracając do Gellnera, bywał później w Polsce i wiem, że był zaprzyjaźniony z polskimi antropologami kulturowymi. Jak się okazało, w jego katedrze byli także inni znający język polski. Skąd się tam wzięli? Przebywali na stażach w Polsce.

Dlaczego tutaj? Odpowiedź musi nas skierować w stronę jednego z najwybitniejszych polskich naukowców wszech czasów, a mianowicie Bronisława Malinowskiego. Zaryzykuję tezę, że obok Kopernika i Marii Curie-Skłodowskiej jest on najbardziej znanym na świecie polskim badaczem. Założycielem instytucjonalnym antropologii kulturowej jako nauki uniwersyteckiej, pierwszym szefem katedry poświęconej tej nauce, utworzonej w 1918 r. w London School of Economics. Wszędzie na świecie znają jego nazwisko i kojarzą je z Polską. Choć bowiem Malinowski wyjechał na wyprawę naukową jeszcze przed I wojną światową i nigdy do Polski nie wrócił (był zaprzyjaźniony z Witkacym, który mu zresztą towarzyszył, oraz z innymi artystami stanowiącymi bohemę krakowsko-zakopiańską na początku XX w.), dzieła naukowe pisał po angielsku i stał się filarem brytyjskiej szkoły antropologii kulturowej (potęgi w XX w.), to jednak z Polską jest zawsze słusznie kojarzony, jako absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego i autor skandalizującego „Dziennika w ścisłym znaczeniu tego wyrazu" napisanego po polsku. Czy spotyka się u nas z zasłużoną sławą i uznaniem? W kręgach antropologii kulturowej z pewnością tak, ale szerzej? Moim zdaniem nie.

Inny przykład. Największy obok Leszka Kołakowskiego, Romana Ingardena i Alfreda Tarskiego polski filozof XX w. – Ludwik Fleck. Przed II wojną światową profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, po wojnie Akademii Medycznej oraz Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W 1956 r. wyemigrował do Izraela jako obywatel polski żydowskiego pochodzenia. Kto o nim w Polsce słyszał? Tylko fachowcy, a to postać o wymiarze światowym, w filozofii nauki równa największym. Dobrze się stało, że opublikowano ostatnio bardzo obszerną książkę o aktywności Flecka w okresie wojennym oraz powojennym (Anna Wacławik, Maria Ciesielska, „Fleck. Ocalony przez naukę"). Być może jest to wstęp do przyznania mu wreszcie należnego miejsca w nauce polskiej (oby!).

Przykłady wielkich polskich naukowców lepiej znanych za granicą niż w kraju można mnożyć, że wspomnę jedynie o wielkich matematykach oraz logikach ze Lwowa i Warszawy – Alfred Tarski, Stefan Banach, Hugo Steinhaus, Kazimierz Kuratowski, Wacław Sierpiński, Stanisław Ulam, Jan Łukasiewicz – których sława na świecie jest ogromna, a w Polsce znikoma.

Zmierzam do wniosku, że nie potrafimy stosownie uczcić największych z naszych naukowców, że nie dbamy o to, aby ich znaczenie podkreślić na arenie krajowej i międzynarodowej. Nie mają oni stosownych tablic upamiętniających ich obecność w polskiej nauce, ulic ani placów ich imienia, w szkołach milczy się na temat ich znaczenia. Może warto by np. ogłosić jakiś rok rokiem polskich matematyków i logików ze Lwowa i Warszawy? Rokiem Bronisława Malinowskiego? Floriana Znanieckiego, wielkiego socjologa światowej sławy, pracującego w USA i w Polsce, szefa pierwszej Katedry Socjologii w Polsce (rok 1918, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu)? Czy np. Uniwersytet Medyczny w Lublinie nie mógłby nosić imienia Ludwika Flecka?

Wielkich polskich lub urodzonych w Polsce naukowców, którzy czekają na pełne uznanie w naszym kraju, jest znacznie więcej (np. w zakresie medycyny, fizyki czy prawa). *Pro domo sua* wspomnę jedynie o prof. Tadeuszu Czeżowskim, wybitnym logiku i filozofie toruńskim (przed wojną wileńskim), jednym z pierwszych nagrodzonych tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata (ocalił od zagłady wielu Żydów, w tym wybitną polską literaturoznawczynię Marię Renatę Mayenową). Uczmy o nich w szkołach. Chwalmy się nimi na arenie międzynarodowej. Nie pozwólmy, aby pamięć o nich zginęła. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 41272a67e2

Polityka klimatyczna Unii Europejskiej

Nadmierne ambicje redukcyjne i Europejski Zielony Ład

Adam Gierek

Na początek chciałbym znaleźć odpowiedź na pytanie, jak to się stało, że wchodząc do Unii Europejskiej, cieszyliśmy się najtańszą energią elektryczną, którą eksportowaliśmy także do krajów unijnych, a po ponad 20 latach stała się ona najdroższa na wspólnym rynku.

Jeszcze w 2003 r. zadałem ówczesnemu premierowi Leszkowi Millerowi pytanie (na posiedzeniu Senatu, podczas którego premier przedstawiał sprawozdanie z rozmów kopenhaskich na temat naszej akcesji), jakie atuty wnosimy do Wspólnoty. Odpowiedział, że naszym wkładem jest młoda, dobrze wykształcona kadra. Ja jednak miałem na myśli rzecz bardziej prozaiczną, a mianowicie naszą tanią energię elektryczną, od której – jak wiadomo – zależy konkurencyjność gospodarcza.

A co później się stało z tym, według premiera, „naszym atutem"? Młodzi ludzie, dobrze wykształcona kadra, masowo opuszczali kraj w poszukiwaniu pracy. Proces ten na wielką skalę rozpoczął się po 1989 r., roku gospodarczej destrukcji, dokonanej w myśl tzw. konsensusu waszyngtońskiego. Od tego czasu z Polski wyjechało co najmniej 3 mln młodych i dobrze wykształconych ludzi. Największy nasz kapitał. Czy tak miało być? Czy o to walczyli stoczniowcy? I czy chodziło o to, by w Polsce energia elektryczna była droga?

Już jako europoseł po 2004 r. zacząłem pilnie śledzić atuty gospodarcze Polski jako gracza na wspólnym, konkurencyjnym rynku unijnym. Dało się już wówczas zauważyć, że na rozwój gospodarczy Unii przemożny wpływ zaczyna wywierać jej polityka klimatyczna, oparta na bezkrytycznej wierze decydentów politycznych Wspólnoty w przesłanie Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC), że burzliwy rozwój przemysłu od 1750 r. zapoczątkował dramatyczne zmiany klimatu. Głównym czynnikiem wywołującym owe antropogeniczne zmiany, tj. ocieplanie się atmosfery ziemskiej, jest według IPCC nadmierna emisja dwutlenku węgla w tym okresie. Przekonanie o słuszności tej tezy IPCC opiera na metaanalizie licznych artykułów z zakresu nauki o klimacie, które mają stanowić dowód rzekomej poprawności przesłanek hipotezy o antropogenicznych przyczynach ocieplania się klimatu. Tu też należy się doszukiwać głównej przyczyny przyjęcia przez Unię polityki klimatycznej, która za głównego sprawcę tego stanu rzeczy uznała klasyczną energetykę opartą na paliwach kopalnych. Rodzi się istotne pytanie, czy Komisja Europejska, podejmując tę „walkę", kierowała się wiarą w nieomylność IPCC, czy racjonalnym przekonaniem, że tak w istocie się dzieje.

Ambicje klimatyczne Komisji Europejskiej sięgnęły granic absurdu.

Pytanie takie zadałem więc ówczesnemu komisarzowi ds. środowiska, Stawrosowi Dimasowi. Odpowiedział: „Tak, wierzę". A przecież jest to tylko hipoteza, mówiąca, że przyczyną ocieplania się klimatu może być nadmierna emisja dwutlenku węgla oraz innych gazów cieplarnianych. Hipoteza ta wymaga jednak – jak każda hipoteza – naukowej weryfikacji fizykalnej jej podstawowych przesłanek (np. opierając się na modelowych badaniach z zastosowaniem prawa Stefana-Boltzmanna).

Kiedy więc komisarzem ds. klimatu została Dunka Connie Hedegaard, na jednym z posiedzeń komisji tematycznej zadałem jej to nurtujące mnie pytanie – o naukową weryfikację owej hipotezy. Odpowiedziała, że „wchodzimy na inny poziom dyskusji", zamykając w ten sposób rozmowę. Dla niej wszystko było przecież jasne…

W 2007 r. prezydent Lech Kaczyński podpisał zobowiązanie naszego kraju do osiągnięcia celu klimatycznego 3x20. Podjęliśmy się zatem jako kraj, że do 2020 r. obniżymy emisję dwutlenku węgla o 20% w stosunku do 1990 r., co nie stanowiło problemu, gdyż po „reformie" Balcerowicza i po dzikiej prywatyzacji niewiele przemysłu emitującego dwutlenek węgla jeszcze się w Polsce ostało. Zgodziliśmy się nadto na zwiększenie o 20% pozyskiwania energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych, a także na wzrost efektywności energetycznej o 20%. To ostatnie nasze

eprasa.pl 41272a67e2

Konferencja Narodów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatu COP14, w której uczestniczyło ok. 10 tys. delegatów ze 186 państw. Poznań, 1 grudnia 2008 r.

zobowiązanie wynikało z całkowitego niezrozumienia przez decydentów podpisujących ten dokument, o co chodzi w tym, co rzeczywiście nazywamy efektywnością energetyczną. Omówiłem to szczegółowo już wcześniej na łamach „Przeglądu" (nr 11/2024).

W grudniu 2008 r. miał miejsce dalszy ciąg akceptacji przez Polskę unijnej polityki energetyczno-klimatycznej, bo premier Donald Tusk, wprawdzie z ociąganiem i jako ostatni, ale wyraził zgodę na Europejski System Handlu Emisjami (ETS). Jako europoseł byłem temu zdecydowanie przeciwny. Jak się wkrótce okazało, ten początkowo niewinny system wzajemnego odsprzedawania nadwyżek emisyjnych dwutlenku węgla wewnątrz Unii stał się zabójczy dla gospodarek opartych na energii z elektrowni węglowych. Stało się to w chwili, gdy do ETS wkroczył międzynarodowy kapitał spekulacyjny. Ceny 1 tony dwutlenku węgla skoczyły błyskawicznie z początkowych 3-7 euro do 70, a nawet 100 euro. Dlaczego tak bezkrytycznie zgodziliśmy się na ten spekulacyjny system? Przecież można było sterować procesami ograniczenia emisji dwutlenku węgla za pomocą normalnego kontrolowalnego systemu podatkowego.

Kolejny rząd, premiera Morawieckiego, włączając się w tę grę spekulantów, uzyskał ze sprzedaży emisji nawet dość duże zarobki. Na co przeznaczono te środki? Pytań związanych z tym spekulacyjnym tematem jest więcej. To m.in. kwestia podstawy ustalania wolumenu bezpłatnych limitów emisji, przyznawanych przez Komisję krajom członkowskim.

Polska, „kraj peryferyjny" UE, nie jest gotowa na 55% redukcji emisji dwutlenku węgla.

W jakim stopniu brano przy tym pod uwagę potrzebę coraz bardziej „ambitnego" ograniczania emisji? Owa napędzana rosnącymi ambicjami klimatycznymi polityka, mająca ocalić całą ludzkość przed nadchodzącą katastrofą (sic!), już wkrótce zaczęła zmierzać bezpośrednio do niezwykle wygórowanych wskaźników, tzw. zeroemisyjności netto, w ramach Europejskiego Zielonego Ładu. Ambicje klimatyczne Komisji Europejskiej sięgnęły bowiem granic absurdu. Założono, że w miejsce poprzedniego 40-procentowego ograniczenia emisji dwutlenku węgla do 2030 r. należy dokonać skoku do 55%. Ponaglające hasło propagandowe „Gotowi na 55%" było – jak twierdzono – zgodne ze zobowiązaniami paryskimi. Docelowa neutralność klimatyczna w 2050 r. jest moim zdaniem efektem swoistego zacieśnienia tego pojęcia, gdyż według mnie tę neutralność zapewnia już 50-procentowe ograniczenie emisji, co też omówiłem wcześniej w „Przeglądzie" (nr 34/2024).

Aktualnie można odnieść wrażenie, że oto jakaś większość, np. w Parlamencie Europejskim, zdecydowała o tym przyśpieszeniu, biorąc zwłaszcza pod uwagę interesy państw centrum Unii. Działo się to także w czasie, gdy Holender Frans Timmermans, reprezentujący moją grupę polityczną, był wiceprzewodniczącym komisji ds. Europejskiego Zielonego Ładu. To on na odchodnym, wracając do polityki krajowej, holenderskiej, wrzucił ów gorący kartofel do już wrzącego kotła polityki klimatycznej. Czy był to jego gest w kierunku opinii publicznej Holandii, wrażliwej na zmiany klimatyczne?

FOT. MATEUSZ OWSIANNY/EAST NEWS

eprasa.pl 41272a67e2

Polska, „kraj peryferyjny" UE, nie jest – tak sądzę – gotowa na 55% redukcji emisji dwutlenku węgla. Mimo to zgodę na ten krok w zakresie polityki klimatycznej zaakceptował już w grudniu 2019 r. premier Mateusz Morawiecki. Wyraził zgodę na plan osiągnięcia neutralności klimatycznej. Czy chodziło o neutralność klimatyczną Unii? A może świata? Był to moim zdaniem nie do końca przemyślany krok, zważywszy na niejasną w odniesieniu do rozważanego obszaru definicję neutralności klimatycznej, błędnie utożsamianej z europejską zerową emisją netto. Gazy atmosferyczne cechują się bowiem tendencją do dyfuzji i szybkiego mieszania się. Nawet gdyby w Europie czy w Polsce udało się jakimś cudem zrównoważyć emisję z absorpcją dwutlenku węgla, co można sobie jedynie wyobrazić teoretycznie, stan ten natychmiast zostałby zakłócony. Gaz ten nie zna granic i napłynie ze strony dużych jego emitentów – Chin, USA, Indii i wielu innych. Skąd zatem bierze się ów upór Komisji przy posługiwaniu się określeniem „zerowej emisji netto"? To proste: przyjęto, że wskaźnik ten ma stanowić podstawę do wyliczania tzw. śladu węglowego już w ramach ETS II, tzn. jego naliczania w procesach ogrzewania mieszkań i pomieszczeń oraz w transporcie. Będzie to według założeń projektodawców podstawą do naliczania od 2027 r. obciążeń finansowych nakładanych na użytkowników, tj. na społeczeństwa unijne. Czy będą to, podobnie jak w poprzednim ETS, ceny spekulacyjne? Przypuszczam, że tak. Jak więc zachowa się Polska w tym handlu?

Polityka klimatyczna Unii Europejskiej wymaga pilnej korekty, przynajmniej w odniesieniu do Polski.

Zielony Ład to wiele ważnych regulacji unijnych obejmujących również rolnictwo, tj. przepisów, pod presją których państwa członkowskie mają odejść od stosowania paliw kopalnych, z naciskiem na „brudny" węgiel. Europa Zachodnia, w tym Belgia i Francja, zaczęła odchodzić od węgla w energetyce tuż po II wojnie światowej. Było to spowodowane wyczerpywaniem się zasobów własnych w tych krajach, a możliwe dzięki tanim źródłom energii (też kopalnym) z Bliskiego Wschodu oraz szerokiemu zastosowaniu energetyki nuklearnej. W Niemczech proces ten rozpoczął się znacznie później, bo niemiecka gospodarka długo korzystała z taniego paliwa (gaz i ropa) importowanego z Rosji. Ponieważ niemiecka energetyka była zasilana ze Wschodu, rzucone przez panią kanclerz Angelę Merkel hasło Energiewende, czyli zmiany polegającej na odejściu Niemiec od energetyki nuklearnej pod wpływem katastrof w Czarnobylu i Fukushimie, miało wtedy pewien sens. Do czasu…

Politykom z krajów unijnych po rozszerzeniu Wspólnoty w 2004 r. i później, w tym pani kanclerz Niemiec, wydawało się na początku wprowadzania unijnej polityki klimatycznej, że będzie ona łączyć kraje wokół celu redukcji dwutlenku węgla. To oczekiwanie niestety już się nie sprawdza.

Zgoda Polski na nierealne ograniczenia emisji dwutlenku węgla, wynikające z mocno przesadzonych zobowiązań do 2030 r. i później, świadczy o niezrozumieniu przez naszych ówczesnych graczy politycznych, o co toczy się gra. Ich zgoda na dotychczasową politykę klimatyczną może np. doprowadzić w Polsce do przedwczesnej likwidacji Elektrowni Bełchatów czy nowoczesnej kopalni Bogdanka, cała zaś Wspólnota już obecnie traci konkurencyjność ekonomiczną na światowych rynkach.

Polityka klimatyczna Unii Europejskiej wymaga więc pilnej korekty, przynajmniej w odniesieniu do Polski, i odejścia od niczym niepotwierdzonych konieczności, co powyżej starałem się wykazać. Ambicje klimatyczne, które doprowadziły do tzw. Zielonego Ładu, nie są bowiem poparte realnymi dowodami naukowymi, lecz wynikają z jakiejś swoistej paniki oraz, co bardzo prawdopodobne, z działań lobbystycznych.

Nasz kraj jako ważny gracz winien w związku z tym doprowadzić do działań deregulacyjnych w prawie unijnym. Czeka nas bowiem poważna, konieczna reindustrializacja w związku z programem SAFE.

Prof. dr hab. Adam Gierek – były senator RP i eurodeputowany

eprasa.pl 41272a67e2

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Ani wojna, ani pokój, ani triumf, ani zgon

Każdy czas ma tendencję do tego, by się wyróżniać spośród innych, „gorszych" epok. Dzisiaj nie jest inaczej. Czy to schyłek, czy interregnum, czy metamorfoza o kolejnych cyfrowych naklejkach: 1.0, 2.0, 187.0, jak zwał, tak zwał, próbujemy zrozumieć, mając niejednokrotnie wrażenie, że mimo niedostępnych wcześniej mocy technologicznych i powszechnej komunikacji wiemy mniej, niczego nie jesteśmy pewni i co chwilę budzimy się w pajęczej sieci niejasności, pogmatwania i pomylenia pojęć.

Jeśli kluczowymi postaciami świata są rozregulowani etycznie i niestabilni emocjonalnie ignoranci pokroju Trumpa czy Netanjahu – może naprawdę czas przestać się dziwić i mantrować o dobrodziejstwach demokracji, od której niczego lepszego nie wymyślono. Dlaczego nie podejmujemy prób wymyślenia czegoś lepszego? Mamy przecież niezły fundament założycielski – myślę o latach tuż po II wojnie światowej i Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Jest na czym stawiać nowy gmach świata.

Tymczasem oglądamy spektakl w wykonaniu pomarańczowego szaleńca, dysfunkcyjnego narcyza z monumentalnym bagażem ignorancji. Tysiące lat rozwoju człowieczeństwa, rozumu, nauki, zdolności do autokrytyki i naprawy błędów – którą boczną ścieżką ewolucji to pobłądziło? Odpowiedź może być dużo groźniejsza. Trump i Netanjahu nie są przejawem skrajnej patologii osobowościowej – są zwieńczeniem, symbolem konsekwentnego dojścia do granic tego, czego oczekuje od ludzi, reguł, świata obecny system, rakotwórczy kapitalizm, podparty kolonializmem i imperializmem, dominacją bezwzględnej siły militarnej. Toż oni nie są tylko prorokami późnego kapitalizmu (niektórzy odważają się mówić z nadzieją: schyłkowego). Oni są jego mesjaszami.

Co do ostatnich wydarzeń wokół agresji Izraela i jego marionetki, USA (tu ogon kręci psem, co dla wielu jest zaskoczeniem – dlaczego?), skala pogubienia się jest trudna do wyobrażenia. Wiemy, kto zaczął. Wiemy, jak to przebiegło. Nie wiemy, czym, jeśli w ogóle, się skończy. Politolog Filip Ilkowski z UW, badacz imperializmu, pisze o tym tak: „Nie wiemy, co się wydarzy za dwa tygodnie. Nie wiemy nawet, co się wydarzy jutro. Netanjahu już ogłosił, że zawieszenie broni nie dotyczy Libanu. Coś jednak wiemy – wygląda to na geopolityczną klęskę USA i ich sojuszników w kluczowym dla gospodarki światowej regionie. (…) To także klęska arabskich reżimów układających się z USA i Izraelem, które poniosły (i wciąż będą ponosić) istotne koszty gospodarcze. Kwestie, które w ogóle nie były podważalne od dekad, jak bazy amerykańskie w regionie Zatoki Perskiej mające gwarantować zachodni porządek i spokój arabskich dyktatorów, stają się nagle sprawami do dyskusji. To w końcu klęska wszystkich sojuszników USA starających się budować własną pozycję na własnej wasalnej roli wobec Waszyngtonu i – co najmniej – milczeć wobec gangsterskiego stylu i narastającej nieprzewidywalności poczynań jego władcy. Ich kompromitacja jest tym większa, im większa była chęć demonstracji własnego przywiązania do USA. W Polsce najbardziej dotknęło to trumpistowską prawicę pisowsko-nawrocką. (…) Ta klęska będzie miała skutki. Nie wiadomo tylko, jak głębokie".

Tymczasem w Izraelu, w cieniu masowych protestów przeciw wojnie i Netanjahu, obecny lider opozycji Jair Lapid, który zdecydowanie poparł atak swojego kraju na Iran, nazwał zawieszenie broni jedną z największych „katastrof politycznych w całej naszej historii". Powiedział, że Izrael nie był nawet zaangażowany w negocjacje i pomimo sukcesów militarnych premier „poniósł porażkę polityczną, strategiczną i nie osiągnął ani jednego z celów, które sam sobie wyznaczył". Wspomniał też, że naprawa szkód wyrządzonych krajowi przez „arogancję" premiera zajmie lata.

A jeszcze chwilę wcześniej Trump groził zniszczeniem całej cywilizacji Iranu w jedną noc, co zostało przyjęte jako zapowiedź ataku jądrowego. Tak się nie stało. Na razie.

W tym wszystkim jak zawsze znikają realne ofiary: mieszkańcy Gazy, głodujące i pozbawione wody dzieci, na które wciąż spadają izraelskie bomby. Podobnych potworności doświadczają Libańczycy. „Nawet bezdomne koty zaczęły uciekać", mówiła mieszkanka Bejrutu, po tym jak Izrael przeprowadził najcięższe od lat ataki powietrzne na Liban.

W tym samym czasie Kneset uchwala prawo do wykonywania pozasądowych egzekucji palestyńskich więźniów (choć należałoby używać precyzyjniejszego określenia – zakładników; większość Palestyńczyków w izraelskich więzieniach nigdy nie miała żadnego procesu, o uczciwym nie wspominając). Nawet apartheid w RPA nie posunął się tak daleko. Ministrowie rządu Netanjahu noszą przypinki z szubienicą, symbolizujące takie właśnie prawo.

Nie ma żadnej nadrzędnej siły, która zatrzymałaby to pasmo zbrodni, okrucieństw i demolki świata. Chyba że my, ludzie, jak to wielokrotnie bywało, zatrzymamy tę machinę zniszczenia. Ale czy znajdziemy na to czas, ochotę, determinację? Przecież tyle mamy na głowie. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 41272a67e2

ZAKŁAMANA LEGENDA PRAWICY

Sergiusz Piasecki – poprzednik Batyra

Paweł Siergiejczyk

Jednym z patronów 2026 r. jest pisarz Sergiusz Piasecki (1899-1964). Stało się tak na mocy uchwały sejmowej z 26 września 2025 r. Uchwały przyjętej niemal jednogłośnie przez wszystkie kluby i koła poselskie (wstrzymało się zaledwie trzech posłów z PO i PiS, nikt nie był przeciw), choć jej tekst – autorstwa Joanny Lichockiej z PiS – przepojony jest napuszoną antykomunistyczną retoryką rodem z prawicowych mediów. Według Sejmu RP Piasecki to „jeden z najwybitniejszych twórców polskiej literatury XX w.", ponieważ „we wszystkich jego powieściach jest zapis miłości do Polski, przedstawiał polską tożsamość zbudowaną wokół umiłowania wolności, wiary w Boga, honoru i solidarności. Typ niepokornego awanturnika, ale spadkobiercy cnót rycerskich Rzeczypospolitej – tacy są jego bohaterowie, taki był on sam".

Lewica popiera

Pisowską uchwałę poparli także przedstawiciele lewicy, najwyraźniej nieznający całej prawdy o twórczości honorowanego pisarza. W debacie sejmowej Paulina Matysiak (jeszcze wtedy z partii Razem) oświadczyła, że „w twórczości Piaseckiego odnajdujemy bezkompromisowy patriotyzm, umiłowanie wolności i ostrą krytykę wszelkich form totalitaryzmu. Był człowiekiem, który całym sobą sprzeciwiał się imperializmowi rosyjskiemu, przestrzegał przed zniewoleniem i przed konformizmem. Jego książki, zakazane w PRL-u, krążyły w drugim obiegu i kształtowały wyobraźnię pokoleń, które nie godziły się na życie w kłamstwie".

Natomiast Daria Gosek-Popiołek z Klubu Parlamentarnego Lewicy zauważyła, że „dzisiaj Piasecki jest postacią ważną, zwłaszcza dla środowisk konserwatywnych i prawicowych, ale myślę, że jest to trochę niesłuszne, bo pisarzem był znakomitym i zasługuje na szerszą publiczność".

Sergiusz Piasecki (1899-1964) jest jednym z patronów 2026 r., na mocy uchwały sejmowej przyjętej niemal jednogłośnie – wstrzymało się trzech posłów z PO i PiS.

Odpowiedź przyszła szybko. Joanna Lichocka zaprotestowała „przeciwko próbie zaszufladkowania tego wybitnego twórcy po jakiejś stronie politycznej. Jeśli już szeregować, pani poseł, to po stronie przeciwników kolaboracji z Moskwą. Jeśli już mamy szeregować, to po stronie tych, którzy podnosili kwestię suwerenności i niepodległości Polski od razu, natychmiast, nie przez jakieś ewolucyjne pakty z komunistami. Jeśli już robić jakiś podział, to wokół tych, którzy opowiadali się za wolnością, tradycją I i II Rzeczypospolitej, a nie za znieprawieniem PRL-u i jego elit. To jest podział, owszem. I tu wiadomo, gdzie sytuował się Sergiusz Piasecki i gdzie sytuowali się jego czytelnicy. Byłam wśród nich jeszcze w latach 80., w czasach mojego liceum i na studiach, gdy w drugim obiegu kupowaliśmy książki Sergiusza Piaseckiego. Pamiętam, kto je czytał: i chłopcy z PPS-u, i koleżanki z NZS-u, z bardziej katolickich środowisk też, ale to nie było w ogóle istotne. Liczyły się wolność, niepodległość i antykomunizm, nie prawica i lewica".

Dodajmy, że uchwałę sejmową nieprzypadkowo podjęto trzy dni przed ceremonią pochowania na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach szczątków pisarza sprowadzonych przez IPN z Wielkiej Brytanii. W uroczystości wziął udział prezydent Karol Nawrocki, który w typowym dla siebie stylu stwierdził, że „dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy życiorysu i literatury Sergiusza Piaseckiego po to, aby mówić prawdę o bolszewizmie, o systemie komunistycznym, o tym, jakim zagrożeniem dla Polski i dla całej Europy jest postsowiecka, neoimperialna Rosja".

Agent przemytnik

Jedno jest pewne: trudno w historii polskiej literatury znaleźć autora o równie barwnym życiorysie. Urodził się w Lachowiczach koło Baranowicz na Białorusi jako syn zubożałego i zruszczonego szlachcica Michała Piaseckiego, który pracował jako urzędnik pocztowy, oraz jego służącej Klaudii Kukałowicz. Odebrany matce, wychowywany był przez kolejną kochankę ojca, która traktowała go bardzo surowo. Był wyznania prawosławnego, chodził do szkół rosyjskich w Mińsku Litewskim i Bobrujsku, a po ewakuacji miasta w czasie I wojny światowej – we Włodzimierzu nad Klaźmą w centralnej Rosji.

eprasa.pl 41272a67e2

Jeszcze jako gimnazjalista został skazany za pobicia na pobyt w więzieniu dla nieletnich, z którego uciekł podczas rewolucji bolszewickiej i pojechał do Moskwy. Następnie wrócił do Mińska, gdzie wstąpił do białoruskiej organizacji walczącej z bolszewikami. Współdziałał z wojskami polskimi zajmującymi Mińsk i tam w sierpniu 1919 r. został ranny w trakcie walk ulicznych.

Po wyzdrowieniu przyjechał do Warszawy, nie znając praktycznie języka polskiego. W 1920 r. ukończył kurs w szkole podchorążych i wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej w ochotniczych formacjach białoruskich. Po traktacie ryskim z 1921 r. został zdemobilizowany i zajął się przemytem między Polską, Litwą a Rosją radziecką. W 1922 r. zwerbowano go jako cywilnego agenta polskiego wywiadu, a za wielokrotne przekraczanie granicy skazywany był trzy razy na kary więzienia (zarówno w Polsce, jak i w ZSRR). W grudniu 1926 r. polski wywiad zrezygnował z usług Piaseckiego, a ten już wiosną następnego roku pod wpływem kokainy dokonał serii napadów z bronią w ręku, za co został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Najprawdopodobniej dzięki pozytywnej opinii wywiadu prezydent Ignacy Mościcki w drodze łaski zamienił wyrok na 15 lat więzienia. Od tego momentu Piasecki przebywał w więzieniach w Rawiczu, Koronowie i w dawnym klasztorze na Świętym Krzyżu, bezskutecznie pisząc podania o warunkowe złagodzenie kary. W celi więziennej zaczął pracować nad znajomością polskiego, czytając m.in. Biblię. W 1934 r., zachęcony znalezioną w gazecie informacją o konkursie literackim, otrzymał zgodę władz więziennych na pisanie powieści. W ten sposób zaczął pisać autobiograficzną powieść „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", którą władze więzienne wysłały do wydawnictwa Rój. Współwłaściciel tej oficyny, sławny reportażysta Melchior Wańkowicz, zachwycił się utworem i, korzystając ze swoich rządowych znajomości, odwiedził Piaseckiego na Świętym Krzyżu, zachęcając do dalszego pisania.

W 1937 r. Wańkowicz opublikował na łamach „Wiadomości Literackich" artykuł poświęcony postaci więźnia-pisarza. Tekst wzbudził ogromne zainteresowanie, a równoczesne wydanie „Kochanka…" (z przedmową Wańkowicza) zachęciło grupę wpływowych pisarzy, polityków i ludzi kultury do starań o ułaskawienie Piaseckiego. Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało wówczas umowę, w której pisarz zobowiązał się, że nie wróci do działalności przestępczej. Dzięki temu w lipcu 1937 r. prezydent wydał akt łaski i Piasecki wyszedł na wolność. Zamieszkał w Warszawie, a potem w okolicach Nowogródka.

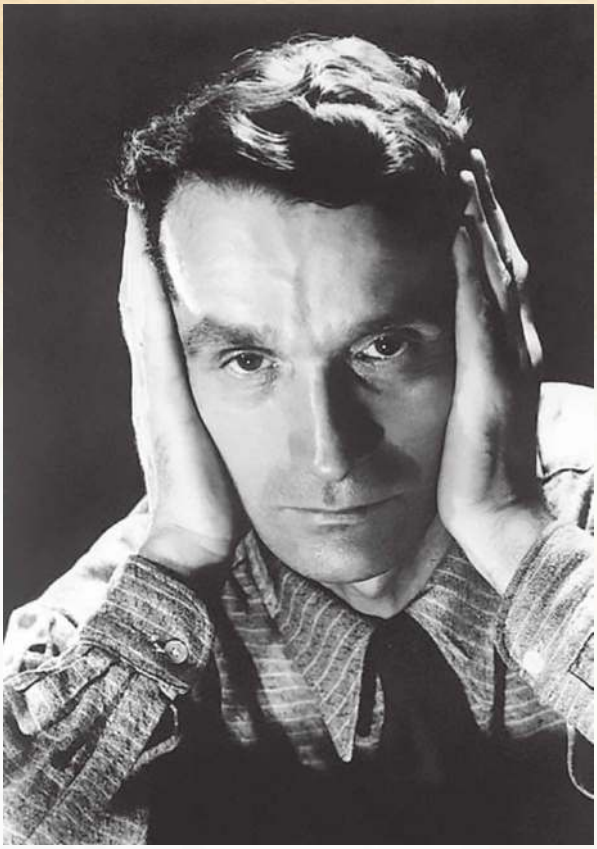

Sergiusz Piasecki urodził się w Lachowiczach na Białorusi jako syn zubożałego szlachcica oraz jego służącej.

W oczach literatów

We wrześniu 1939 r. Piasecki podjął służbę jako oficer Korpusu Ochrony Pogranicza na Wileńszczyźnie. Podobno na wieść o pakcie Ribbentrop-Mołotow postanowił zerwać z prawosławiem i w 1942 r. przeszedł na katolicyzm. W czasie wojny związał się z wileńską Armią Krajową, gdzie w ramach miejscowego Kedywu był szefem grupy wykonującej wyroki śmierci na kolaborantach. Współpracował też z prasą podziemną. Za swoją działalność został odznaczony Krzyżem Zasługi.

W kwietniu 1946 r. napisał antykomunistyczną broszurę „Sto pytań pod adresem »obecnej« Warszawy", którą w formie listu otwartego adresował do znanego mu sprzed wojny Karola Kuryluka, redaktora tygodnika „Odrodzenie". Zaraz potem nielegalnie wyjechał z Polski, przez Czechosłowację docierając do Niemiec, a stamtąd do Włoch, gdzie przebywał w obozach wojskowych II Korpusu gen. Andersa. Odmówiono mu jednak przyjęcia do wojska ze względu na wiek i przeszłość. Wędrował po Włoszech, zarabiając na życie udzielaniem lekcji rosyjskiego. Dzięki pomocy Wańkowicza otrzymał od II Korpusu legalne dokumenty i został przyjęty do wojska, po czym okrętem wojskowym popłynął do Szkocji, gdzie trafił do tamtejszych obozów dla żołnierzy.

Po demobilizacji w sierpniu 1947 r. zamieszkał w Londynie, następnie w Hastings i St Leonards-on-Sea, jak większość emigrantów żyjąc biednie i podejmując się prac fizycznych. Chory na raka, niedługo przed

Piaseckiego nigdy nie uważano za pisarza wybitnego.

FOT. IPN

eprasa.pl 41272a67e2

śmiercią zniszczył swój dziennik. Zmarł w polskim szpitalu w Penley w Walii 13 września 1964 r. Został pochowany w Hastings, na płycie jego nagrobka wyrzeźbiono gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy.

Dorobek Sergiusza Piaseckiego obejmuje 11 powieści. Poza debiutancką książką – którą Wacław Zbyszewski nazwał „największą siurpryzą literacką międzywojnia" – były więzień wydał jeszcze w 1938 r. „Piąty etap" i „Bogom nocy równi". A po wojnie, już w wydawnictwach emigracyjnych: „Jabłuszko" (1946), „Spojrzę ja w okno" (1947), „Nikt nie da nam zbawienia" (1947), „Siedem pigułek Lucyfera" (1948), „Zapiski oficera Armii Czerwonej" (1957), „Żywot człowieka rozbrojonego" (1962), „Człowiek przemieniony w wilka" (1964) i „Dla honoru organizacji" (1964) – dwie ostatnie stanowiły cykl powieściowy „Wieża Babel". Utwory Piaseckiego tłumaczone były na wiele języków.

Wbrew dzisiejszym sejmowym literaturoznawcom Piaseckiego nigdy nie uważano za pisarza wybitnego. Żyjący po wojnie również na emigracji poeta Jan Lechoń porównywał go w swoim dzienniku (pod datą 10 stycznia 1950 r.) z piszącym na podobne tematy autorem francuskim: „Sergiusz Piasecki i Jean Genet. W tym porównaniu zamknąć można Polskę i Francję. Piasecki – który też sławi moralność złodziejską – jest przecież wobec Geneta prawie że naiwnym dzieckiem. Nie posunął się on od czasów »Zbójców« i »Rinalda Rinaldiniego«".

Z kolei Maria Dąbrowska, dowiedziawszy się o artykule jednej z austriackich gazet, w którym zaliczono Piaseckiego do „światowej sławy" polskich pisarzy, zapisała w dzienniku (28 maja 1957 r.): „To już takie nasze szczęście – jeśli zyskujemy sławę na świecie, to albo »fałszywymi arcydziełami« (»Quo vadis«), albo miernotami (…). Przed wojną Ossendowski był tłumaczony na wszystkie języki. I na to nie ma żadnej rady".

Złudzeń co do wartości literackiej utworów Piaseckiego nie miał też Jerzy Giedroyc, który w „Autobiografii na cztery ręce" wspominał trudności finansowe towarzyszące początkom

Instytutu Literackiego tuż po wojnie, w Rzymie: „Toteż wydaliśmy wiele książek w celach zarobkowych. Dotyczy to powieści historycznych Sienkiewicza i Sieroszewskiego, powieści Struga czy trzech powieści Sergiusza Piaseckiego, który, gdy przyjechał do Włoch, okazał się pisarzem bardzo popularnym w wojsku. Okazał się również bardzo zabawny jako człowiek i w jakiejś mierze zaprzyjaźniliśmy się z nim, zwłaszcza Zosia" (Zofia Hertz – przyp. P.S.).

W uchwale sejmowej podkreślono, że był to „emigracyjny antykomunistyczny pisarz objęty całkowitym zakazem druku przez cenzurę w PRL", a jego „barwne, w części autobiograficzne powieści (…) mimo całkowitego zakazu druku w PRL biły rekordy popularności w drugim obiegu". To oczywiście prawda, że Piasecki należał do licznych autorów żyjących na uchodźstwie, których w Polsce Ludowej nie drukowano. Jego apologeci przekraczają jednak miarę przyzwoitości, niekiedy głosząc oczywistą nieprawdę. Oto znany historyk literatury, prof. Włodzimierz Bolecki, w posłowiu do krajowej edycji „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy" z 1994 r. (Świat Książki) napisał, że „do roku 1989 nazwiska Piaseckiego i informacji o jego twórczości nie można było znaleźć w żadnym podręczniku, encyklopedii czy leksykonie literackim. Powodem była nieprzejednanie antykomunistyczna postawa pisarza wpisana także w treść jego utworów i broszur".

Niewyklęty antykomunista

A przecież wystarczy zajrzeć do Polskiego Słownika Biograficznego, by zauważyć, że obszerny biogram Sergiusza Piaseckiego ukazał się w tomie 25 z 1980 r., co oznacza, że musiał zostać dopuszczony do druku jeszcze w czasach gierkowskich. Dodajmy, że niedługo później w PSB zamieszczono życiorys rotmistrza Witolda Pileckiego, którego dzisiejsi antykomuniści również przedstawiają jako całkowicie wyklętego w PRL. Co więcej, w 1964 r. – jeszcze za rządów Gomułki – biogram Sergiusza Piaseckiego wraz z bibliografią (także emigracyjną) ukazał się w drugim tomie „Słownika współczesnych pisarzy polskich", wydanego w Warszawie przez Instytut Badań Literackich PAN pod redakcją Ewy Korzeniewskiej.

Autor ten figuruje również w „Małym słowniku pisarzy polskich", wydanym w 1981 r. przez Wiedzę Powszechną. Z biogramu autorstwa krakowskiego polonisty Henryka Siewierskiego dowiadujemy się, że Piasecki „od 1946 przebywał na emigracji, wyrażając w swej twórczości postawę antykomunistyczną" – po czym wymienia się tytuły wszystkich jego powieści. W słowniku tym krótko scharakteryzowano też twórczość pisarza: „W tłumaczonym na wiele języków obcych dorobku Piaseckiego wyróżnia się romans awanturniczy, w którym zaciera

eprasa.pl 41272a67e2

się granica między rzeczywistym doświadczeniem autora, skazanego na karę śmierci za napad rabunkowy, a fikcją artystyczną i poetycką narracją (»Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy«), oraz cykl powieściowy »Wieża Babel«, ukazujący sprawy AK i działalność podziemia na obszarze Wileńszczyzny". Tak oto wyglądał rzekomy zapis na nazwisko Sergiusza Piaseckiego w czasach PRL-owskiej cenzury.

Tekst uchwały autorstwa Joanny Lichockiej z PiS jest przepojony antykomunistyczną retoryką rodem z prawicowych mediów.

Antykomunistą pisarz ten był z całą pewnością, czemu dawał wyraz w powojennej publicystyce. Próbował zresztą wykorzystać antykomunizm do zdobycia posady w Radiu Wolna Europa, pisząc w życiorysie ze stycznia 1950 r.: „Przez 32 lata jestem wrogiem bolszewizmu. Walczyłem przeciw niemu jako partyzant, żołnierz, szpieg, konspirator i wreszcie jako pisarz. Zwalczanie bolszewizmu jest moją ideą i celem mego życia. Jako wroga najlepiej docenili mnie sami bolszewicy, starając się mnie pochwycić, a później proponując przejście do ich obozu. (…) Znam wszechstronnie bolszewizm. Orientuję się w skutecznych sposobach zwalczania jego propagandy i oddziaływania kontrpropagandą. Chętnie przystąpię do każdej poważnej pracy w tym kierunku. Ponieważ jestem bardzo popularny jako pisarz, uważam, że głos mój przez radio dużo by znaczył. Potrafię opracowywać lub komponować materiały propagandowe w języku polskim i rosyjskim. Potrafię rozpracowywać materiały wojskowe dla wywiadu lub kontrwywiadu".

Organizujący RWE Amerykanie nie skorzystali jednak z usług Piaseckiego. Być może autoreklama emigracyjnego pisarza nie została potraktowana poważnie, tym bardziej że jego antykomunistyczna broszura z 1946 r. – wspomniany list otwarty do Karola Kuryluka – stanowi mieszaninę faktów, plotek, zmyśleń i przypuszczeń, ułożonych w formie stu pytań, w dodatku w mocno egocentrycznej formie. Zacytujmy tylko jedno: „Dlaczego zabranie Polsce ziem wschodnich, a przyłączenie – jako rekompensata – ziem zachodnich ja uważam za przygotowanie sobie przez Rosję wygodnych strategicznie pozycji do wypadu na Europę i opanowania jej?".

Najgłośniejszym przejawem antykomunizmu Sergiusza Piaseckiego stał się jego atak na… Czesława Miłosza. Gdy w 1951 r. pochodzący z Wilna poeta opuścił służbę dyplomatyczną Polski Ludowej, występując o azyl polityczny we Francji, Piasecki na łamach londyńskich „Wiadomości" opublikował artykuł „Były poputczik Miłosz". Ten obszerny paszkwil na przyszłego noblistę wypominał Miłoszowi jego twórczość z ostatnich lat i akceptację przemian społeczno-gospodarczych w powojennej Polsce, a kończył się takimi oto wnioskami: „Uważam, że Miłosz jest nadal niebezpieczny dla sprawy polskiej i sprawy wolnego świata, walczącego z bolszewizmem. Może bardziej niebezpieczny teraz niźli na poprzednim stanowisku dyplomaty regime'u warszawskiego. Jeśli wówczas szerzył informacje o tym, że Polska ma obecnie ustrój demokratyczny i dąży ku socjalizmowi, dawniej zaś była zacofana, półfeudalna – mogło to być uważane za propagandę urzędową. Jeśli teraz będzie szerzył takie pojęcie o Polsce – będzie to brzmiało jak prawda. Mało kto przecież rozumie, że Miłosz nie mógł w to wierzyć poprzednio i że nie wierzy w to teraz. Lecz pycha nie da mu nigdy uznać szczerze, że służył dla różnych powodów… może i ze strachu też – takiego, jaki ma francuski piesek przed dużym, śmierdzącym brytanem. Aby przedstawić siebie w pięknym świetle, Miłosz będzie wybielał to, czemu służył. Na wyznanie szczere trzeba odwagi. Miłosz woli kluczyć".

Prof. Włodzimierz Bolecki napisał, że „nazwiska Piaseckiego nie można było znaleźć w żadnym podręczniku, encyklopedii czy leksykonie literackim".

Kultura do podziału

Tekst Piaseckiego stanowił polemikę z paryską „Kulturą" Jerzego Giedroycia, który przyjął poetę uciekiniera pod swój dach i na swoje łamy. Giedroyc bowiem był tym wielkim redaktorem i wydawcą, który rozumiał, że kultura polska jest jedna i nie należy jej sztucznie dzielić, potępiając w czambuł tych twórców, którzy po wojnie zostali w kraju albo do niego wracali (jak Melchior Wańkowicz, Stanisław Cat-Mackiewicz czy Zofia Kossak-Szczucka po 1956 r.). Tymczasem Sergiusz Piasecki pytany w ankiecie „Wiadomości", czy jego zdaniem istnieje jedna, czy dwie literatury polskie (krajowa i emigracyjna), udzielił wymownej odpowiedzi: „Sześć: dwie – zwykłe; dwie – sprostytuowane; dwie – milczenia".

Trudno zatem się dziwić, że polska prawica tak wysławia autora „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy". Prawica lubi dzielić Polaków na tych gorszego i lepszego sortu, na „agentów" i „patriotów", na „zdrajców" i „niezłomnych". Tak samo dzieli polską kulturę, wyłuskując z niej tych nielicznych, niszowych twórców, którzy powojenną Polskę uważali za sowiecką okupację, a całą resztę traktując jako kolaborantów. Dlatego ulubionym pisarzem polskiej prawicy jest skrajny antykomunista Józef Mackiewicz (jego imię nosi najważniejsza dla prawicowych autorów nagroda literacka), a obok niego właśnie Sergiusz Piasecki.

Paweł Siergiejczyk

eprasa.pl 41272a67e2

Marek Książek

Nie wstydzą się swojej przeszłości

Członkowie olsztyńskich Pokoleń wolą mówić o umiejętnościach, które wykorzystali w nowych czasach

Nie wszyscy chcą dziś chwalić się tamtą działalnością, bo to ani modne, ani korzystne z punktu widzenia politycznego. Nie walczyli z komuną, nie byli dysydentami, nie wkładali kija w szprychy, a chociaż czasami krytycznie oceniali rzeczywistość, wierzyli, że pracują dla Polski. Co ciekawe, wielu potrafiło przystosować się do realiów gospodarki kapitalistycznej.

Generacja młodzieży aktywnej

– Świetnie sobie poradziłem głównie dzięki temu, że w organizacji młodzieżowej zdobyłem doświadczenie w kontaktach międzyludzkich. Dzisiaj widzę, że ludzie nie potrafią ze sobą rozmawiać, a to podstawowa umiejętność nie tylko w zarządzaniu – podkreśla Stanisław Ciostek, w latach 1982-1984 przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZSMP, aktualnie właściciel rodzinnej firmy handlującej stalą.

Obraz młodzieży w białych koszulach i czerwonych krawatach, maszerującej w pochodach pierwszomajowych, nie mieści się w kolekcji współczesnych legend.

Pochodzi ze wsi, spod Mławy, skąd wyszedł w świat i trafił do technikum mechanicznego, potem do Olsztyna, gdzie studiował geodezję na Akademii Rolniczo-Technicznej. I gdzie spotkał Jana Hoffmana, charyzmatycznego działacza Socjalistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Hoffman był dla wielu studentów wzorem i wciągał ich do roboty w ruchu młodzieżowym. Tak było również ze Staszkiem, który jak cień szedł za Jankiem, choć ten drugi niebawem wspiął się na organizacyjne wyżyny, trafiając do stolicy jako wiceprzewodniczący Zarządu Głównego ZSMP. Stamtąd z kolei – na stanowisko naczelnika Szczytna, wówczas odpowiednik burmistrza (zmarł w 1987 r. po odwołaniu z funkcji na skutek wątpliwych zarzutów).

Tymczasem Stanisław Ciostek po studiach wrócił w rodzinne strony, przez rok uczył w szkole, później działał w strukturach związku, by w 1984 r. zostać dyrektorem państwowego jeszcze Centrostalu. Choć miał zawód podwójny, mechanika i geodety, sztuki handlu stalą musiał się uczyć od podstaw. Jeździł więc do Huty Sendzimira w Krakowie i Huty Katowice, poznawał tajniki branży, by nie być malowanym szefem firmy. Jego kariera zawodowa skończyła się wraz z transformacją ustrojową, kiedy podwładni zarzucili mu, że za dużo od nich wymagał! Wykorzystał jednak swoje doświadczenie i wraz z żoną założył firmę handlującą metalami. Handlem zajmuje się nadal – w wieku 75 lat. Poza tym spotyka się z przyjaciółmi działającymi dziś w Stowarzyszeniu Miłośników Historii Organizacji Młodzieżowych Pokolenia w Olsztynie.

Na dystans i w zbliżeniu

Do niedawna przewodniczącym tego stowarzyszenia na Warmii i Mazurach był Jerzy Jabłoński, już 87-letni, ale nadal postawny, co z pewnością jest pokłosiem noszenia munduru w Wojsku Polskim, nazywanym też Ludowym. Jerzy Jabłoński urodził się tuż przed wybuchem II wojny światowej, na Mazowszu, jako syn stolarza i krawcowej. Okropieństwa wojny pamięta dopiero z jej końca, ale wie, że rodzina uciekła do Kraju Warty, a starsza siostra o włos nie zginęła w hitlerowskim ostrzale. Po wojnie chodził do szkoły w Gąbinie (powiat płocki), lubił czytać opowieści o Indianach, a także powieści historyczne Sienkiewicza i Kraszewskiego. Został nawet wyróżniony jako lider czytelnictwa w miejscowej bibliotece (50 książek w roku).

Jerzy Jabłoński miał zdecydowane zainteresowania humanistyczne, więc jako uczeń ogólniaka nie bardzo radził sobie z przedmiotami ścisłymi. Ale dużo biegał i jeździł na nartach, a podczas meczów piłki nożnej stał zwykle na bramce. Wciągnął się też w organizację imprez rozrywkowych, takich jak pierwszomajowe zabawy taneczne i koncerty zespołów muzycznych, również z okazji 22 Lipca. Początkowo z dystansem obserwował działalność Związku Młodzieży Polskiej w szkole, czego głównym powodem – jak wspomina – była postawa szkolnego opiekuna ZMP, który „w sposób schematyczny" nakłaniał do udziału w pracy związku. Z czasem Jurek uznał, że warto się włączyć, bo z natury lubi dawać innym coś od siebie. Najpierw został skarbnikiem Szkolnej Kasy Oszczędności, a w X klasie LO, po rozwiązaniu ZMP w 1957 r., objął funkcję sekretarza świeżo utworzonego ZMS, czyli Związku Młodzieży Socjalistycznej.

eprasa.pl 41272a67e2

Działacze olsztyńskich Pokoleń: Jerzy Jabłoński, Stanisław Ciostek i Kazimierz Kapla.

Janina Matusiak z Iławy przystąpiła do Pokoleń, bo nie godzi się na przekreślenie dorobku swoich rówieśników.

– Początkowo nasza działalność nie przynosiła dużych efektów – wspomina Jerzy Jabłoński. – Uwagę skupialiśmy na pomocy koleżeńskiej w nauce i przygotowaniu do egzaminów maturalnych. Pracowaliśmy też społecznie na rzecz szkoły, np. przy porządkowaniu podwórka i zasypywaniu starej studni. A w wakacje, w ramach hufca pracy, wyjeżdżaliśmy z grupą ochotników do roboty w pegeerach. Pamiętam, jak w okolicy Białogardu pieliłem buraki, potem ustawiałem stogi zboża w czasie żniw i przerzucałem słomę. Podobnie było w PGR Zimna Woda koło Nidzicy.

W żołnierskim mundurze

Przełomowa w życiu Jurka okazała się wizyta w ich szkole emisariuszy Wojska Polskiego, którzy rekrutowali chłopaków do szkół oficerskich. A zwłaszcza przyjazd do miasteczka jego kuzyna, który paradował w galowym mundurze. Widok był imponujący i młody Jabłoński postanowił pójść śladem krewniaka. Ubiegał się o przyjęcie do szkoły Wojsk Ochrony Pogranicza, ale nie został przyjęty z powodu wady wzroku. Złożył więc dokumenty do Oficerskiej Szkoły Uzbrojenia w Olsztynie, choć z czasem uznał, że nie był to dobry wybór. Uważał się za humanistę, a tam dominowały przedmioty ścisłe. Wstąpił jednak do Koła Młodzieży Wojskowej i w tej organizacji znalazł miejsce na samorealizację. Nie minęło wiele czasu, gdy został szefem Zarządu Szkolnego KMW, skupiającego żołnierzy służby zasadniczej, elewów szkoły podoficerskiej, podchorążych, a nawet pracowników kadry. Było więc co robić, zwłaszcza że koło nawiązało kontakt z cywilnymi szkołami średnimi: medyczną, gastronomiczną, handlową i ekonomiczną. A że w nich uczyło się wiele dziewcząt, było z kim się bawić na wieczorkach tanecznych, podczas których przygrywały na zmianę trzy wojskowe zespoły muzyczne.

– Ale główna robota odbywała się w szkole. Nasi członkowie wyróżniali się w kraju jako budowniczowie strzelnic, ale także stadionu piłkarskiego, wiele godzin przepracowali przy różnych budowach szkoleniowych w jednostce i w mieście, choćby przy budowie planetarium i Olsztyńskich Zakładów Opon Samochodowych. Do dziś ważnych dla Olsztyna – dodaje pan Jerzy.

Po pewnym czasie Jabłoński został również członkiem władz powiatowych ZMS w Olsztynie. Uczestniczył w obozach letnich i zimowiskach ZMS, a potem ZSMP. Wiosną 1967 r. bowiem, po kilkuletnim istnieniu Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży, z pięciu podmiotów, w tym KMW, powołano jednolitą organizację młodzieżową – właśnie ZSMP. Jerzy znów sprawdził się jako organizator obozów szkoleniowych, w tym dla młodzieży z fabryki opon OZOS Stomil, ale miał też okazję spotykać się z grupami komsomolców w Kaliningradzie, pionierami w NRD czy wziąć udział w wyprawie do Baszkirii. Jednocześnie ukończył studia cywilne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie, broniąc pracy „Wychowanie w duchu pokoju w Walce Młodych w latach 1943-1980". Skończył służbę w stopniu kapitana i na emeryturze nadal działał społecznie, a od wielu lat w Stowarzyszeniu Pokolenia.

Korzenie twórców i biznesmenów

Obraz chłopców i dziewcząt w białych koszulach i czerwonych krawatach, którzy maszerują w pochodach pierwszomajowych, nie mieści się w kolekcji współczesnych legend. Nikt natomiast nie zaprzeczy, że ówczesne organizacje, takie jak ZMP, ZMS, ZSMP, Związek Młodzieży Wiejskiej, ZHP czy Związek Studentów Polskich (w latach 1973-1982 z dodatkiem Socjalistyczny), nie tylko stanowiły naturalne zaplecze PZPR, ale przede wszystkim pracowały na rzecz swoich rówieśników.

FOT. MAREK KSIĄŻEK (2)

eprasa.pl 41272a67e2

Co potwierdzają m.in. zapisy w książce „Ocalić od zapomnienia dorobek pokoleń. Organizacje młodzieżowe na Warmii i Mazurach" (wydanie z 2024 r. pod redakcją Pawła Dybicza, materiały przygotowali Teresa Kujawska i Jerzy Jabłoński). Na przykład ZMS tworzył Ochotnicze Hufce Pracy, które funkcjonowały przy największym w regionie przedsiębiorstwie OZOS Stomil, ale także w firmach budowlanych i Zakładach Mięsnych w Ostródzie-Morlinach. Tam młodzi ludzie pracowali, zdobywali zawód i uzupełniali wykształcenie. Z kolei pod patronatem ZSMP w Iławie powstała Młodzieżowa Spółdzielnia Mieszkaniowa Przyszłość, która co roku oddawała jeden blok dla młodych rodzin. Istnieje zresztą do dziś, choć już bez przymiotnika „młodzieżowa".

Takimi patronatami obejmowano inne branże. Odbywały się imprezy sportowe, a związek miał własny ośrodek żeglarski w Lutrach, przejęty w kapitalizmie przez „rolnika obszarnika", czyli jednego z największych posiadaczy ziemskich w regionie. Dużymi sukcesami w sferze duchowej mógł się pochwalić wiceszef wojewódzki ZSMP Ryszard Kokot, organizator imprez kulturalnych: koncertów, przeglądów piosenek, warsztatów muzycznych, recitali poezji śpiewanej i konkursów czytelniczych. A warto dodać, że przy ZW ZSMP w Olsztynie istniał Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, z którego wywodzi się wielu uznanych twórców, chociaż nie wszyscy przyznają się do tamtych korzeni. I z tej to organizacji, po stanie wojennym, wyodrębniła się nowa – Związek Młodzieży Wiejskiej, którą w regionie najdłużej kierował Andrzej Ryński, późniejszy prezydent Olsztyna i marszałek województwa warmińsko-mazurskiego.

Bo całkiem liczne grono ówczesnych działaczy młodzieżowych, mając doświadczenie organizatorskie i pragmatyczne, podjęło rękawicę także w nowych warunkach, nie tylko z ramienia organizacji lewicowej. Wspomniany Ryszard Kokot jest dziś uznanym w skali kraju przedsiębiorcą z branży medycznej. Ostatni szef ZSMP w Olsztynie Jacek Zabłocki wprowadzał na lokalny rynek meble marki Komandor i Senator, a potem zajął się budowlanką. Andrzej Dowgiałło zaś, rzutki szef olsztyńskiego Juventuru (biura turystyki przy ZSMP), po okresie pracy w ogólnopolskiej firmie budowlanej stał się jednym z najbardziej znanych w Polsce biznesmenów z branży turystyczno-hotelarskiej, w tym właścicielem hotelu Ryn i organizatorem światowego turnieju siatkówki plażowej w Starych Jabłonkach.

Nikt nie zaprzeczy, że takie organizacje jak ZMP, ZMS, ZSMP, ZMW, ZHP czy ZSP przede wszystkim pracowały na rzecz swoich rówieśników.

50 lat minęło

Chociaż stowarzyszenie tworzą członkowie byłych organizacji młodzieżowych, którzy nie mogą się pogodzić z dyskredytacją ich roli w działalności na rzecz Polski, to przyciąga ono także osoby spoza tego grona. Na przykład Janinę Matusiak z Iławy, wywodzącą się z rodziny robotniczej, w której była czwórka dzieci, a cały ciężar ich wychowania i wykształcenia po wczesnej śmierci ojca wzięła na swoje barki matka, salowa w szpitalu. Janka skończyła technikum przetwórstwa owocowego, potem całe zawodowe życie pracowała jako laborantka w zakładach owocowo-warzywnych. Należała tylko do harcerstwa i nie pamięta, aby ktoś przymuszał ją do wstępowania np. do ZMS. Dawne czasy wspomina z nostalgią, choć dosyć wcześnie została wdową z córką na utrzymaniu.

– Jasne, nie było bajkowo, ale każdy mógł się uczyć i miał zapewnioną pracę, więc czuł się bezpiecznie. A po zmianie ustroju zlikwidowano w Iławie największe zakłady, mieszkańcy pracują przeważnie w urzędach albo szukają zajęcia w większych miastach – dodaje.

Janina Matusiak przystąpiła do Pokoleń, bo nie godzi się na przekreślenie dorobku swoich rówieśników i uznanie okresu PRL za stracony. A wokół widzi przejawy takiego traktowania naszej przeszłości. Kiedyś mieszkała na Osiedlu XXX-lecia PRL, z największym budynkiem w Iławie, tzw. falowcem. Po „dekomunizacji" w nowych czasach pozostało Osiedle XXX-lecia, ale gdy jeden z nadgorliwców wnioskował o nadanie mu nazwy związanej z Solidarnością, nie poparła go ani jedna osoba! Jednak w 2018 r. iławska rada miasta, zdominowana przez radnych PiS, zdecydowała o usunięciu ze stadionu Jezioraka tablicy z 1948 r. z hasłem „Zjednoczonej młodzieży polskiej na chwałę", pod którą zbierali się weterani ruchu młodzieżowego. Protesty Stowarzyszenia Pokolenia nic nie dały, choć oddział w Iławie należy do najmocniejszych.

Po rezygnacji Jerzego Jabłońskiego z funkcji przewodniczącego warmińsko-mazurskich Pokoleń jego następcą został młodszy o kilkanaście lat Kazimierz Kapla, harcmistrz, były komendant Chorągwi Grunwaldzkiej ZHP, o którym pisaliśmy m.in. w artykule „Poprawczak na harcerskim szlaku" („Przegląd" nr 38/2021). Był nauczycielem, w mundurze harcerskim wychowywał młodzież, a już w nowych czasach, po dwuletnim pobycie w USA, został dyrektorem V Liceum Ogólnokształcącego w Olsztynie. Należy do ludzi koncyliacyjnych, przy czym pielęgnuje stare przyjaźnie i dba o dobre samopoczucie swojego pokolenia, chociaż – jak wiadomo – nie jest wcale z tym łatwo.

Jerzy Jabłoński: W wakacje, w ramach hufca pracy, wyjeżdżaliśmy z grupą ochotników do roboty w pegeerach. W okolicy Białogardu pieliłem buraki.

Marek Książek

eprasa.pl 41272a67e2

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Płonący krzyż

Wertuję swoje dzienniki, cofnąłem się do lat 70. Kiepsko wtedy pisałem, myślałem też nienajlepiej. Czasami trafia się jakiś bursztyn, to go podnoszę. Minione życie zdaje się płaskie, bez zapachów i wszystko już wyjaśnione, czas unieważnia nawet to, co zdawało się bardzo ważne. Skupiam się teraz na latach 80. Jeśli zrobię książkę z tych dzienników, to będzie głównie ta dekada. Niezwykła. To nie tylko powstanie Solidarności, polityczny cud, unikatowy ruch w skali świata, potem stan wojenny, pacyfikacja kraju i postępujący rozkład ustroju, który doprowadzi do jego zawalenia się. Po czym rozsypie się całe imperium. Nieczęsto rozsypują się imperia. Co mnie dziwi po latach, nie docenialiśmy, że ta pacyfikacja jak na skalę operacji była mimo wszystko umiarkowana.

Równolegle siedzę w 20-leciu międzywojennym, tu z kolei nie w pełni wiedziałem, jak chora była ówczesna polska demokracja. Nie tylko Bereza i Brześć. Były zabójstwa polityczne, maltretowanie przeciwników politycznych, też artystów i dziennikarzy, zamach majowy. Getta ławkowe. I ten nacjonalistyczny smrodek, wzmocniony wonią koszar wojskowych, durny kult marszałka. I jak żałośnie pękła ta bańka we wrześniu 1939 r.

Mówimy o sobie z coraz większą agresją, pękają kolejne granice.

Idealizowałem na pewno Piłsudskiego, w czym później krzepił mnie Jerzy Giedroyc, zagorzały piłsudczyk. Zwykle nie ingerował w moje felietony, nawet kiedy pisałem o marszu toalet do Europy, a nie znosił toaletowego tematu, za to dwa razy prosił, bym złagodził słowa o marszałku. Trzeba jednak pamiętać też o tym, co działo się wtedy w Europie i jak tam wyglądała sytuacja polityczna, ile było przemocy. Teraz z kolei nie doceniamy, jak niezwykłym sukcesem była transformacja ustrojowa rozpoczęta w 1989 r. Tu konkurencją jest cud południowokoreański. Polska ma zaś obciążenia historyczne. Gdy w XVIII w. Europa błyskawicznie się modernizowała, Polska tonęła w anarchii. Potem zabory, z najbardziej psującym ciało i duszę zaborem rosyjskim. A teraz jakimś cudem skutecznie gonimy Zachód. I chociaż w pobliżu sroży się Rosja, to nie ona jest największym zagrożeniem, sami dla siebie nim jesteśmy od wieków.

W „Pamiętnikach" w „Roku Pańskim 1664" Jan Chryzostom Pasek napisał: „Uprzykrzyła się nam wojna z nieprzyjacielem, zachciało się nam spróbować samym z sobą". Mówimy o sobie z coraz większą agresją, pękają kolejne granice. I już tylko dziwi, dlaczego nie dochodzi u nas do aktów fizycznej przemocy. Jakby wystarczał mord w słowach.

•

W piątek 3 kwietnia na Mokotowie przy ulicy Rzymowskiego spłonął krzyż, przed którym papież Jan Paweł II odprawił mszę. Działacz Konfederacji napisał: „W Warszawie w Wielki Piątek, w trakcie Mszy Świętej, płonie Krzyż. Takie mamy efekty zła, które przejawia się nienawiścią wobec Kościoła katolickiego. Ktoś wierzy w samozapłon?". A wierzą policja i straż pożarna, ale jakie to ma znaczenie. Odezwał się oczywiście wybitny specjalista od katastrof lotniczych Macierewicz: „Analiza śladów pożarowych wskazuje na umyślne podpalenie". A więc znowu spisek tak wyrafinowany, że nie da się go udowodnić, taki jak ten smoleński.

Inny polityk zauważył: „Krzyż zapłonął dziś, w dzień po rocznicy odejścia Jana Pawła II do Domu Ojca i dziś, w Wielki Piątek. Symboliczne". Bardzo interesujące, że symboliczne, bo jeśli krzyż zapalił się od zniczy, to czego ów ogień jest symbolem? Wysilam swój umysł i tylko widzę ognisty palec boży, który pogroził wiernym, bo przecież nie ateistom. Co im chciał bóg powiedzieć? Każdy może sobie dopowiedzieć, ale na pewno to nie było nic miłego.

•

Ktoś trafnie napisał: „Supermocarstwo nie może zachowywać się jak uczestnik reality show bez poniesienia kosztów". Koszty ponosimy wszyscy. Wizja ciemna, Iran po katastrofie szybko się odbuduje, reżim zostanie wzmocniony. Bombę atomową i tak zrobią, tylko dłużej to potrwa. Być może trzeba było podjąć interwencję, by fanatycy religijni nie zmajstrowali sobie atomowej zabawki. Trump jednak nawet słusznej sprawie nadaje idiotyczną, a nawet zbrodniczą formę. Używając wulgarnego języka, którego chyba nikt jeszcze nie używał w światowej polityce, zagroził, że zgotuje Iranowi piekło. „Dziś w nocy zginie cała cywilizacja i nigdy się nie odrodzi". W ostatniej chwili doszło do zawieszenia broni. Świat odetchnął z ulgą. Trump mówi, że wygrał, a wszyscy widzą, że przegrał. Współczuję naszej prawicy, że go kocha, to doprawdy karkołomna miłość. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 41272a67e2

Tajemnica Watykanu i mafii

„Sprawdźcie, kto jest pochowany w Sant'Apollinare" – ten anonimowy telefon uruchomił sprawę zaginionej Emanueli Orlandi

Rozmawia
Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

To pani odkryła grób Enrica De Pedisa – Renatina, bossa rzymskiej mafii, powiązanego ze sprawą Emanueli Orlandi. Jak do tego doszło?

– W 2005 r. autor programu telewizyjnego „Chi l'ha visto?" Pier Giuseppe Murgia poprosił mnie, abym zajęła się sprawą Emanueli Orlandi. Wiedziałam o niej niewiele: że była 15-letnią obywatelką Watykanu, zaginioną w 1983 r. Nie znałam jednak dokładnie historii, więc zaczęłam, jak nowicjuszka, od depesz agencyjnych i archiwum prasowego. Zebrałam wszystkie informacje, które się ukazały w gazetach, i przygotowaliśmy materiał o zaginięciu obywatelki watykańskiej. Kilka dni po emisji reportażu na automatycznej sekretarce redakcji nagrano anonimową wiadomość: „Jeśli chcecie wiedzieć, co stało się z dziewczyną, idźcie sprawdzić, kto jest pochowany w Bazylice Sant'Apollinare i odkryjcie przysługę, jaką Renatino wyświadczył kard. Polettiemu".

Bardzo intrygujące.

– Ta wiadomość była dłuższa, wspominała także o Mirelli Gregori, drugiej dziewczynie zaginionej w tamtym czasie. Dla nas jednak kluczowa była ta informacja, kogo pochowano w Sant'Apollinare i jaką przysługę Renatino miał wyświadczyć Polettiemu. Kard. Ugo Poletti był przewodniczącym Konferencji Episkopatu Włoch i wikariuszem papieża Jana Pawła II. Ale kim był ten Renatino? Dziś wszyscy to wiedzą, jednak w 2005 r. ludziom spoza środowisk przestępczych jego nazwisko mówiło niewiele. Został zabity w zasadzce w centrum Rzymu 15 lat wcześniej. Postanowiłam pracować nad tą sprawą. Spędziłam całe lato między prokuraturami, komisariatami, koszarami i kościołami, pukając do każdych drzwi. W ten sposób zaczęły wypływać nieznane dokumenty. W moje ręce trafiły odręczne listy kard. Polettiego, a jeszcze wcześniej prałata Pietra Vergariego.

RAFFAELLA NOTARIALE
– włoska dziennikarka śledcza, reporterka programów „Chi l'ha visto?" i „Report", zajmująca się sprawą zaginięcia Emanueli Orlandi oraz powiązaniami watykańsko-mafijnymi; autorka czterech książek, wystąpiła w serialu Netfliksa „Dziewczyna z Watykanu" (2022).

Kim był Vergari i co zawierały te listy?

– Był rektorem Bazyliki św. Apolinarego przy Termach w Rzymie, w okresie, gdy Renatino został zabity, w lutym 1990 r. Jego przyjaźń z De Pedisem wywołała sensację. Z dokumentów wynikało, że Vergari, odpowiedzialny za bazylikę, zwrócił się pisemnie do kard. Polettiego o pozwolenie na pochowanie De Pedisa w kościele. Poletti odpowiedział, by poczekać i najpierw pochować ciało na Cmentarzu Verano, a dopiero później przenieść je do Bazyliki św. Apolinarego, „aby uniknąć rozgłosu". Czyli Poletti doskonale wiedział, kim był Renatino. Aby uzasadnić pochówek, prałat Vergari napisał, że De Pedis był dobroczyńcą ubogich.

Ale dlaczego boss rzymskiego świata przestępczego został pochowany w kościele? Udało się to ustalić?

– Niestety nie. Dziś jego ciało zostało przeniesione i nie znajduje się już w bazylice. Ale by dostąpić zaszczytu spoczywania w niej, musiał zrobić coś bardzo ważnego.

Kim więc był Renatino?

– Pseudonim Enrica De Pedisa pochodził od imienia jego ojca chrzestnego. Początkowo był drobnym rzymskim przestępcą. Z czasem zdobywał coraz większą władzę w ramach tzw. grupy z Testaccio. Banda z Magliany – organizacja przestępcza działająca w Rzymie – składała się z różnych grup, które postanowiły się zjednoczyć na wzór

eprasa.pl 41272a67e2

cosa nostry i camorry, z zamiarem sprawowania kontroli nad miastem.

De Pedis wyróżniał się na tle towarzyszy: nie pił alkoholu i nie używał narkotyków. Pod jego przywództwem grupa z dzielnicy Testaccio, zwana testaccini, ewoluowała, podczas gdy inne ograniczały się do „wykonywania zleceń". Ta grupa już wcześniej utrzymywała kontakty ze służbami specjalnymi, znaczącymi przedsiębiorcami i czołowymi postaciami życia politycznego. Za De Pedisa relacje te się umocniły. Renatino bywał na salonach, zamawiał garnitury u renomowanego krawca, chodził do teatru, pasjonował się antykami. Mieszkał w centrum Rzymu, w budynku, w którym znajdowało się biuro premiera Giulia Andreottiego.

Był prekursorem dzisiejszych białych kołnierzyków?

– W zasadzie tak. Bywał we właściwych miejscach i znał właściwych ludzi, a przede wszystkim wyświadczał przysługi. Zdumiewające, że był poszukiwany listem gończym i spędził długie okresy w więzieniu, a mimo to zmarł jako osoba formalnie niekarana.

Dlaczego?

– Ponieważ wszystkie postępowania przeciw niemu zostały formalnie wszczęte dopiero po jego śmierci. Trudno w to uwierzyć. Trafiał do więzienia, stawiano mu zarzuty, ale procesy nigdy nie kończyły się rozstrzygnięciem, także z powodu realiów włoskiego wymiaru sprawiedliwości. Jeden z komendantów policji wręczył mu nakaz opuszczenia Rzymu, zakazując pobytu w stolicy. A jednak Renatino pozostał w mieście, jakby nic się nie stało.

Jest jeszcze jedna osoba, którą zidentyfikowała pani podczas śledztwa dziennikarskiego: Sabrina Minardi. Kim była?

– Rok po odnalezieniu dokumentów i grobu Enrica De Pedisa w Bazylice św. Apolinarego udało mi się zbliżyć do Sabriny Minardi. Czytając ponownie depesze agencyjne, natrafiłam na jedną, w której nazwisko Sabriny było zapisane błędnie, podobnie jak nazwisko De Pedisa. W notatce opisywano, że wydział kryminalny, próbując schwytać bossa z Magliany, śledził kobietę przedstawianą jako jego kochanka. To dzięki tej obserwacji De Pedis został później aresztowany w domu w rzymskiej dzielnicy EUR. Zaczęłam szukać tej kobiety. Zrealizowałam reportaż telewizyjny, w którym mówiłam o niej pośrednio. Po emisji sama się odezwała: „Nie wspominajcie o mnie więcej, ja nie mam z tym nic wspólnego". Wtedy postanowiłam ją przekonać, by opowiedziała swoją historię.

Protest pod hasłem „Prawda dla Emanueli Orlandi". Rzym, 2012 r.

Emanuela Orlandi, 15-letnia obywatelka Watykanu, zaginęła w 1983 r.

Jak udało się ją odnaleźć?

– W końcu zdobyłam adres: mieszkała na Zatybrzu. Będąc w pobliżu jej domu, zadzwoniłam do szefa, żeby powiedzieć, gdzie jestem: gdybym nie wróciła, należało mnie szukać. Gdy udało mi się dostać do budynku, weszłam na ostatnie piętro i zaczęłam pukać do drzwi bez nazwisk. W końcu trafiłam. Otworzyła mi piękna dziewczyna. „Czy jest pani Minardi, chciałabym z nią porozmawiać", zapytałam i przedstawiłam się. „Chwileczkę", powiedziała i zamknęła drzwi. Poczekałam kilka minut i zapukałam ponownie. Odpowiedziała: „Mamy nie ma w domu". Wiedziałam, że to nieprawda. „Muszę z nią porozmawiać tylko chwilę. Jestem sama", nalegałam, bo nie zamierzałam odejść.

I determinacja podziałała?

– W końcu pojawiła się Sabrina Minardi, choć ja nie mogłam tego wiedzieć – w tamtym czasie nie było jej zdjęć. Stanęła przede mną kobieta już niemłoda, z wyraźnymi problemami zdrowotnymi. Przedstawiłam się i powiedziałam, że chcę z nią porozmawiać. Zaczęła mnie przeszukiwać, sprawdzając, czy nie mam ukrytych mikrofonów. Jej prawa ręka była bezwładna po wypadku samochodowym. Kiedy skończyła, uniosła zasłonę oddzielającą korytarz od reszty mieszkania. Do środka wpadło światło. Salon był duży. Pamiętam jeden uderzający szczegół: po lewej stronie w terrarium znajdował się ogromny pyton.

Udało się przekonać ją do rozmowy?

– Nie od razu. Chciała wiedzieć, kim jestem. Praktycznie mnie przesłuchała. Wiedziałam, że jeśli chcę zdobyć jej zaufanie, muszę odpowiedzieć na wszystkie pytania. Zostałam tam długo. Poprosiłam ją o spotkanie na wywiad, bo chcę porozmawiać o Emanueli Orlandi. Odpowiedziała natychmiast: „Ja nie mam z tym nic wspólnego". Zmieniłam więc

eprasa.pl 41272a67e2

strategię. Przypomniałam, że była związana z Renatinem, co potwierdzają dokumenty. „Mogłabym ci coś opowiedzieć. Ale najpierw muszę poprosić o zgodę pewne osoby”, odrzekła.

Po jakimś czasie skontaktowałam się z nią ponownie, ale nie uzyskała zgody na wywiad. Od tego momentu zaczęła się pogoń: spotkania umawiane i odwoływane, telefony bez odpowiedzi, a stan zdrowia Sabriny się pogarszał. Ale nie odpuściłam. W końcu podała mi termin. Poszłam z kolegą, Fiore De Rienzem. Prosiła tylko, by nie filmować jej w zbliżeniu: straciła urodę i wstydziła się tego. Nagraliśmy siedem kaset, każda po 40 minut. Z tego materiału powstał wywiad trwający ok. 20 minut, wyemitowany w 2006 r. Inne fragmenty pokazano w 2009 r., kiedy Minardi zaczęła zeznawać przed prokuraturą.

Do czego doprowadziła cała ta historia?

– Wyznania Sabriny Minardi okazały się istotne w sprawie zaginięcia Emanueli Orlandi, ponieważ doprowadziły do wszczęcia śledztwa, w ramach którego wpisano do rejestru podejrzanych sześć osób. Minardi częściowo obciążała także samą siebie. Wskazała osoby, które po objęciu ich podsłuchem potwierdziły istotne elementy sprawy. W jednej z podsłuchanych rozmów podejrzany powiedział: „Tak, zrobiłem to dla pieniędzy i zrobiłbym to znowu”. Wskazała członka grupy z Testaccio, który miał odegrać rolę w uprowadzeniu dziewczyny. Śledczy zidentyfikowali go, lecz okazało się, że mężczyzna już od kilku lat nie żył. Przesłuchany został jego ojciec. Mógł wszystkiemu zaprzeczyć. Zeznał jednak, że podczas wspólnego pobytu w więzieniu syn wyznał mu swój udział w porwaniu i że w zamian otrzymał motocykl od De Pedisa. Później ojciec wycofał się z części zeznań i z tego powodu uznano go za niewiarygodnego. Niektórzy znajomi Emanueli Orlandi rozpoznali na zdjęciach okazanych przez śledczych osoby, które śledziły dziewczynę w dniach poprzedzających jej zaginięcie. Byli to członkowie bandy z Magliany, szczególnie z grupy Renatina.

Sabrina Minardi i Renatino De Pedis w czasach gangu Magliana.

Elementy te nie doprowadziły jednak do przełomu. Śledztwo zostało zamknięte.

Dlaczego?

– Prokuratorzy Giancarlo Capaldo i Simona Maisto chcieli kontynuować działania, jednak Watykan nalegał na przeniesienie ciała Renatina z Bazyliki św. Apolinarego. Sytuacja stała się delikatna: władze kościelne mierzyły się z protestami obywateli. Watykan chciał, aby to prokuratura w Rzymie zajęła się przeniesieniem szczątków, tak by sam nie musiał się angażować. Jak ujawniono później, podczas tajnego spotkania z wysokimi przedstawicielami Watykanu Capaldo wyraził gotowość do działania, ale pod warunkiem uzyskania akt dotyczących Emanueli Orlandi, przechowywanych w Watykanie. Wydawało się, że osiągnięto porozumienie – swego rodzaju wymianę. Jednak akta nigdy nie zostały przekazane, a Capaldo polecił rozpowszechnić depeszę prasową, że nie widzi już potrzeby otwierania grobu Enrica De Pedisa, bo nie znajduje się w nim nic poza jego szczątkami.

Rozeszła się pogłoska, że w grobie znajdowały się także szczątki Emanueli Orlandi.

– Hipotezę tę uznawano za mało prawdopodobną: trudno sobie wyobrazić, by ktoś ekshumował ciało dziewczyny zaginionej wiele lat wcześniej tylko po to, by ukryć je w grobie bossa w kościele. Ale plotka ta była jednym z powodów żądań otwarcia grobu. Kiedy Capaldo ogłosił, że nie zamierza już tego robić, jego przełożony, prokurator Giovanni Pignatone, przejął śledztwo i zarządził otwarcie grobu. Później, już po przejściu na emeryturę, Pignatone został przewodniczącym Trybunału Watykańskiego.

Co dokładnie powiedziała Sabrina Minardi o Emanueli Orlandi?

– Że dziewczyna została zabrana przez jednego z najbardziej zaufanych ludzi Enrica De Pedisa i przewieziona w okolice jeziora w dzielnicy EUR. De Pedis miał poprosić ją, by zabrała stamtąd dziewczynę i zawiozła do domu w Torvaianica nad morzem, należącego do rodziny Minardi. Emanuela miała tam pozostać przez kilka dni, po czym przewieziono ją w inne miejsce. W tym momencie Minardi – jak twierdziła – straciła z nią kontakt, wiedziała jednak, że Emanuela została przeniesiona do mieszkania w dzielnicy Monteverde, związanego z osobami bliskimi grupie z Testaccio. Policja kryminalna sprawdziła adres: mieszkanie miało bardzo grube ściany, które blokowały ewentualne hałasy czy wołanie o pomoc. Aby dotrzeć do pomieszczenia, konieczne było nawet zburzenie części konstrukcji.

Wróćmy jednak do wydarzeń z 1983 r. Według relacji Minardi po okresie przetrzymywania Emanueli w dzielnicy Monteverde De Pedis w pewnym momencie poprosił, by Sabrina zawiozła dziewczynę na stację benzynową w pobliżu Watykanu. Tam mieli spotkać mężczyznę ubranego jak ksiądz – nie wiedziała, czy rzeczywiście nim był – któremu przekazano dziewczynę. Od tego momentu, jak powiedziała, nigdy nie widziała Emanueli.

Jest jeszcze historia worków.

– Minardi opowiedziała o podróży z De Pedisem poza Rzym. Pojechali na obiad. Myślała, że potem wrócą do miasta, ale skierowali się

FOT. SPLASH NEWS/ EAST NEWS, FB.COM/RAFFAELANOTARIALE, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 41272a67e2

w stronę Torvaianica. W pewnym momencie odniosła wrażenie, że ktoś ich śledzi, lecz De Pedis ją uspokoił. Pojawił się drugi samochód, prowadzony przez jednego z członków grupy. Zatrzymali się. Ona została w aucie, podczas gdy De Pedis przesiadł się do drugiego. Z daleka zobaczyła, jak otwierają bagażnik i wyjmują dwa czarne worki: większy i mniejszy, które przeniesiono w stronę placu budowy z betoniarką. Dopiero wieczorem indagowany Renatino powiedział jej, że „tam była ta dziewczyna". Sabrina Minardi sama nie podeszła bliżej i nie widziała, co znajdowało się w środku.

Wiele osób podważa wiarygodność zeznań Minardi właśnie z tego powodu: miała wcześniej powiedzieć, że w jednym worku znajdowała się Emanuela Orlandi, a w drugim mały Domenico Nicitra, który zaginął w 1993 r., 10 lat po Orlandi, co uznano za niemożliwe.

– W tej kwestii czuję, że ponoszę pewną odpowiedzialność. Zaginięcie Domenica Nicitry było jedną z tych spraw, które nie dają spać. Nie miał jeszcze 11 lat, kiedy zniknął. Podczas spotkań naciskałam na Sabrinę Minardi: „Wiesz, co się stało z Domenikiem?". Zawsze odpowiadała tak samo: „Nie, nie wiem, nie mam pojęcia". Ale wciąż drążyłam w nadziei, że wyłoni się jakiś szczegół. W pewnym momencie powiedziała tylko: „Ojciec mówił za dużo". Ojcem był Salvatore Nicitra, zastępca De Pedisa w dzielnicy Primavalle. Niedługo potem chłopiec zniknął ze swoim wujem Franceskiem, bratem Salvatore.

Gdy podczas przesłuchania prokuratorzy Capaldo i Maisto, zajmujący się sprawą Orlandi, zapytali Minardi, kto znajdował się w workach, nigdy nie powiedziała z całą pewnością, że Emanuela i Domenico. Kiedy Capaldo dopytywał, kto był w drugim worku, odpowiedziała zniecierpliwiona: „Skąd mam wiedzieć, worek wydawał mi się mniejszy, może był tam Nicitra…". Rozumiem tę presję: sama podczas przesłuchania przez Capalda, mimo że byłam doświadczoną dziennikarką, poczułam się przyparta do muru. Pytania były tak natarczywe, że miałam trudność z zachowaniem jasności myślenia.

Minęło już ponad 40 lat od zaginięcia Emanueli Orlandi. W tym czasie pojawiło się wiele hipotez. Jak pani sądzi, co się wydarzyło?

– Nie mam pewności. Są ludzie przekonani, że znają prawdę, ale to niemożliwe. Jestem jednak przekonana, że Sabrina Minardi wiedziała pewne rzeczy, i zostało to potwierdzone. Dla mnie takim potwierdzeniem jest zeznanie ojca jednego z członków grupy. Jest nim także wyznanie tego, który mówił, że działał dla pieniędzy i zrobiłby to ponownie. Ważnym elementem jest mieszkanie w dzielnicy Monteverde, o tych szczególnych cechach konstrukcyjnych. Istotne są relacje przyjaciół Emanueli, którzy rozpoznali na zdjęciach okazanych przez śledczych osoby związane z bandą z Magliany, w tym tego, który miał wskazać dziewczynę, mówiąc: „To ona". Wszystkie te elementy każą sądzić, że w tej opowieści było wiele prawdy.

Sabrina Minardi była kochanką bossa i ważnym świadkiem w sprawie Orlandi. Jej zeznania nie przyniosły jednak przełomu.

Dlaczego właśnie Emanuela?

– Była ofiarą dostępną wewnątrz środowiska watykańskiego. Według niektórych rekonstrukcji francuskie służby specjalne miały ostrzec służby watykańskie o groźbie porwania ich obywatelki. Z kolei służby Watykanu miały poinformować najważniejsze rodziny. Jedna z dziewczyn, która czuła się śledzona, podobna do Emanueli, została wywieziona z Rzymu. Rodziny Orlandich nie ostrzeżono. Ojciec Emanueli był pracownikiem Watykanu, ale pełnił skromną funkcję. Emanuela prowadziła regularne, przewidywalne życie. Chodziła tymi samymi trasami, nie wychodziła wieczorami. Uczęszczała do szkoły muzycznej, na lekcje fletu, do kościoła, najwyżej do sklepu z płytami. Jej krąg znajomych pokrywał się z kręgiem jej siostry. Była łatwą zdobyczą.

A druga dziewczyna, Mirella Gregori, która zniknęła półtora miesiąca przed Emanuelą?

W 2023 r. parlament powołał specjalną komisję śledczą do zbadania obu zaginięć, prace trwają. Co łączy oba przypadki?

– Nie widzę aż tak bezpośredniego związku. Moim zdaniem powiązano te dwie sprawy później. Istnieje jednak interesujący wątek dotyczący Raoula Bonarellego, który zajmował się bezpieczeństwem Państwa Watykańskiego i mieszkał w pobliżu baru należącego do rodziny Gregorich. W jednej z podsłuchanych rozmów telefonicznych ze swoim przełożonym, ważnym prałatem, usłyszał: „Pamiętaj, nie mów nic o Emanueli Orlandi. Nie ma żadnych akt, nic nie wiemy".

Dlaczego De Pedis i jego grupa mieliby porwać dziewczynę z Watykanu?

– Uważam, że testaccini zostali wykorzystani jako wykonawcy, a nie zleceniodawcy. A powód był finansowy. Pieniądze przepływające przez bank watykański IOR splatały się z nieprzejrzystymi mechanizmami obejmującymi także przestępczość zorganizowaną, w tym bandę z Magliany. Za pośrednictwem Banco Ambrosiano Roberta Calviego fundusze przepływały między różnymi krajami, docierając według niektórych hipotez do Polski, by wesprzeć Solidarność i walkę z komunizmem. Banco Ambrosiano upadł z powodu tych nieprzejrzystych mechanizmów finansowych. Skąd dokładnie pochodziły wszystkie te środki, nigdy do końca nie wyjaśniono.

Czy poznamy prawdę o Emanueli Orlandi?

– Sabrina Minardi zmarła rok temu. Szkoda, że komisja parlamentarna zajmująca się sprawami Orlandi i Gregori nie wysłuchała jej, by pogłębić to, co kobieta zeznała wcześniej. Żal mi także Pietra Orlandiego, brata Emanueli, który wraz z matką i siostrami od lat z determinacją walczy o prawdę. Wciąż mam nadzieję na prawdę i sprawiedliwość dla Emanueli i jej rodziny. Ta sprawa, pełna kłamstw i działań mających zmylić śledztwo, od zbyt wielu lat woła o sprawiedliwość.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 41272a67e2

Żyję muzyką, myślę dźwiękami

Jerzy Maksymiuk: orkiestra w człowieku

Bronisław Tumiłowicz

90. urodziny i 70-lecie pracy obchodzi jeden z najwybitniejszych polskich dyrygentów. Jego wielkość wynika nie z samych dokonań artystycznych, ale też z formatu osobowości, doświadczenia, intelektu i poczucia humoru.

Jak ciekawie ukazać sylwetkę artysty? Poprzez jego własne wypowiedzi i słowami innych muzyków. O sprawach najróżniejszych: muzyce, karierze, ale także modzie, obyczajach, kobietach, sporcie itd. Dlatego sylwetkę Jerzego Maksymiuka przedstawiam jako mozaikę różnych elementów, a nie chronologicznie ułożony spis dokonań. Zwłaszcza że Maksymiuk to wielka tajemnica.

Architekt czy Bóg?

Dyrygent i pianista to twórca, ale i odtwórca muzyki, którą napisał ktoś inny. Kim mistrz czuje się najbardziej?

– Może architektem muzyki. Rozmawiałem z architektami i jeden z nich zwrócił mi uwagę, że jestem dobrym człowiekiem, niezłym dyrygentem, a jeszcze obcuję z bogami. Mogę się z tym zgodzić. To, co robię, nie jest zawodem. Człowiek może być niewolnikiem i robić to, co musi, co mu każą, pracować na zamówienie. Ja niczego nie muszę. Biorę partyturę, czytam, czasami przepisuję i wtedy rozmawiam z geniuszami, z bogami.

Z kim konkretnie pan rozmawia?

– Z największymi: Beethovenem, Mozartem, Webernem. Ostatnio jednak więcej komponuję niż dyryguję. I wtedy to ja staję się Bogiem, o wszystkim decyduję. Inni będą ze mną rozmawiać za pośrednictwem muzyki.

Jerzy Maksymiuk stworzył wiele różnego rodzaju utworów: symfoniczne, chóralne, jest i muzyka filmowa. Pracował też nad koncertem fortepianowym, ale jako osoba bardzo samokrytyczna przyznał, że zadanie jest poważne. Przy okazji mówił: „Po Beethovenie nie było lepszego symfonika niż Sibelius. Napisał osiem symfonii, znakomitych, ósma jednak mu się nie podobała i spalił ją w piecu. Niestety, ja nie mam odpowiedniego pieca”.

Światowa kariera

Przez dziesięć lat był szefem BBC Scottish Symphony Orchestra. Michał Dworzyński, młody dyrygent „na rozbiegu”, mówił: „Historia muzyki zna przypadki długotrwałej owocnej współpracy zespołu z kapelmistrzem. Jerzy Maksymiuk stworzoną przez siebie Polską Orkiestrę Kameralną prowadził przez 12 lat i doprowadził na europejskie szczyty. Jeszcze dłużej kierowali swoimi orkiestrami Karajan czy Mrawiński. Tylko sukcesy na Zachodzie przekładają się na wysoką pozycję w naszym kraju. Świadczy o tym uznanie, które przyszło dla naszych dyrygentów, którzy »sprawdzili się« z zagranicznymi zespołami, jak np. Jerzy Maksymiuk czy Jerzy Semkow”.

Kostium dyrygenta

„W Niemczech i w Anglii publiczność traktuje koncert jako święto. Garnitury są tutaj normą obyczajową – opowiada Maksymiuk. – Do londyńskiej Covent Garden, a także do słynnej opery w Sydney soliści przyjeżdżają Rolls-Royce’ami, a publiczność na parterze jest szalenie wykwintna, choć na wysokich balkonach, gdzie bywają też miejsca stojące, a nawet leżące, nie ma takiej elegancji”.

FOT. PIOTR TRACZ/REPORTER

eprasa.pl 41272a67e2

Dyrygent wspomina, że też był dowożony na przedstawienia Rolls-Royce'em. Podobno takie auto symbolizuje najwyższy poziom artysty. Nawet jeśli nie jest on jeszcze dobrze znany publiczności, ta otrzymuje sygnał, że przybył ktoś wybitny.

„W Polsce bywa różnie. W operze jest bardziej elegancko, w filharmonii mniej, starsi słuchacze częściej bywają w garniturach, młodzież rzadziej. A już na festiwalach Warszawska Jesień jest pełna dowolność. Tam nawet kompozytorzy, których utwór się wykonuje, pojawiają się na estradzie tak, jakby przed chwilą opuścili swój pokój. Muzycy orkiestr symfonicznych, operowych, soliści, dyrygenci tradycyjnie występują we frakach, ale coraz więcej artystów zrywa z tym zwyczajem. Pierwszym był japoński dyrygent Seiji Ozawa. Sir Neville'a Marrinera, twórcy najsłynniejszej z orkiestr kameralnych, Academy of St Martin-in-the-Fields, też nigdy nie widziałem we fraku. Twierdził, że to zbyt ciężki ubiór, a dyrygent wykonuje mnóstwo ruchów i to przeszkadza. Marriner sprawił sobie specjalnie uszytą marynarkę. Sir Simon Rattle też poszedł tym śladem – dyryguje w lekkim surducie zapinanym pod szyję. (…) Trudno mi sobie wyobrazić Władimira Aszkenaziego we fraku – jest bardzo niskiego wzrostu i wyglądałby jak z kabaretu. Z kolei Claudio Abbado jest zawsze we fraku.

Moda na lżejsze stroje objęła też pianistów. Najsłynniejszy z nich, Vladimir Horowitz, występował we fraku, do tego zakładał szare spodnie i zawsze kolorową muszkę. Wyglądał oryginalnie, ale bardzo elegancko. Nasz Witold Małcużyński był szalenie przystojny i zawsze grał we fraku, a Piotr Anderszewski nigdy nie przywdział takiego stroju. Jest zwykle w cienkiej, ciemnej koszuli z materiału przypominającego jedwab. Ja sam występowałem kiedyś we fraku, ale od pewnego czasu przyznaję rację »reformatorom«. Ponieważ należę do dyrygentów bardzo dynamicznych i ruchliwych, mam zestaw lekkich surdutów, w których czuję się swobodnie. Nic mnie nie krępuje.

Najbardziej ekstrawaganckie stroje widzi się u publiczności na zakończenie londyńskich Promsów, koncertów promenadowych organizowanych przez BBC".

Mistrz a duch narodu

Dlaczego utwór „Polacy, nic się nie stało", śpiewany na melodię kubańskiego przeboju „Guantanamera", zyskał taką popularność?

– Popularność melodii zawiodła ją na boiska piłkarskie i nikt się nad tym głębiej nie zastanawiał. Może w tym się wyraża „duch narodu"? Żal mi jednak Franciszka Smudy, bo wiem, że gdyby drużynie poszło lepiej w 2012 r., byłby bardziej sławny niż Chopin.

Te masowe odruchy zawsze były dla mnie niezrozumiałe. Coś chwyci i natychmiast wszyscy powtarzają jakieś słowa. Co znaczy np. „zajebiście"? Przecież to się wzięło od najgorszego, wulgarnego przekleństwa. Teraz nawet na muzykę mówi się „muza". Może i ja, zamiast Maksymiuk, zacznę się podpisywać Maks? Wszystko jest trochę zwariowane. Dla mnie muzyka to jednak bardziej Beethoven niż Sting czy Doda. W tej chwili zajmuję się popularyzacją symfonii skomponowanej przez polskiego premiera Ignacego Jana Paderewskiego. Nawet królowa wstawała, gdy się pojawiał na estradzie. Takich ludzie mieli kiedyś idoli.

Muzykę polską należy grać, zwłaszcza tę wartościową, by ludzie potrafili wymienić tych kilka nazwisk. Kiedyś dowodziłem, że Paderewski jest tak dobry jak Mahler. Przesadziłem, ale w dobrej wierze. Trzeba go grać, choćby dlatego, że dzięki jego wielkiej działalności społecznej mamy część wolności.

Maestro a wybory tłumów

Maksymiuk wystąpił w nieistniejącym już magazynie aktualności kulturalnych „Pegaz". Prowadzący najpierw podpytywali muzyka, kim jest dyrygent – też się dowiedzieli, że to coś więcej niż zawód. Próbowali także się dowiedzieć, czy wśród twórców popowych jest ktoś tak genialny jak Bach czy Chopin – Maksymiuk jednak delikatnie zaprzeczył. Rozmowa się rwała, więc artyście podziękowano. Zapytał: „Tak krótko? To już wystarczy?". Autorom „Pegaza" widać to wystarczyło – czekały kolejne osoby, które na wiele minut miały przykuwać uwagę widzów rozmową o zjawiskach znacznie mniej istotnych.

Czy ma pan problem ze słowem geniusz?

– Myślę, że geniusz muzyczny musi mieć 300% talentu i włożyć w to 300% pracy. Ostatnim z wielkich był Dymitr Szostakowicz. Taki twórca nie musi myśleć, w jaki sposób można pisać, czy są jakieś zakazy. Stwarza zupełnie nowy świat dźwiękowy, nowe brzmienia. Geniuszem wcześniej był Claude Debussy, który wprowadził do muzyki kolory. W naturze nie ma takich dźwięków i współbrzmień, jakie tworzą wielcy kompozytorzy.

A twórcy muzyki popularnej?

– Na koncert do filharmonii przychodzi 800 osób, a na gwiazdę rocka 8 tys. albo nawet 100 tys. Ale to nie są wybory, gdzie większość ma rację. Ta muzyka nie ma gęstości wielkiej sztuki. O wartości decyduje nie tłum, ale mądrość i doświadczenie. (…) Niech każdy słucha takiej muzyki, jakiej chce, ale Beethoven był tylko jeden i nikt jeszcze mu nie dorównał.

Maksymiuk przy fortepianie

Jako członek komisji repertuarowej Warszawskiej Jesieni mistrz uczestniczył w wybieraniu nowych utworów na koncerty.

Szanowny Maestro,

z okazji niezwykłego jubileuszu 90. urodzin i 70-lecia pracy twórczej składamy najserdeczniejsze życzenia zdrowia i kolejnych lat wypełnionych muzyką, która porusza serca i inspiruje pokolenia.

Z wyrazami wdzięczności

Jerzy Domański
Bronisław Tumiłowicz

eprasa.pl 41272a67e2

Wspomina ówczesny dyrektor festiwalu Tadeusz Wielecki: „Bardziej znane kompozycje niektórzy członkowie komisji pamiętali z wcześniejszych wykonań. Czasami Jerzy Maksymiuk siadał do fortepianu i grał to, co wynikało z partytury, co pozwalało wyrobić sobie jakiś pogląd”.

Ale nie tylko fortepian pomaga przy wyborze i ocenie muzyki. Czasami potrzebny jest papier nutowy. Maksymiuk przepisuje własnoręcznie istniejące już kompozycje, po to by lepiej je zrozumieć.

Maksymiuk i dzieci

„Napisałem mnóstwo muzyki na orkiestrę symfoniczną i na chóry, nawet na zespoły dziecięce. Pamiętam Warszawską Jesień, kiedy dyrygowałem zespołem uczniów. Byli tam nawet siedmiolatkowie. Graliśmy utwory Fotka, Penherskiego, Rudzińskiego, Sikorskiego i moje. Koncertowaliśmy potem także w Dijon we Francji i w Moskwie. Dzieci nie zawsze potrafiły nastroić instrumenty, powstawały dziwne klastery, niesamowite współbrzmienia. Niektórym otworzyły się oczy, że to możliwe, by dzieci grały trudną, skomplikowaną i abstrakcyjną muzykę”.

Jakiś czas temu mistrz napisał utwór dla Lucynki, która miała wówczas zaledwie sześć miesięcy i jeszcze nie mogła grać, najwyżej jednym paluszkiem. Do tego dołączył dwie ręce pianisty. W sumie powstał utwór na trzy ręce.

Kim jest Lucynka? „To wnuczka znajomego lekarza i mojego przyjaciela dr. Dariusza Niesiobędzkiego, właściciela kliniki. Liczę na to, że jak trochę podrośnie, zainteresuje się muzyką i nie pójdzie na łatwiznę, nie będzie się uczyć grać na japońskich keyboardach, ale na starym pianinku, i nie wpadnie w jakiś hip-hop. Chciałbym się przeciwstawić modzie, choć wiem, że sam świata nie zmienię. Ten utwór to mój osobisty apel wypuszczony w powietrze. Może Lucynka polubi Bacha?”.

Maksymiuk i kobiety

„Zachwycam się np. kompozycją Debussy’ego »Dziewczyna o włosach jak len«. Oczywiście to tylko tytuł, bo jak można w muzyce takie włosy ukazać? (Mistrz przerobił ten utwór fortepianowy na orkiestrę smyczkową). Jest też np. kilka utworów o tytule »Łabędź«, ale przecież nie da się muzycznie narysować łabędzia”.

Specjalnych ukłonów wobec płci przeciwnej nie robi. Do anegdot przeszło jego zachowanie na jednej z prób, gdy muzycy nie chcieli lub nie mogli wykonać danej frazy zgodnie z jego wolą. Niezadowolony powiedział: „Wszyscy jesteście ch...”. Zapanowała konsternacja. Jedna ze skrzypaczek zachowała zimną krew i zapytała: „A ja?”. „Pani też”, wypalił mistrz. Warto dodać tu komentarz-wyznanie kapelmistrza: „Kocham muzykę, żyję nią, myślę dźwiękami. Mam nadzieję, że wszystko będzie mi wybaczone”. Zapewne także opis ideału kobiecego ciała: „Wysoka, chuda, bez piersi. Dobrze, jak mało mówi”.

I jeszcze jeden komentarz: „Właściwie cała muzyka klasyczna jest oparta na jednym schemacie porównywalnym do kontaktów męsko-damskich. Najpierw kompozytor przedstawia dwa tematy, jeden to mógłby być mężczyzna, drugi – kobieta. Później te tematy łączą się ze sobą, czasem bardzo lirycznie i w zgodzie, ale niekiedy wybucha straszna kłótnia. W zakończeniu znów mamy oba tematy, męski i żeński, następuje rozwiązanie i zakończenie. Ta całość to forma sonatowa”.

Maksymiuk a publiczność

Jerzy Maksymiuk ma przemożną chęć przemawiania do słuchaczy. Zaskakuje entuzjazmem i otwartością w kontaktach z publicznością. „Zabieram głos – komentuje swoje wystąpienia na podium – ale nie zawsze to się podoba. Raz jedna pani powiedziała: »Proszę już grać«”. Oratorskie zapędy mistrza śledzi żona, Ewa Piasecka. W filmie dokumentalnym „Maksymiuk. Koncert na dwoje” Tomasza Drozdowicza pani Ewa dosyć ostro próbuje uciszyć męża – on zaś samokrytycznie przyznaje, że kiedy się podnieci, to tragedia, a kiedy jest spokojny – mówi bzdury. Ale gdy na końcu filmu dyryguje muzyką do „Romea i Julii” Prokofiewa, nie znajdzie się nikt, kto by go skrytykował lub powstrzymał.

Bronisław Tumiłowicz
b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

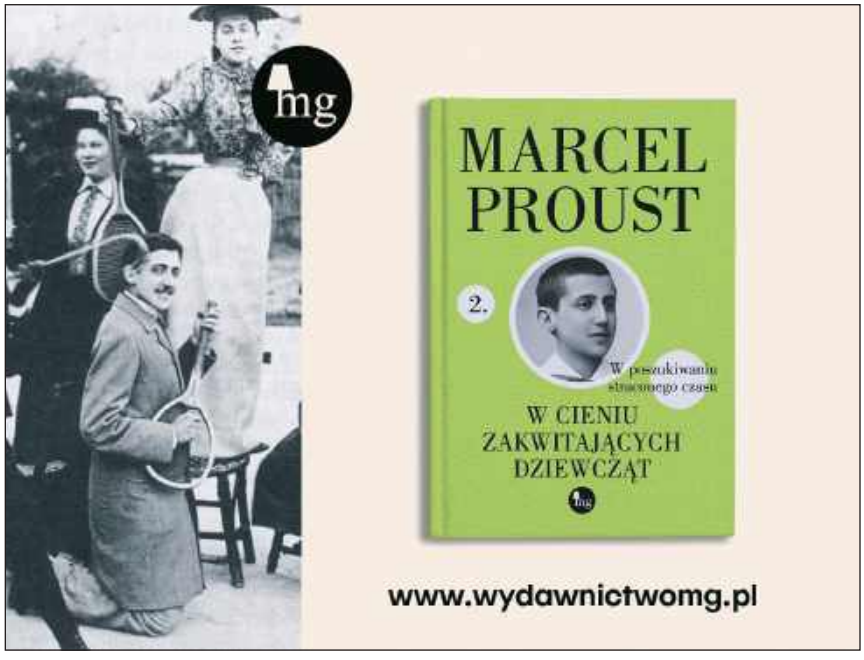

eprasa.pl 41272a67e2

KURTYNA W GÓRĘ

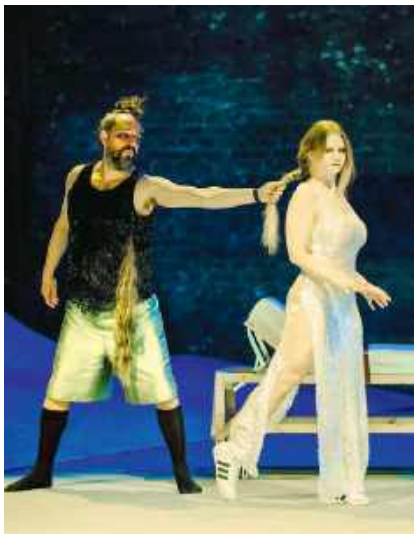

Eurypides i inni, „Trojanki", reżyseria Aleksandra Bielewicz, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 14 marca 2026

Drżący lament

Wojna to chaos. Nie ma zwycięzców i zwyciężonych, wszyscy ponoszą klęskę. Wspólny może być tylko lament. To od wieków przypomina nam Eurypides w swojej bodaj najbardziej pesymistycznej tragedii „Trojanki", a kolejne pokolenia ze zdumieniem odkrywają, że jego przestrogi i obserwacje nie straciły na aktualności. Wojna trwa i zbiera żniwo.

Ten chaos widać na scenie, przypominającej bardziej rupieciarnię teatralną, magazyn, w którym dawno nie sprzątano, niż pole walki albo zburzone miasto. Wiele porzuconych przedmiotów i działań nie znajduje wyjaśnienia. Nadmiar i brak selekcji pomysłów, z niezdarną transmisją wideo włącznie, nie składa się w spójną koncepcję. Jedynie krótka scena (niecałe pięć minut w ponaddwugodzinnym spektaklu) przejmującego zbiorowego lamentu, wycia kobiet z rozpaczy, budzi emocje. Reszta jest pokutą widzów: albo wywołuje wątły śmiech, albo ani ziębi, ani grzeje. No, jeszcze na osłodę jest wspaniały monolog Priama wygłoszony przez Tomasza Nosińskiego i jego popisowa komiczna kreacja Odysa. Reszta zagłusza się nawzajem. Tę niespójność próbuje ratować reżyserka – oprócz desperackich usiłowań pokonania „muru" przez Trojanki – finałową sceną wprowadzenia ciał bohaterek w wibracje zgodnie z techniką TRE (Tension & Trauma Releasing Exercises) opracowaną przez dr. Davida Bercelego. To jednak metoda terapeutyczna, a teatr to nie klinika – choć reżyserka sugeruje, że jej spektakl ma stanowić rodzaj szczepionki. Przed wojną, jej następstwami czy też niezdolnością opowiadania o tym? Trudno orzec.

Tomasz Miłkowski

Pigułka szału

Publiczność obcuje z poezją Tuwima wręcz namacalnie. Wszystkie strofy szalonego poematu mają bezpośrednie przełożenie na działania aktorskie, muzyczne, akrobatyczne i nawet biały proszek (ponoć cukier puder) ludzie wycierają z okularów albo spodni. Widzowie siedzą i stoją, a wśród nich wykonawcy imitują działania uliczne, kulinarne, higieniczne, erotyczne, nawet bokserskie. Pomysł jazzowego mistrza klawiatury może bulwersować, ale już obrósł w legendę.

Bronisław Tumiłowicz

Leszek Możdżer, „Bal w operze", spektakl performatywno-muzyczny do słów poematu katastroficzno-satyrycznego Juliana Tuwima, reżyseria Agnieszka Płoszajska, Basen Artystyczny Warszawskiej Opery Kameralnej, premiera 26 marca 2026

NA EKRANACH

„Alpha",
reż. Julia Ducournau, prod. Belgia/Francja, już w kinach

Są tacy twórcy i twórczynie na tym padole, którzy nieustannie lawirują między arcydziełami a kiczowatymi niewypałami. Francuska wizjonerka Julia Ducournau należy do tej kategorii, o czym zresztą świadczy jej wprawdzie intrygująca, ale wciąż nierówna filmografia. Zaczęło się od szalonego debiutu – „Mięso" z 2016 r. nie było tytułem idealnym, aczkolwiek zaskakiwało tematem. To tam obserwowaliśmy losy młodej dziewczyny, która z wegetarianki staje się kanibalką z krwi i kości. Pięć lat później Ducournau zachwyciła body horrorem „Titane", który stał się objawieniem na festiwalu w Cannes. Nic dziwnego, że rok temu na tej samej imprezie oczekiwania wobec „Alphy" były ogromne. I wyszło, jak wyszło. Ten film to jedna wielka metafora, więc przed seansem warto wiedzieć dwie rzeczy (i nic więcej!). Pierwsza – śledzimy losy 13-letniej Alphy, której życie całkowicie się zmieni w wyniku wybuchu tajemniczej epidemii. Druga – to jeden z najgorszych tytułów ubiegłego roku. Oglądacie na własną odpowiedzialność.

Jan Tracz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 41272a67e2

Tomasz Miłkowski

Sytuacje graniczne

Monodram wraca do opowiadania historii

Na zwołanych 40. Toruńskich Spotkaniach Teatrów Jednego Aktora (26-29 marca 2026 r.) w Baju Pomorskim dominował bioteatr, jak nazywa swoje monodramy Agnieszka Przepiórska, która sięga do historii zapomnianych bohaterek. Prawie wszyscy uczestnicy spotkań przypominali takie właśnie historie, przy czym większość spektakli oparta była na rzeczywistych wydarzeniach.

Toruńskie spotkania to najwytrwalej, bo od pół wieku, organizowany przegląd monodramów w Polsce. Dlaczego zatem dopiero 40. numer? Miały dziesięcioletnią przerwę, po której wróciły do kalendarza wydarzeń teatralnych. Ten powrót zawdzięczają Wiesławowi Gerasowi – przez ostatnie 20 lat patronował przeglądowi jako dyrektor artystyczny, a na 40. urodziny imprezy odznaczony został złotym medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis (serdeczne gratulacje!). Bywalcy spotkań zgotowali mu gorącą owację, bo dobrze wiedzą, że to właśnie Geras przed wielu laty jako młody szef toruńskiego klubu Iskra pierwszy w Polsce zapraszał na spotkania twórców spektakli jednoosobowych i z tych nieśmiałych prób wykluł się najpierw wrocławski przegląd monodramów, a potem ten toruński.

Program festiwalu aż pękał od wydarzeń i może dlatego organizatorzy nie znaleźli czasu na rozmowę o tych 40 już spotkaniach w Toruniu, a byłoby o czym gadać. Nie starczyło też czasu na promocję książki, którą Baj Pomorski wydał na swoje 80-lecie. Ale najważniejsze i tak były spektakle (i rozmowy po nich), starannie dobrane, wyraźnie akcentujące osobiste historie bohaterek i bohaterów monodramów. Widać to było nawet w nieudanym spektaklu Julii Ankiersztajn, jeszcze licealistki, za wcześnie dopuszczonej do udziału w spotkaniach, która najwyraźniej rozminęła się ze swoją bohaterką.

Ale to wypadek przy pracy. Pozostałe dziewięć monodramów trzymało poziom, wzbudzając niekłamany aplauz widowni. Wspomniałem, że inspiracją scenariuszy większości monodramów były rzeczywiste, często zapomniane postacie i zdarzenia. Wprawdzie Ernest Hemingway utrzymywał, że fikcja bywa prawdziwsza niż życie, ale podczas spotkań w pełni sprawdziło się to tylko raz. Przemysław Bluszcz otwierający przegląd błyskotliwym „Belfrem" wywiódł wszystkich w pole, wiarygodnie ukazując nauczyciela, który, od lat psychicznie poniewierany, nie wytrzymał poniżenia i wymordował połowę uczniów klasy maturalnej. Na szczęście opowiedziana przez Bluszcza historia (na podstawie dramatu Jeana-Pierre'a Dopagne'a, w reżyserii Jacka Bończyka) nie wydarzyła się nigdy, choć wpisuje się w budzące trwogę relacje o przemocy i hejcie w szkole.

Toruńskie spotkania nie uciekały od okoliczności, w których człowiek staje przed pytaniem, kim jest albo kim chciałby być.

Inna opowieść, snuta przez Adama Ferencego, „Sprzedawca życzeń", to kompozycja dramatyczna Jacka Cygana, który połączył dziesiątki charakterystycznych dowcipów żydowskich z losem samotnika z getta – to zresztą usytuowanie bohatera zasugerował aktor, tworząc aurę przypominającą opowiadania Brunona Schulza. Mimo niemałej energii i humoru przypowieści żydowskich całość odsłaniała jednak literackie zaplecze – tytułowy sprzedawca życzeń pozostawał w tym spektaklu do końca postacią nierzeczywistą.

Inaczej ma się rzecz z pozostałymi monodramami, które pokazywały bohaterki i bohaterów w sytuacjach granicznych, przy czym bohaterki były w grupie określanej przez Agnieszkę Przepiórską jako te, którym należał się głos, a bywały go pozbawiane. Jadwigę Stańczakową, bohaterkę monodramu „Jadwiga" (tekst Piotr Rowicki, reżyseria Anna Gryszkówna), znaliśmy wcześniej jako „niewidomą od Mirona". Pomagała Mironowi Białoszewskiemu, przepisywała jego wiersze i pozostawała na każde skinienie poety. Choć wcześniej podejmowano próby przywrócenia Stańczakowej prawa do podmiotowości, dopiero w tym spektaklu poznajemy głębiej jej dokonania, tragiczne doświadczenia i walkę o szczęście.

Równie dobitnie widać to w monodramie Ewy Ziętek (tekst Remigiusz Grzela, reżyseria Wawrzyniec Kostrzewski). „Nieostrość widzenia" wydobywa z niepamięci postać Zofii Książek-Bregułowej, utalentowanej aktorki, której wróżono wielką przyszłość. Wypadek pozbawił ją wzroku, a mimo to z uporem uprawiała ukochany zawód. Grzela umiejętnie włączył w opowieść o heroicznej aktorce przypadki zawodowe Ewy Ziętek, która przebojem wspięła się jeszcze na studiach na aktorski Parnas. Powstał dzięki temu spektakl gorzko-słodki, grany na szerokiej klawiaturze emocjonalnej.

Do zapomnianych bohaterek należy też Janina Lewandowska, zawołana pilotka, jedyna kobieta uwięziona i zamordowana w Katyniu. Jej życiorys, pełen niejasnych punktów, przywołała Karolina Sadowska w monodramie „Lot" (reżyseria Aga Błaszczak). Spektakl zrealizowany w Olsztyńskim Teatrze Lalek odwołuje się do instrumentarium teatru formy, tworząc iluzje wielu przestrzeni i poetyckich zderzeń. Miały w tym udział monstrualnych rozmiarów lalka hybrydowa ucieleśniająca zło i sugestywnie ukazany przez aktorkę skok ze spadochronem.

eprasa.pl 41272a67e2

Agnieszka Przepiórska w monodramie „Jadwiga".

Środkami teatru formy posłużył się debiutujący Miłosz Sadowski, który w spektaklu dyplomowym ukazał dorastanie do wolności, posługując się oryginalną adaptacją powieści „Gnój" Wojciecha Kuczoka, przygotowaną z bratem, Kornelem Sadowskim – reżyserem i scenarzystą. To opowieść na styku literatury i prawdy reportażu. Sadowscy zbudowali na stole miniaturowy teatr, w którym zagrały dziesiątki maleńkich laleczek podglądanych przez kamerkę – obraz wyświetlany był na ekranie na horyzoncie sceny. Obserwowaliśmy sceny z życia w zaludnianym po wojnie poniemieckim domu, w którym przemocowy ojciec tresuje syna. Aktor stawia pytanie o możliwość przerwania tej dziedziczonej pokoleniami traumy.

Złowrogie oblicze wolności, ignorującej dziejące się zło, i ucieczkę w świat własnych pasji odsłania zatrważająca opowieść Grzegorza Sierzputowskiego oparta na biografii esesmana ornitologa, Günthera Niethammera. Bohater monodramu „Ptaki krzyczą nieustannie" po wojnie wyparł z pamięci przeżycia z Auschwitz, ale na scenie wraca do lat próby, kiedy granica między dobrem i złem została przekroczona.

Na faktach oparta jest też „Hibernacja" (produkcja Teatru Małego w Tychach) Krystiana Durmana o himalajskiej wyprawie Tomka Mackiewicza, budząca silne emocje wśród entuzjastów wypraw wysokogórskich, choć w istocie to rzecz o dążeniu do wolności. Mackiewicz należał do postaci uznawanych za kontrowersyjne, chodził własnymi ścieżkami, nie zawsze w zgodzie z nawykami „zawodowych" himalaistów. Jego zwycięska zimowa wyprawa na Nanga Parbat (8126 m n.p.m.) zakończyła się tragicznie. Durman odtwarza to przejmująco, a reżyser Beniamin Bukowski (także autor scenariusza) wraz ze scenografem i autorem ilustracji muzycznej dali mu mocne tło.

Największy entuzjazm widowni wzbudził poruszający intymne struny tożsamości spektakl Łukasza Lewandowskiego w reżyserii Aldony Figury, monodramatyczna wersja „Historii Jakuba" Tadeusza Słobodzianka. Po raz pierwszy w historii spotkań trzy pracujące niezależnie kapituły: dziennikarzy, ZASP i Nagrody Antoniego Słocińskiego nagrodziły tego samego aktora.

To opowieść inspirowana doświadczeniami ocalonego z getta, który o swoim pochodzeniu dowiedział się jako człowiek dorosły, co więcej, ksiądz katolicki. Jego walka o prawo wyboru własnej drogi trwa. Jej echem jest ten budzący głębokie emocje monodram, wykonany z brawurą przez aktora, który łączy umiejętność powoływania na scenie licznych postaci, nierzadko z akcentem parodystycznym, z budowaniem subtelnego portretu głównego bohatera, dążącego do zdobycia akceptacji otoczenia.

Toruńskie spotkania nie uciekały od tematów trudnych, od sytuacji granicznych, w których człowiek staje przed pytaniem, kim jest albo kim chciałby być. Te pytania to bodaj główna pokusa dla aktorek i aktorów podejmujących wyzwanie teatru jednoosobowego. ■

Miłosz Sadowski ukazał dorastanie do wolności, posługując się oryginalną adaptacją powieści „Gnój" Wojciecha Kuczoka.

FOT. MAŁGORZATA FABER/ FUNDACJA 1025

eprasa.pl 41272a67e2

Simeone kocha Griezmanna

Katalońsko-hiszpańska wiosna w pucharach

Wojciech Kuczok

Miewało się gorsze kace niż ten po odpadnięciu Polaków w mundialowych kwalifikacjach. Nie ma wyniku, ale wydaje się, że jest drużyna; czas szybko mija, powetujemy sobie jeszcze tę klęskę.

A tak po prawdzie bardziej trefnego mundialu dotąd w historii nie było. Niech sobie tam grają drużyny karaibskie z arabskimi, niech sobie o trzeciej nad ranem Wyspy Zielonego Przylądka ganiają po boisku za Arabią Saudyjską – nikt mnie nie przekona, że to będzie poważny futbol, nikt o zdrowych zmysłach nie będzie się w Europie budził w środku nocy na takie piłkarskie cymesy. Jakkolwiek by się Infantino napinał, żeby pod pozorem inkluzywności zrobić jeszcze większy skok na kasę, rzeczy istotne dla piłki nożnej wciąż dzieją się na Starym Kontynencie i niechaj tak pozostanie, póki nam życia starcza.

Ta wiosna w klubowej Europie stoi pod znakiem zastępczego El Clásico, czyli serii potyczek Atlético Madryt z Barceloną. W ciągu ostatnich 10 dni mieliśmy do czynienia z hiszpańsko-katalońskim tryptykiem, przed miesiącem zaś obie ekipy spotkały się dwukrotnie w Pucharze Króla. Już tamte mecze pokazały, że gra będzie bardzo wyrównana. Atlético po koncertowej grze u siebie zaskakująco łatwo poradziło sobie z Barcą 4:0, by w rewanżu do końca drżeć o wynik (udało się przegrać tylko 0:3).

W La Liga przed tygodniem Barca przepchała zwycięstwo barkiem Roberta Lewandowskiego, który zdobył bodaj najbrzydszą bramkę w swojej karierze, ale dowiódł, że dojrzały napastnik nie musi szukać piłki, ona go znajduje sama, wystarczy, że nadstawi bark, a piłka się od niego odbija i trafia do siatki. Lepiej mądrze stać, niż głupio biegać – to jedna z moich ulubionych futbolowych prawd. Na marginesie, cieszy mnie forma weteranów, bo jestem już po drugiej stronie smugi cienia. Fakt, że prawdopodobnie znowu sztandarową parą naszych napastników będą Milik i Lewandowski, ma na mnie działanie kojące.

Arkadiusz Milik, jak przystało na okres wielkanocny, zmartwychwstał po kontuzji i nieprawdopodobnie długiej rekonwalescencji, dostaje w Juventusie kolejne minuty i znowu pokazuje swoje najlepsze cechy: pewność siebie, nienaganną technikę, finezję i bezczelność. Na razie jeszcze nie trafia, chociaż jest coraz bliżej – z Sassuolo świetnie uderzył głową, z Genoą kropnął z połowy boiska tuż pod spojenie, bramkarz piłkę ledwie sparował. Nie tylko statystyki czynią Panem Piłkarzem, czasem dość spojrzeć na to, jak zawodnik się porusza – Milik ma to coś, jest gościem z instynktem snajpera, ale też z przeglądem pola jak u najlepszych rozgrywających – jakże chciałbym, żeby pech wreszcie go opuścił, aby mógł dograć karierę na miarę swojego talentu.

Barca przepchała zwycięstwo barkiem Lewandowskiego, który zdobył bodaj najbrzydszą bramkę w swojej karierze.

Wracając do rywalizacji Barcy z Atlético w Champions League, rewanż nie będzie dla Los Colchoneros łatwy, ale zaliczka jest poważna. Decydujący był moment z końcówki pierwszej połowy, gdy czerwoną kartką został ukarany Pau Cubarsi za wytrącenie z równowagi Giuliana Simeonego. Kartka była „miękka", ale sędzia nie miał wyjścia – skoro uznał faul, musiał wykluczyć z gry obrońcę, bo Simeone wychodził na czystą pozycję. Oskarżanie sędziego, że wypaczył wynik, jest nadużyciem; przecież przy rzucie wolnym nie ma znaczenia przewaga jednego zawodnika, a Julián Alvarez po prostu strzelił nad murem arcydzielnie, zawinął piłeczkę w okno z taką siłą i gracją, że żaden bramkarz w historii by tego nie sparował. W drugiej połowie Alexander Sørloth idealnie przyłożył po kontrze i Los Rojiblancos wygrali na słynnym Camp Nou po 20 latach przerwy!

Fanatycy Barcelony nie mogą się z tym faktem pogodzić, zwracają uwagę na sytuację z drugiej połowy, gdy Marc Pubill jakoby zatrzymał piłkę w polu karnym po rozegraniu jej przez bramkarza. Wolne żarty, golkiper mu po prostu podał piłkę, aby obrońca rozpoczął grę z piątego metra. W trakcie meczu jakoś nikt nie doskoczył do sędziego, z oburzeniem domagając się karnego, więc takie pretensje są niestosowne, jakby ekipa Blaugrany nie mogła uznać, że uległa w sportowej walce, taka Barca to Farca.

Przypomnę, że przed rokiem to Atlético zostało skrzywdzone przez polskiego sędziego Szymona Marciniaka, kiedy w serii jedenastek gol Alvareza został anulowany z powodu rzekomo dwukrotnego dotknięcia piłki – Alvarez się poślizgnął, piłka mu zeszła, ale wpadła do bramki, dopatrzenie się w takim momencie nieprzepisowego ruchu było kontrowersją druzgocącą morale drużyny. W futbolu najwyraźniej bilans zysków i strat spowodowanych sędziowskimi pomyłkami się wyrównuje.

Warto wspomnieć, że swój ostatni sezon w Atlético dogrywa Antoine Griezmann, mający w klubie już status żywej legendy. W czerwcu

eprasa.pl 41272a67e2

Kylian Mbappé z Realu strzela gola Manuelowi Neuerowi z Bayernu podczas ćwierćfinału Ligi Mistrzów na Santiago Bernabéu. Madryt, 7 kwietnia 2026 r.

Francuz przenosi się na piłkarską emeryturę za ocean, do Major League Soccer, będzie grał w Orlando. Na przedmeczowej konferencji Cholo Simeone wygłosił niespodzianie osobistą laudację na cześć swojej gwiazdy: „Dziękuję ci za ciężką pracę i pokorę. Jesteś wzorem do naśladowania dla młodzieży. Dzisiejsze społeczeństwo potrzebuje takich ludzi jak ty. Dziękuję za wszystko, co nam dałeś, za wszystko, co nadal nam dajesz, i za wszystko, o co jeszcze będę cię prosił. Bardzo cię kocham. Gdyby dziś był tu jakikolwiek kibic Atlético, powiedziałby dokładnie to samo". Takie czułości z ust twardziela Simeonego świadczą o wielkim szacunku i przyjaźni łączącej go z francuskim napastnikiem.

35-latek spędził w Atlético w sumie 10 sezonów, zagrał dotąd dla Rojiblancos ponad 490 meczów, wygrywał z nimi Ligę Europy, Superpuchar Europy i Superpuchar Hiszpanii. Tej wiosny ma jeszcze szanse zwieńczyć swoją madrycką karierę dwoma laurami – Pucharem Hiszpanii i wymarzonym przez Atlético Pucharem Europy. Będzie szalenie trudno, ale pierwszy milowy krok został już uczyniony. W półfinale Atlético w razie awansu trafi na mimo wszystko najłatwiejszego z rywali, czyli Arsenal – trudno sobie bowiem wyobrazić, by Sporting na wyjeździe odrobił to, co stracił w Lizbonie, choć pamiętamy remontadę niemożliwą, kiedy Portugalczycy potrafili przejść Bodø/Glimt mimo trzybramkowej porażki w pierwszym meczu.

W drugiej parze półfinałowej wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wystąpi PSG, bo Liverpool, kompletnie rozbity po klęsce z Manchesterem City w Pucharze Anglii, w Paryżu właściwie nie istniał. Przegrał tylko dwiema bramkami, ale Paryżanie na tle drużyny Arne Slota wyglądali o klasę lepiej. Druga bramka padła po tym, jak „gruziński Maradona" Chwicza Kwaracchelia zatańczył z piłką w polu karnym i zwiódł kilku obrońców balansem ciała.

W Madrycie kolejny triumf odniosła bawarska maszyna do zabijania marzeń, ale nie byłoby tego sukcesu bez Manuela Neuera, po którym zupełnie nie widać, że kilkanaście dni temu miał 40. urodziny. Neuer w starciu Realu z Bayernem wybronił kilka fantastycznych uderzeń, nawet przy bramce, którą Mbappé strzelił z najbliższej odległości, miał coś do powiedzenia i omal piłki nie sparował, miał też kilka wybiegów na 40. metr w swoim dawnym stylu. Czas zdaje się go nie imać, tacy goście jak Neuer, który jest klasą dla siebie od dwóch dekad, przywracają mi błogie samopoczucie.

W świecie rozchwianym przez codzienne wybryki małpy z atomową brzytwą na podorędziu człowiek tęskni do stałych, niezmiennych wartości, do dawnego, bezpiecznego świata. „Za moich czasów" najlepszym bramkarzem na świecie był Neuer, a skoro pozostaje w mistrzowskiej formie, to znaczy, że moje czasy nie wszystek odeszły. Bayern był lepszy, miał przewagę także w posiadaniu piłki, co na Santiago Bernabéu gościom nieomal się nie zdarza, ale jeśli jest drużyna, która potrafi wyremontować niekorzystny wynik, przyjeżdżając do Monachium, to właśnie Real. W środowy wieczór wszystko będzie jeszcze możliwe.

■

Lepiej mądrze stać, niż głupio biegać – to jedna z moich ulubionych futbolowych prawd.

FOT. XINHUA/CHENG MIN/EAST NEWS

eprasa.pl 41272a67e2

Odsalarnie wody ważniejsze niż ropa

Dzisiaj najbardziej strategicznym produktem na świecie jest słodka woda

Chrystian Ślusarczyk

Rosnące ceny na stacjach paliw spędzają sen z powiek milionom. Niepokoi przedłużająca się wojna na Bliskim Wschodzie, w wyniku której niszczone są rafinerie i tankowce, a perspektywa braków w dostawach ropy nie pozwala optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Jednak to nie ropa jest dziś najbardziej strategicznym produktem na świecie, lecz woda. Przede wszystkim pitna, ale i ta wykorzystywana do celów gospodarczych. Jej brak może doprowadzić do potężnych turbulencji polityczno-ekonomicznych, znacznie większych niż braki paliwa.

Obecnie odsalanie wody morskiej stanowi najważniejsze źródło wody pitnej dla ponad 300 mln ludzi na świecie. Ogromna większość zamieszkuje obszary, które po 28 lutego 2026 r., po agresji Izraela i USA na Iran, stały się celem ataków odwetowych ze strony Teheranu. Są to przede wszystkim Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Sułtanat Omanu oraz Izrael.

Długa tradycja odsalania

Wody mamy dużo. Niestety, głównie tej pochodzącej z oceanów i mórz. 97,5% całkowitej ilości wody na Ziemi stanowią zasoby morskie. Pozostała, niewielka część to rezerwy wody słodkiej. I z roku na rok mamy jej coraz mniej.

Historia odsalania wody morskiej sięga czasów jeszcze sprzed naszej ery. Już wtedy mieszkańcy wybrzeża Morza Śródziemnego pozyskiwali wodę pitną w ten sposób. Pierwsza odsalarnia podobna na swój sposób do dzisiejszych powstała na małej wyspie u wybrzeży Tunezji w roku 1560. Z kolei pierwsze patenty na odsalanie wody morskiej metodą destylacji zostały przyznane w Anglii w latach 1675-1683.

W XIX w. wiele krajów osiągało już spore sukcesy w procesie odsalania wody morskiej. W tym gronie znalazło się Chile (mające ponad 6,4 tys. km linii brzegowej), gdzie w 1872 r. szwedzki inżynier Charles Wilson opracował pierwszą na świecie instalację odsalania zasilaną energią słoneczną i produkującą 20-25 m sześc. słodkiej wody dziennie.

W 1892 r. do państw zamieniających wodę słoną w słodką dołączyła Rosja. Uruchomiono tam pierwszy zakład odsalania oparty na zasadzie wielostopniowego odparowywania wody.

W czasie II wojny światowej odsalanie wody było intensywnie rozwijane – głównie metodą destylacji. W latach 50. i 60. eksploatacja

Ataki na strefę przemysłową w Fudżajrze zagrażają jednej z największych odsalarni wody w ZEA. 3 marca 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 41272a67e2

ropy na Bliskim Wschodzie wywołała lokalny bum, w ramach którego powstały nowe odsalarnie wody morskiej. Po roku 1958 odsalaniem wody morskiej zajęły się Chiny – kraj, którego coraz większe obszary mierzyły się z deficytem wody. Od tej pory powstaje tam coraz więcej nowoczesnych odsalarni, o coraz większej wydajności, ale chiński rynek odsalania wody jest nadal w fazie rozwoju.

Odsalarnie wymagają stałej obecności wyspecjalizowanych fachowców, którzy zajmują się zarówno obsługą, jak i bieżącymi naprawami instalacji. O tym, jak są ważni, pod koniec lat 80. ubiegłego wieku, jeszcze zanim powstała Wielka Sztuczna Rzeka dostarczająca wodę pitną z podziemnych warstw wodonośnych na Saharze, przekonali się Libijczycy. Kiedy japońscy specjaliści zrezygnowali z pracy w libijskiej odsalarni, wielu Libijczyków musiało sobie przypomnieć, gdzie są i czy w ogóle jeszcze działają zapomniane od lat studnie głębinowe. Bo mycie zębów słoną wodą do przyjemności nie należy. No i jak zaparzyć herbatę?

Bezcenne technologie

Odsalanie wody morskiej to proces wymagający dużych nakładów energii, generujący w dodatku szkodliwą dla ekosystemów solankę (stężony roztwór soli z domieszką chemikaliów czyszczących instalację). Woda pozyskana z odsalania jest często dwukrotnie droższa niż pochodząca z innych źródeł. Sam proces w dużym uproszczeniu polega na usuwaniu soli i minerałów w celu uzyskania wody pitnej lub użytkowej metodami membranowymi lub termicznymi. Najpopularniejsza i stosunkowo energooszczędna metoda odsalania to odwrócona osmoza (RO). Wykorzystuje ciśnienie do przepychania wody przez półprzepuszczalne membrany, które zatrzymują sole oraz inne zanieczyszczenia, takie jak bakterie, wirusy, metale ciężkie czy mikroplastik.

Odsalanie poprzez destylację termiczną jest bardziej energochłonne, korzystają więc z niego bogate kraje posiadające duże zasoby ropy i gazu. W procesie odsalania wody stosuje się też elektrodializę (wykorzystuje się w niej różnicę potencjałów elektrycznych do usuwania jonów soli z wody) oraz zamrażanie (słona woda jest chłodzona aż do momentu krystalizacji, w wyniku której powstają granulki czystego lodu, oddzielane od stężonej solanki).

Państwem w największym stopniu uzależnionym od pozyskiwania wody słodkiej ze słonej jest Katar. Aż 99% jego zasobów wodnych pochodzi z odsalarni morskich. Wysoko na tej liście jest Izrael – poprzez odsalanie pozyskuje 90% wody pitnej. Izraelczycy odsalają wodę z Morza Śródziemnego. Potrzeby wodne kraju zaspokaja pięć wyspecjalizowanych zakładów: Sorek I, odsalarnia w Haderze, w Aszkelonie, w kibucu Palmachim i w Aszdodzie.

Zakład Sorek, jeden z największych na świecie, produkuje ponad 600 tys. m sześc. wody pitnej dziennie. Cena odsolenia 1 m sześc. wody w izraelskich odsalarniach wynosi ok. 70 centów, ale odbiorca płaci trzy razy więcej – 2,22 dol. (dane z 2023 r.). I jest to jedna z najniższych na świecie stawek za wodę słodką pozyskiwaną z morza.

Największe moce odsalania ma Arabia Saudyjska. To nie przypadek – jedną trzecią obszaru królestwa zajmuje piaszczysta pustynia Ar-Rab al-Chali (dosł. pusty kwartał). Pod nią zaś znajdują się największe na świecie konwencjonalne złoża ropy naftowej – Al-Ghawar. Arabia Saudyjska pozbawiona wody z odsalarni przestałaby praktycznie istnieć! Dlatego aż tyle instalacji do odsalania wody powstało właśnie w tym kraju. Są to m.in. jedna z największych na świecie odsalarni Ras al-Chair oraz obiekty w Al-Dżubajl.

Odsalarnie jak fortece

CIA uważa wodę pitną za „towar strategiczny" zarówno na Bliskim Wschodzie, jak i na pustynnych i półpustynnych obszarach w wielu innych krajach świata. Po 28 lutego br., po wybuchu wojny, ryzyko, że wiele z tych obszarów zostanie pozbawionych wody, drastycznie wzrosło.

Dzisiaj w Arabii Saudyjskiej, ZEA i Omanie działa ok. 450 nowoczesnych odsalarni wody morskiej. Odpowiadają one za 40% globalnej produkcji odsolonej wody. W regionie mieszka ok. 100 mln osób całkowicie uzależnionych od ich funkcjonowania.

W przypadku mieszkańca ZEA dostępność naturalnych, odnawialnych zasobów słodkiej wody spada poniżej 100 m sześc., a niektóre źródła wskazują nawet wartości rzędu 15-16 m sześc. na mieszkańca rocznie. To mocno poniżej progu określanego jako absolutny niedobór (500 m sześc.). Aby sprostać ogromnemu zapotrzebowaniu na słodką wodę, dwa emiraty – Abu Zabi i Dubaj – inwestują dziesiątki miliardów dolarów w projekty związane z odsalaniem.

Iran wie, że ataki na odsalarnie mogą się opłacać. Nie ukrywa, że zależy mu na zniszczeniu zakładu w Al-Dżubajl w Arabii Saudyjskiej. Gdyby się udało, władze królestwa zmuszone byłyby do ewakuacji mieszkańców Rijadu w ciągu maksymalnie… siedmiu dni! Pytanie jednak brzmi: dokąd? Rijad i Al-Dżubajl łączą gigantyczne rury o długości ponad 500 km, którymi dostarczanych jest 90% słodkiej wody. Zniszczenie tylko części tej życiodajnej arterii może mieć trudne do wyobrażenia skutki. Saudyjczycy wiążą z Al-Dżubajl ogromne nadzieje na przyszłość – w 2040 r. możliwości tej odsalarni mają sięgnąć 4,5 mld m sześc. rocznie.

Przykłady mniej lub bardziej skutecznych ataków na odsalarnie można mnożyć. Iran świadomie atakuje zarówno zakłady, jak i zasilające je

Obecnie odsalanie wody morskiej stanowi najważniejsze źródło wody pitnej dla ponad 300 mln ludzi na świecie.

eprasa.pl 41272a67e2

elektrownie. Kilka tygodni temu Teheran zaatakował elektrownię w Fudżajrze w ZEA, która obsługuje jedną z największych na świecie odsalarni. W Kuwejcie odłamki drona spowodowały pożar w jednej z instalacji odsalających. Atak był zemstą za wcześniejsze uderzenie Izraela na irańską infrastrukturę wodną i elektrownie atomowe w pobliżu miasta Buszehr nad Zatoką Perską.

Pojawiły się też doniesienia o ataku USA na ważną odsalarnię na wyspie Keszm, co miało uniemożliwić dostawy wody pitnej do ok. 30 irańskich wiosek.

Zakłady odsalające są i będą w tej wojnie atakowane, nie ma co do tego wątpliwości. Instalacje te są również wyjątkowo podatne na wszelkiego rodzaju akcje sabotażowo-dywersyjne. A ponieważ należą do najważniejszej części infrastruktury krytycznej, prawdopodobnie już wkrótce zamienią się w prawdziwe fortece.

Europa też odsala

Globalne ocieplenie powoduje, że i kraje Starego Kontynentu odczuwają coraz większe braki słodkiej wody. Jak informuje portal Wodne Sprawy, kraje europejskie korzystają z technologii odsalania podobnych do tych stosowanych na Bliskim Wschodzie. Instalacje takie powstały już w Wielkiej Brytanii i we Francji, głównie na wyspach i w regionach przybrzeżnych, gdzie zasoby słodkiej wody są ograniczone i nie zaspokajają w pełni zapotrzebowania. Kilka odsalarni działa na francuskiej Korsyce. Najwięcej znajduje się w Hiszpanii, gdzie czasami przez kilka miesięcy nie spada nawet kropla deszczu. Pierwsze instalacje odsalające powstały tam już pół wieku temu. Zakłady na Półwyspie Iberyjskim nie są tak duże jak na Bliskim Wschodzie, ale jest ich już niemal 800. W ciągu jednego dnia produkują ok. 5 mln m sześc. wody pitnej.

Przykładem zmian w sposobie zaopatrywania mieszkańców w słodką wodę jest Barcelona. Do 2021 r. odsalarnie wody w stolicy Katalonii zaspokajały jedynie 3% zapotrzebowania mieszkańców. Dziś odsetek ten wzrósł do 33%.

Także w Polsce zasoby wody słodkiej z roku na rok drastycznie się zmniejszają. Jednak do tej pory nie powstała jeszcze wielkoskalowa odsalarnia produkująca wodę pitną. Od 2019 r. działa natomiast stacja Grupy Azoty Police, która zajmuje się odsalaniem wody z Bałtyku.

Chrystian Ślusarczyk

W Arabii Saudyjskiej, ZEA i Omanie działa ok. 450 nowoczesnych odsalarni wody morskiej. Odpowiadają za 40% globalnej produkcji odsolonej wody.

eprasa.pl 41272a67e2

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Pikująca Szozda

Przez Wiedeń nie godzi się przejeżdżać, w Wiedniu należy się zatrzymać. Antek początkowo marudzi, każe przysiąc, że „nie będzie żadnego zwiedzania", tylko od razu na sznycel, ale drogę do sznycla wyznaczamy tak zmyślnie, żeby wiodła obok Muzeum Leopoldów, gdzie wielkie banery zachęcają do odwiedzenia wystawy Gustave'a Courbeta.

Antek staje jak wryty przed wielkoformatowym „Pochodzeniem świata", patrzy z niedowierzaniem to na mnie, to na obraz i choć nie jest wychowywany w pruderii, a rodziców paradujących po domu na golasa widywał nierzadko, zdaje się skonsternowany, ale i zaintrygowany bujnie owłosioną waginą. Próbuje dać odpowiednie rzeczy słowo w obecności wujostwa, zachęcam go, żeby się nie bał, odzywa się więc: „Czy to jest ce-i-pe-a?". Odpowiadam, że w rzeczy samej, jeśli chce, może zobaczyć oryginał, jeśli zgodzi się na niedługie zwiedzanko.

„To jeden z najsłynniejszych obrazów w dziejach", dopowiadam, potem tłumaczę pokrótce, jak zmienił się świat, od kiedy kolejni czcigodni właściciele tego płótna, najpierw Goncourt, potem Lacan, nawet w prywatnych kolekcjach zamawiali u artystów specjalne kamuflaże (Lacanowi André Masson wypichcił surrealną, nowoczesną karykaturę aktu, ale Goncourt trzymał wizerunek owłosionej waginy pod przykrywką przedstawiającą kościółek w zimowej szacie – to dopiero psychoanalityczny szpryngiel).

„Realista i buntownik" – takim tytułem kuratorzy opatrzyli wielką, monograficzną ekspozycję francuskiego malarza, przy czym wabią skandalem, rzeczonym buntem, ale w muzeum widzimy nade wszystko realistyczne obrazy syna swojej epoki: landszafty, sceny z polowań, mariny (te najlepsze, dużo w nich turnerowskiego nieba). Rzeczony bunt to dwa obrazy zawieszone vis-à-vis w jednej sali – legendarne XIX-wieczne „pornosy": „Pochodzenie świata" i „Śpiące". Antek nieco ziewa, trochę chłonie bezwiednie, na wyprawę do galerii sztuki z dziesięciolatkiem trzeba mieć jakiś podstępny pomysł, mój się skończył wraz z anatomicznym realizmem Courbeta. Przez kolejne sale niestety już przechodzę truchtem, ciągnięty za rękę. Będę tu musiał wrócić, wystawa do lata, Wiedeń mam blisko, bliżej niż Warszawę.

W windzie wciskam celowo guzik, dzięki któremu jedziemy na piętro z wystawą stałą, tłumaczę Antkowi, że tu jest jak w Ikei, żeby dotrzeć do wyjścia, trzeba przejść wszystkie odnogi. Wystawa poświęcona secesji zaczyna się zresztą od mebli, co uwiarygodnia moje kłamstwo. Antek zwraca jeszcze uwagę na jeden z aktów Schielego, na którym modelka jest w bliźniaczo podobnej pozie co madame Quéniaux u Courbeta, tyle że ekspresjonistyczny styl Schielego nagość bierze w cudzysłów, forma jest przyodziewkiem, podczas gdy fotograficzny realizm aktu Courbeta działa bez znieczulenia.

Myślę sobie o tym, co jest dzisiaj naprawdę obsceniczne – bujna koafiura łonowa czy np. scena wspólnej modlitwy Trumpa i jego fanatycznej gromadki w Gabinecie Owalnym. Czyż nie są pornografią pogróżki tej pomarańczowej małpy z atomową brzytwą, w których grozi ostatecznym zniszczeniem całej cywilizacji perskiej, znacznie starszej od Ameryki? Prawdziwe zgorszenie niosą na co dzień wszyscy współcześni barbarzyńcy, którzy z Bogiem na ustach deklarują lub wprost stosują ludobójcze praktyki, a granice przyzwoitości są przekraczane przez ich popleczników i obrońców.

Prawdziwe zgorszenie niosą na co dzień wszyscy współcześni barbarzyńcy.

Kiedy słyszę oskarżenia o antysemityzm adresowane do krytyków agresywnego imperializmu Izraela pod rządami zbrodniarza wojennego Netanjahu, robi mi się nieswojo, a nawet niedobrze. Wobec takiej wulgarności porządku rzeczy courbetowska pizda niesie ukojenie nieomal jak sielankowy pejzaż. Pizda, bo przecież nie łono, wszak już John Updike zaczynał swój poemat „Cunts" od uwagi, że Wenus z Milo nie miała pizdy, skoro nie rósł na niej nawet włosek. Aby oddać rebeliancki koncept „Pochodzenia świata", musimy rozróżnić bezwłosą nagość antycznych modeli i włochatą waginę, także w języku. Skądinąd bodaj Stanisław Barańczak ułożył w czasach triumfów naszych kolarzy szosowych wspaniałą grę półsłówek, doskonale opisującą obraz Courbeta: „pikująca Szozda".

Puryści językowi, wyczuleni na wulgaryzmy, muszą się mieć na baczności, bo oto pornografia wmaszerowała dziarsko do języka polityki – och, jakże obscenicznie wiją się polscy wyznawcy MAGA, gdy oświadczają, że język Trumpa jest co prawda nieakceptowalny, ale jego działania dobre dla Ojczyzny naszej, amen.

■

eprasa.pl 41272a67e2

Rowan Jacobsen

Przysmak z lasu deszczowego

W poszukiwaniu dzikiego kakao

Beni i La Paz, Boliwia, 1997-2000

Ogólnie rzecz biorąc, Amazonia nie grzeszy subtelnością. Zieleń jest zbyt zielona. Robaki są zbyt robaczywe. Rzeki zbyt gęste. Przesycone wilgocią powietrze wciąga człowieka jak dysząca bestia. Jakby tego było mało, z morza skrajności wynurza się płaskowyż Huanchaca i sięga wyżyn królestwa fantazji. (…) Pierwszym Europejczykiem świadomym ogromu i wyjątkowego znaczenia tego płaskowyżu był Percy Fawcett, który spędził wiele lat w Amazonii, poszukując zaginionego miasta Z, zanim w 1925 r. przepadł bez śladu w tropikalnym lesie. (…) Niezwykła bioróżnorodność – nie wspominając o widowiskowych wodospadach spływających ze zboczy – w latach 70. ubiegłego wieku skłoniła rząd Boliwii do tego, by przekształcić płaskowyż w park narodowy. Orędował za tym przede wszystkim Noel Kempff Mercado, najsłynniejszy boliwijski biolog, który przez całe lata dokumentował florę i faunę Huanchaki.

Ta płaska jak stół i wyniesiona nad dżunglę formacja geologiczna, ciągnąca się wzdłuż granicy brazylijsko-boliwijskiej, to także wymarzone miejsce dla przemytników. W 1986 r. Kempff Mercado i jego ekipa ponieśli tam śmierć z ich rąk, gdy po wylądowaniu na prowizorycznym lotnisku natknęli się na masową operację rafinacji kokainy. Dwa lata później park przemianowano na Park Narodowy Noel Kempff Mercado.

W latach 90. park stał się głównym elementem największego programu kredytów węglowych. Program był pomysłem organizacji Nature Conservancy, która przekonała boliwijski rząd do tego, by zaprzestać wyrębu lasu na terenie parku i zrekompensować sobie utracone dochody sprzedażą za miliony dolarów offsetów węglowych firmom generującym ślad węglowy w innych częściach świata. Zakończenie wyrębu w parku oznaczałoby jednak utratę wielu miejsc pracy i dlatego program przewidywał stworzenie nowych form zatrudnienia dla zamieszkujących go ludzi, które uwzględniałyby zasady zrównoważonego rozwoju. Volker Lehmann (niemiecki ekspert w dziedzinie agroleśnictwa, przez 20 lat pracował w Amazonii) dołączył do firmy Canopy Botanicals, która miała o to zadbać. (…)

•

Gdy będziesz spacerować po lesie deszczowym w pobliżu granicy Boliwii z Brazylią, spójrz w górę, a zobaczysz wyrastające ponad zielony baldachim giganty. Osiągają wysokość 30 m, mogą liczyć nawet ponad 500 lat i rodzą owoce wielkości kul do bocce, których waga dochodzi do 2 kg. Uważaj, żeby żaden z nich nie spadł ci na głowę. Lepiej poszukaj takiego, który leży już na ziemi, i rozłup go. Wewnątrz znajdziesz kilkanaście orzechów o charakterystycznym klinowatym kształcie, przypominających plasterki pomarańczy i podobnie jak one ułożonych.

To orzechy brazylijskie. Większość z nas kojarzy je z mieszankami orzechów kupowanych w puszkach. Tyle że takie zapuszkowane orzechy w żaden sposób nie oddają wspaniałych właściwości owoców *Bertholletia excelsa*, czyli orzesznicy wyniosłej. Świeżo zebrane są jednym z największych przysmaków lasów deszczowych. Drzewa orzesznicy wyniosłej można znaleźć jedynie na obszarze przygranicznym między Boliwią, Brazylią i Peru. Nie nadają się do uprawy, ponieważ zapylają je pszczoły storczykowe, które w swoim rytuale godowym zdane są na storczyki. Samce pobierają zapachowe substancje lotne z kwiatów storczyków, a te pozwalają im wabić pszczele damy. Samiec pszczoły bez Eau d'Orchidée niczego nie zwojuje. Pszczoły potrzebują storczyków rosnących jedynie w dziewiczych lasach deszczowych, a orzesznica wyniosła, aby owocować, prócz niezwykle wilgotnego klimatu tropikalnego potrzebuje pszczół. To wszystko oznacza, że habitat takich drzew ogranicza się do ostatnich zdrowych drzewostanów Amazonii.

Orzechy brazylijskie, jako wzorcowy przykład zrównoważonego agroleśnictwa, powinny zatem odpowiednio dużo kosztować. Jednak tak nie jest. Niewielu konsumentów wie dokładnie, skąd się biorą, i rzadko docierają one na międzynarodowe rynki w dobrym stanie, nic więc dziwnego, że dla większości ludzi to tylko gigantyczne orzeszki ziemne. Są zbierane przez mieszkańców

eprasa.pl 41272a67e2

Większość kakao na świecie pochodzi od biednych rolników, którzy nie mają czasu, doświadczenia ani infrastruktury do należytej fermentacji.

lasów tropikalnych i sprzedawane pośrednikom za żałośnie niską cenę. Co gorsza, drzewa orzesznicy są bardziej wartościowe ze względu na doskonałe drewno. W Brazylii większość z nich została już dawno wycięta i jak na ironię przyszłość orzechów brazylijskich pozostaje dzisiaj w rękach Boliwii. Jednym z miejsc, w których można je znaleźć, jest właśnie Park Narodowy Noel Kempff Mercado.

Ludzie z Canopy Botanicals uznali, że orzechy brazylijskie mogą pomóc w jeszcze lepszej ochronie parku. Racja, same orzechy to dość zwyczajny produkt, ale gdyby zamienić je w ekstra smakołyk i postawić przed nos amerykańskiemu konsumentowi w opakowaniu podkreślającym, że są elementem ochrony przyrody? To mógłby być strzał w dziesiątkę. Jak to zrobić? Oczywiście przy pomocy czekolady. Trudno o lepsze połączenie. Dzikie orzechy brazylijskie oblane boliwijską czekoladą z dzikiego kakao, jedno i drugie to płody Amazonii zebrane zgodnie z zasadami zrównoważonego rozwoju. (…) W Canopy Botanicals wymyślono już nawet nazwę: Rainforest Delight (Przysmak z Lasu Deszczowego).

Volker był sceptyczny. Próbował wcześniej boliwijskiej czekolady z dzikiego kakao. Nie widział żadnej możliwości, by wykorzystywać ją jako polewę dla cennych orzechów brazylijskich i oferować taki produkt jako rarytas dla smakoszy. Niemniej spróbował jednego orzecha z partii testowej. Potem kolejnego, aby mieć pewność, że pierwsze wrażenie smakowe nie było wynikiem przypadku. Volker Lehmann ma doskonałe podniebienie, wyostrzone na najlepszych europejskich winach, serach i czekoladach. I dlatego stwierdził, że ma w ustach coś wyjątkowego. Czekolada o bogatym i kremowym smaku, bez jakichkolwiek nieprzyjemnych nut. Z całą pewnością nie uzyskano jej z kakao rosnącego dziko w dżungli!

Był w błędzie. Czekoladę z takiego właśnie kakao zrobił dla Canopy Botanicals lokalny producent w La Paz. Volker nie mógł w to uwierzyć. Jakim cudem była o niebo lepsza od tej, którą jadł wcześniej? Bo rzeczywiście była lepsza. Racja, większość partii czekolady wytwarzanych przez tamtego producenta nie była aż tak dobra i daleko jej było do tego poziomu. Jednak od czasu do czasu przychodziła dostawa kakao, która zmieniała wszystko. Ludzie w Canopy Botanicals nie mieli pojęcia, dlaczego niektóre partie czekolady były lepsze od innych, ale wiedzieli, że potrzebują takich jak najwięcej. Mieli nadzieję, że Volker rozwiąże tę zagadkę. Na początek musiał dowiedzieć się czegoś więcej o samym producencie.

•

Centrum La Paz to brukowany kalejdoskop stromych uliczek i ozdobionych kolorowymi towarami sklepików, sprawiający wrażenie jednego niekończącego się targu. Kobiety z ludu Ajmara w melonikach na głowach hałaśliwie wpychają przechodniom swetry z alpaki, magiczne amulety i plastikowe worki pełne liści koki. Volker Lehmann przedarł się przez ten rozgardiasz i wszedł do sklepiku ze słodyczami Bombonería Clavel.

Do uzyskania doskonałej czekolady potrzebne są ziarna poddane po zbiorach starannej fermentacji.

W środku było tak, jakby czas zatrzymał się w latach 40. ubiegłego wieku – ściany wyłożono boazerią oraz lustrami i wszystko sprzedawano na wagę. Właścicielem sklepiku był 67-letni Żyd Irachmil Nudelman, człowiek konkretny i bezpośredni, który wytwarzał własną czekoladę w swojej fabryczce Gallo Mundial. To on był producentem przysmaku Rainforest Delight.

Nudelman urodził się w Polsce. Uciekając w 1939 r. przed nazistami, przewędrował Syberię i Uzbekistan, dotarł do Izraela i ostatecznie

eprasa.pl 41272a67e2

w 1955 r. osiadł w La Paz, gdzie nauczył się sztuki wyrobu czekolady, otworzył własną firmę i założył rodzinę. Był jedynym producentem czekolady w Boliwii wytwarzającym ją na sposób europejski, co oznaczało również technologię usuwania z kakao niepożądanych smaków, dlatego że większość surowca dostępnego na rynku była niesmaczna. Wynikało to częściowo z kiepskiego naturalnego smaku sprzedawanych masowo ziaren, a także z tego, w jaki sposób obchodzono się z nimi po zbiorach.

Powiedzmy tyle, że europejscy producenci czekolady już dawno temu odkryli, że aby poprawić smak kakao, należy je poddać konszowaniu, czyli intensywnie ubijać w specjalnym pojemniku wyposażonym w walce i mieszadła, zwanym konszą (od hiszpańskiego *concha*, czyli muszla, ponieważ pierwotnie miał kształt muszli). Podczas konszowania ugniata się razem przez wiele godzin – a w przypadku wysokiej jakości czekolady nawet przez wiele dni – masło kakaowe i cukier, dzięki czemu można pozbyć się nieprzyjemnych lotnych związków i uzyskać cząsteczki o lepszym smaku. (…)

Irachmil Nudelman był jedynym producentem czekolady w Boliwii, który konszował ziarna kakaowca, i jego czekolada była tego dowodem. Wciąż jednak borykał się z problemami. Kupował ziarna od hurtownika w La Paz i nigdy nie miał pewności, co dostanie. (…) Wszyscy zgodzili się, że brak odpowiedniego surowca pogrzebie Rainforest Delight. Ludzie z Canopy Botanicals musieli zapewnić sobie stałe dostawy ziaren dobrej jakości, ale nie mieli pojęcia, skąd je zdobyć. Potrzebny był im detektyw od kakao. Ktoś, kto potrafiłby prześledzić drogę od ziarna do źródła jego pochodzenia, ustalić, dlaczego niektóre dostawy były dobre, a inne kiepskie, i znaleźć znacznie więcej znakomitego surowca. To było zadanie w sam raz dla Volkera. Był specjalistą od agroleśnictwa. Znał sieci dostaw. Kakao interesowało go od lat. A co najważniejsze, wiedział, jak poruszać się po departamencie Beni, żeby nie dać się zabić.

Szlak prowadził do Santa Cruz, a następnie do Trinidadu, miasta będącego stolicą Beni. (…) Jeśli Beni było Dzikim Zachodem, Trinidad, ulokowany w dolnym biegu Mamoré, był miasteczkiem na prerii, w którym wszyscy spotykają się na handel. Kupcy wypływali stąd w górę rzeki, wijącej się 150 km przez dżunglę, w łodziach załadowanych ryżem, maczetami oraz benzyną i wracali kilka tygodni później z kakao, skórami, piórami ptaków, ziołami i drewnem.

Orzechy brazylijskie, jako wzorcowy przykład zrównoważonego agroleśnictwa, powinny odpowiednio dużo kosztować, ale tak nie jest.

Volker próbował każdego kakao, na jakie trafił. Wszystkie ziarna były niesmaczne. Niektóre gorzkie i kwaśne. Inne przypominały w smaku wędzoną szynkę, jeszcze inne cuchnęły serem pleśniowym i śmierdzącymi stopami. Najgorsze miały smak obornika.

Rozczarowujące? W żadnym razie! Dla Volkera był to posmak obiecujących możliwości. Już wcześniej przeczytał wszystkie fachowe książki na temat produkcji czekolady, które wpadły mu w ręce, i w każdej powtarzało się to samo słowo: „fermentacja". Do uzyskania doskonałej czekolady potrzebne są ziarna poddane po zbiorach starannej fermentacji. Podobnie jak w przypadku wina, właśnie wówczas powstają wszystkie olśniewające kompozycje smakowe. Jeśli pominie się ten krok, otrzymamy czekoladę o aromacie spalonego tostu.

Najważniejszą rolę odgrywały w tym procesie alkohol i ocet. W przesyconych nimi ziarnach dochodziło do rozkładu komórek i znajdujących się w nich gorzkich związków oraz do reakcji łańcuchowych powodujących powstanie zupełnie nowych aromatycznych cząsteczek, które po uprażeniu tworzyły pełne spektrum smaku czekolady: równocześnie orzechowego, maślanego, winnego, ziemistego, korzennego, owocowego, gorzkiego i kwiatowego. (…)

Fermentacja to równocześnie nauka i sztuka, a jej prawdziwych mistrzów jest niewielu. Najlepiej prowadzić ją w odpowiednim pomieszczeniu, w którym można precyzyjnie kontrolować wszystkie warunki fizyczne, ale to rzadkość. Rzeczywistość jest taka, że większość kakao na świecie pochodzi od biednych rolników, którzy nie mają czasu, doświadczenia ani infrastruktury, aby przeprowadzić jego należytą fermentację, a nawet jeśli by to robili, i tak nie dostaliby za nie lepszej ceny. Interesuje ich tylko to, by je wysuszyć i sprzedać. Nieważne, jak smakuje, zawsze znajdzie się kupiec. Jak mówi się w branży, ziarno kakao nigdy się nie zmarnuje.

Wszystkie obrzydliwe smaki boliwijskich ziaren wydawały się rezultatem niewłaściwie prowadzonej fermentacji i to właśnie ekscytowało Volkera (…). Dowiedział się, że dużym dostawcą kakao jest miasteczko Baures, leżące 150 km na północny wschód od Trinidadu. Ściśle mówiąc, 150 km w linii prostej. Ponieważ jednak nie prowadziły tam żadne drogi, kakao transportowano rzeką, co wymagało pokonania trzykrotnie dłuższego dystansu. Czasami docierało do Trinidadu na końskim grzbiecie.

Historie, które słyszał od ludzi, nie miały dla niego sensu. Twierdzili, że w Baures były całe lasy kakaowca, tysiące hektarów. Uznał to za przesadę – drzewo, które pokazała mu stara kobieta z plemienia Chimané, rosło samotnie w lesie i Volkerowi wydawało się to całkiem naturalne.

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 41272a67e2

Niemniej chciał przekonać się na własne oczy. Że nie ma dróg? Żaden problem! Jak każda większa miejscowość w departamencie Beni, w którym rządziła koka, Baures miało lądowisko, dlatego Volker wyczarterował awionetkę.

W czasie lotu ujrzał pod sobą zaskakujący krajobraz. Ciemne plamy dżungli otaczało szmaragdowe morze bagien i łąk, poprzecinane dziwnie prostokątnymi jeziorami, atakowanymi z powietrza przez stada białych czapli. Całość była wyżłobiona liniami, których nie pojmował: wąskie grzbiety biegnące prosto jak strzała między wyspami lasu. W innych miejscach udało mu się dostrzec jakieś geometryczne wzory schowane pod powierzchnią. (…)

•

Beni, Boliwia, 2001-2003

Baures było tradycyjnym amazońskim miasteczkiem z trawiastym placem otoczonym otynkowanymi budynkami. Zamieszkiwali je członkowie grupy etnicznej Baure, którzy do przybycia w XVIII w. misjonarzy jezuickich żyli w rozproszeniu w okolicznych osadach. Volker spotkał się z burmistrzem, który nie krył zadowolenia, ale i zaskoczenia, że ktoś z zewnątrz interesował się kakao. Burmistrz potwierdził, że na mokradłach wokół Baures znajdują się leśne wyspy kakaowca. Jest ich w sumie 36 i obejmują setki tysięcy drzew. Miejscowa ludność nazywa je *chocolatales* i istnieją od niepamiętnych czasów.

W porze deszczowej ludzie całymi rodzinami docierali do nich czółnami (co zabierało kilka dobrych dni), a potem przez parę tygodni obozowali w dżungli, zbierając dojrzałe strąki kakaowca, otwierając je i susząc ziarna na matach. Część zachowywali dla siebie, ale większość przeznaczona była na sprzedaż. Wcześniej pożyczano pieniądze od handlarzy kakao, aby zaopatrzyć się w prowiant na drogę, a później spłacano dług ziarnami i sprzedawano ich nadwyżkę. Był to jeden z niewielu sposobów, by w tak odciętym od świata miejscu jak Baures zarobić trochę gotówki.

Początki wyprawy po ziarna także sięgały czasów jezuitów, którzy przybyli w te okolice pod koniec XVII w. i wykorzystali rosnące w okolicy dzikie kakaowce do sfinansowania swoich misji. W następnym stuleciu produkcja kakao stała się jedną z podstawowych form działalności ekonomicznej w ich redukcjach, aczkolwiek miejscowa ludność nie miała w tej kwestii zbyt wiele do powiedzenia. Ludzie wykonywali swoją pracę, a jezuici wysyłali kakao do Hiszpanii, gdzie stało się sławne. Smakosze w Madrycie uważali kakao Beniano, odznaczające się intensywnym zapachem i śladową goryczą, za najlepsze na świecie, lepsze niż Criollo z Meksyku.

Pod koniec XVIII w. europejscy monarchowie wymusili na papieżu kasatę jezuitów, bo ci drudzy stali się zbyt potężni i zaczęli zagrażać ich rządom, w rezultacie czego świat zapomniał o kakao Beniano. Lud Baure nie przestał jednak zbierać ziaren i teraz sprzedawał je miejscowym kupcom z przeznaczeniem na rynek krajowy. Obecnie ta praktyka zamierała. Ponieważ w boliwijskich miastach zaczęto preferować sproszkowaną mieszankę kakaową, popyt na tradycyjne kakao pitne spadał. Ceny oferowane za ziarna dzikiego kakaowca były również zbyt niskie i ich zbiór przestał być opłacalny. Ludzie rezygnowali powoli z corocznych wypraw na wyspy i kilka *chocolatales* zostało nawet wykarczowanych pod wypas bydła.

Volker nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Odnalazł przypadkiem Shangri-Lę kakao. Ludzie z organizacji pozarządowych wydawali miliony dolarów, aby wymyślić jakąś formę zrównoważonej gospodarki leśnej, a tymczasem mieli taką pod nosem, i to istniejącą od wieków. Jednak jej los był niepewny.

Wiedział, co trzeba zrobić. Musiał zobaczyć *chocolatales* na własne oczy. Znajdowały się jednak daleko i na dodatek był środek pory suchej. Dotarcie do nich czółnem nie wchodziło w grę. Wynajął konia wraz z przewodnikiem i ruszył w dżunglę. (…) Sześć godzin w siodle w lejącym się z nieba skwarze. Najpierw nie czuł nóg, potem nie czuł już nic. (…) Wreszcie jeden z ciemnych kształtów widocznych w oddali przestał migotać. Gdy się do niego przybliżyli, zestalił się w coś przypominającego wyspę na mokradłach. Był to chocolatal wyniesiony niewiele więcej niż metr ponad otaczające go tereny, jednak na tyle wysoko, że pozostawał suchy przez trzy miesiące corocznej powodzi.

Przywiązali konie, wyjęli maczety i weszli do lasu, podążając ścieżkami wydeptanymi przez całe pokolenia ludzkich stóp. Wysoko nad głowami mieli korony puchowców i palm, ale w podszycie dominowały niewysokie wielopienne drzewa o szerokich woskowych liściach. Wszystko to były kakaowce, tysiące kakaowców połączonych ścieżkami.

Drzewa orzesznicy wyniosłej można znaleźć jedynie na obszarze przygranicznym między Boliwią, Brazylią i Peru.

Przewodnik pokazał Volkerowi, jak odbywa się zbiór, a ten gotów był tańczyć z radości. Jak podejrzewał, w tak prymitywnych warunkach niemożliwe było odpowiednie poprowadzenie fermentacji i suszenie. Ludzie po prostu otwierali strąki i wysypywali ich zawartość na ziemię lub na jakieś płachty, jeśli je mieli. Nie istniała kontrola jakości i nie sposób było uniknąć gnicia ziaren. Mnóstwo rzeczy wymagało korekty.

Volker wrócił z Baures i przekazał partnerom entuzjastyczny raport. Tak, już wie, skąd się brał problem z jakością. Tak, wygląda na to, że wszystko da się naprawić. Włączajcie maszyny. A potem banda terrorystów uderzyła dwoma Boeingami 767 w wieżowce World Trade Center i wszystko się posypało.

Fragmenty książki Rowana Jacobsena *Dzikie kakao. Wyprawa do źródeł czekolady*, tłum. Aleksander Gomola, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2026

eprasa.pl 41272a67e2

JOLKA

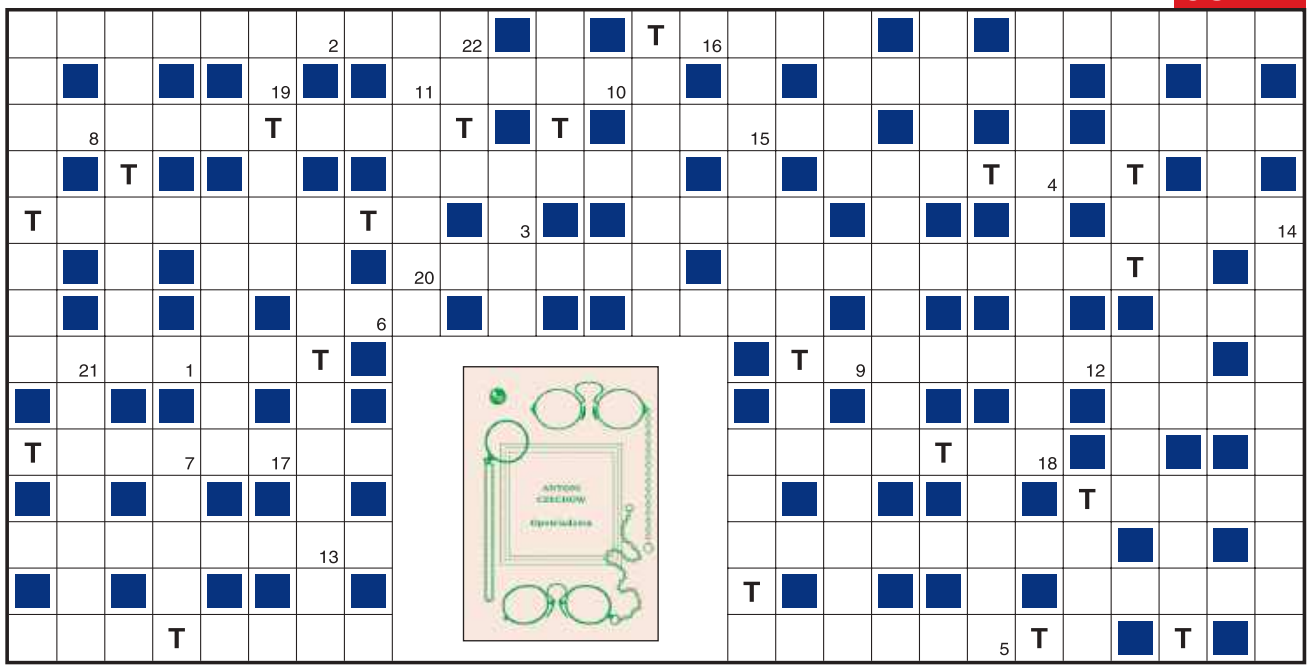

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- autor złotych myśli
- dokumenty prawne
- napad szału, ślepa agresja
- najdłuższy łańcuch górski na Ziemi
- Kręglicka lub Zając
- libański alkohol o anyżowym smaku
- przedsiębiorca eksploatujący statki
- zbiornik wypełniony paliwem
- kociogłowa egipska bogini
- i pierwiastek, i wiertło
- Bacharach, Lancaster lub Reynolds
- metropolia nad jeziorem Michigan
- np. artystyczne przeżycia, wrażenia
- radykalizm, stosowanie skrajnych metod
- frontowa to fasada
- sterolotka w samolocie
- podrzuciła jabłko niezgody
- jego i Lancelota poróżniła zdrada Ginewry
- uczy języka Goethego
- kraj zaatakowany przez Izrael i USA
- linia łącząca punkty o jednakowej temperaturze
- kukułczego każdy chce się pozbyć
- włoski żandarm
- gnom pilnujący podziemnych skarbów
- zjazd przedstawicieli nauki, polityki
- biletów lub skarbowa
- ni pies, ni wydra, coś na… świdra
- slangowe określenie mieszkania
- brat Super Maria
- Filip, „Gucci” lub „Kurczak” z filmu Domalewskiego
- część warszawskiej Woli lub dzielnica Częstochowy
- surowiec na kefir
- słodki sok kwiatów
- utwór dla dziewięciu muzyków
- szpilka pod piętą
- karczma, zajazd (z francuskiego)
- kozacki to sicz
- włosowa to sierść
- hałas, zamieszanie
- imię żony Gorbaczowa
- pamięć złotej ponoć jest krótka
- stroni od towarzystwa
- boczny napastnik lub pomocnik na boisku
- jej stolicą Mogadiszu
- stop na bramę w Watykanie
- spadkobierczyni lub następczyni
- długi skok
- trzymany przyjacielski układ
- Asuańska na Nilu
- ciernista śliwa
- śniadaniowa – program przedpołudniowy
- zaokienny lub pod pachę
- patrzeć w kogoś jak w nią – z uwielbieniem
- dużo klamotów spakowanych w płachtę
- potrzos i potrzeszcz w tej samej rodzinie
- zapleciony lub robiony na drutach
- otwór zbiornika na paliwo
- imię pisarki Rudzkiej

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1269”. Do rozlosowania „Opowiadania” Antoniego Czechowa ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 19 kwietnia 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1266” z nr. 13: *Zło nie zna miłości.*
Nagrody otrzymują: Zenon Lewiński z Dęblina, Aleksandra Romańczuk ze Stalowej Woli, Piotr Tymofiejski z Ryna.

eprasa.pl 41272a67e2

Trochę dyplomacji, dużo polityki

MSZ jest ministerstwem nietypowym, a to dlatego, że w swoje działanie ma wpisaną zmianę. To oczywiste, życie dyplomaty polega na tym, że parę lat pracuje się w centrali, potem parę lat na placówce, potem znów w centrali itd. Nie można więc przyzwyczajać się do stanowiska, bo pełni się daną funkcję może nie chwilowo, ale na pewno nie na zawsze. Owszem, są wyjątki. Agnieszka Wielowieyska zawsze jest dyrektorem jakiegoś departamentu i nie wyjeżdża za granicę. Jest jeszcze inny przykład, z czasów zamierzchłych – Maria Wierna, przed którą pół ministerstwa drżało, była dyrektorem generalnym MSZ w latach 1956-1968. Prawie 12 lat. I tylko minister był od niej ważniejszy, choć nie jest to wcale pewne. A teraz pytanie numer jeden do publiczności: jak długo dyrektorem generalnym będzie Henryka Mościcka-Dendys? Wcześniej była wiceministrem, jednym z sześciu. To pokazuje wagę jej stanowiska…

No dobrze, jeżeli jesteśmy przy wiceministrach i ich wielkiej liczbie, zwróćmy uwagę, że są wśród nich równi i równiejsi. I jak to zważyć?

Można np. w ten sposób. Otóż Marcin Bosacki jest sekretarzem stanu. I w strukturze MSZ odpowiada za pracę departamentów: Dyplomacji Kulturalnej i Promocji Polski, Polityki Rozszerzenia i Sąsiedztwa Wschodniego oraz – rzecz absolutnie nowa – Departamentu Komunikacji Strategicznej i Przeciwdziałania Dezinformacji Międzynarodowej.

A teraz spójrzmy na Roberta Kupieckiego, skromnego podsekretarza stanu. Otóż odpowiada on za pracę departamentów: Ameryki Północnej, Polityki Bezpieczeństwa, Polityki Zewnętrznej Unii Europejskiej, Departamentu Spraw Globalnych, poza tym pełni funkcję dyrektora politycznego MSZ.

I teraz pytanie numer dwa: kto odgrywa istotniejszą rolę w MSZ? Przez kogo przechodzą ważniejsze informacje i kto ma bardziej odpowiedzialne zadania?

W zasadzie wszystko zostało podane na tacy. Choć nie oznacza to, że Bosacki jest traktowany przez Radosława Sikorskiego mniej więcej tak, jak był traktowany Andrzej Szejna. O nie, on jest posłem na Sejm, dość dobrze zakorzenionym w strukturach partii rządzącej, czyli ma dodatkowe lewarowanie. Udziela więc wywiadów, robi mądre miny itd. Jak widać, jedni są od dyplomacji, a drudzy od opowiadania o niej.

I jest w tym logika, bo czego innego wymagamy od profesora UW i dyplomaty z przeszło 30-letnim stażem, a czego innego od byłego dziennikarza.

Za to logiki jest coraz mniej w innej dziedzinie – w strukturze organizacyjnej, która również w MSZ ciągle jest w ruchu. W coraz większym stopniu odzwierciedla ona ego ministra, a w coraz mniejszym – potrzeby dyplomacji. Otóż obecna struktura MSZ to 38 departamentów i biur. I – uwaga – w tej grupie jest pięć departamentów terytorialnych. W tym jeden łączący Afrykę, Bliski Wschód i Amerykę Łacińską…

Innymi słowy, pięć departamentów pracuje na całą resztę. Na departamenty od dezinformacji i biura od transformacji cyfrowej. I na cztery jednostki, które zajmują się obsługą samego ministra, czyli Biuro Ministra, Departament Strategii, Biuro Rzecznika Prasowego i Gabinet Polityczny Ministra.

Tak się robi, drodzy państwo, politykę.

Attaché

Pies policyjny Hulk wykrył 48 ton marihuany podczas operacji w faweli Complexo da Maré. Rio de Janeiro, 8 kwietnia 2026 r.

FOT. PABLO PORCIUNCULA /AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 41272a67e2

PENETRACJE

wysokieobcasy

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO,
POETKA, PISARKA

Krytykom kapitalizmu słowo „indywidualizm" nie kojarzy się pozytywnie. Podobnie jak kariera i konkurencja. To wszystko doprowadziło nas do obsesji, nerwic i depresji. Ich epidemia jest pochodną zmian kulturowych i gospodarczych, które dzieją są jakby same, ludzie ich w każdym razie świadomie, strategicznie nie wybierali. Dlatego staram się pamiętać, że moje potrzeby są jedynie moimi potrzebami, niczym więcej. A moja wiedza czy wyznawana przeze mnie „prawda" zapewne jest wmówioną „prawdą" mojej klasy społecznej. Przecież mówimy zawsze „skądś", z jakiegoś miejsca w historii, w hierarchii. I najczęściej mówimy „po kimś".

Press

JAN FUSIECKI,
PUBLICYSTA

Sąd nakazał Kanałowi Zero dodanie do filmów, które już zostały opublikowane w Kanale Zero, dotyczących Doroty Wysockiej-Schnepf i jej rodziny, informacji: „film jest objęty toczącym się sporem o naruszenie dóbr osobistych". Takie informacje znalazły się pod filmami i choć są pierwszym zdaniem w opisie filmu, to nie rzucają się mocno w oczy.

– Nie nazwałabym Krzysztofa Stanowskiego dziennikarzem. Nie ma warsztatu, wiedzy, nie weryfikuje informacji. Chodzi mu o efekt – możliwie największe zasięgi w internecie i zarobek. Hejt i obrzucanie ludzi błotem świetnie się oglądają. Prawda nie jest mu do niczego potrzebna. Historii nie zna. Oszczerstwa o moim teściu powtarzał za takimi pseudoautorytetami jak p. Kania.

NAUKA

PAWEŁ ORŁOWSKI,
PSYCHOLOG I NEURONAUKOWIEC

Świadomość to bez wątpienia jedna z największych zagadek wszech czasów. Choć od wieków zajmują się nią najwybitniejsi myśliciele – zarówno filozofowie, jak i naukowcy – faktycznie nie wypracowaliśmy dotąd jednej, powszechnie uznanej definicji. Jedną z najbardziej znanych propozycji zdefiniowania świadomości przedstawił filozof John Searle. Według niego świadomość to ogół subiektywnych stanów i odczuć, które towarzyszą nam od momentu porannego przebudzenia (ze snu bez marzeń sennych) aż do chwili ponownego zaśnięcia lub utraty przytomności. To ujęcie trafnie odwołuje się do naszych intuicji – sugeruje, że świadomość to po prostu ten zbiór subiektywnych doświadczeń, który każdy z nas odnajduje w sobie.

zwierciadło

AGATA TURKOT,
GWIAZDA „DOMU DOBREGO"

To, co wydarzyło się pod koniec ubiegłego roku wokół „Domu dobrego", przerosło moje wyobrażenia. Z jednej strony ogromnie mnie cieszyło, wiadomo, z drugiej było jednak bardzo dziwne, kiedy włączałam social media, przewijałam feed i widziałam albo siebie, albo Tomka [Schuchardta], albo Wojtka [Smarzowskiego] zarówno u moich znajomych, jak i u ludzi, których nie znam. To nie trwało dzień, dwa, tylko naprawdę długo. Ale jeżeli już przesyt samą sobą musiał się w moim życiu wydarzyć, to bardzo dobrze, że wydarzył się w kontekście właśnie tego filmu. Moja twarz wyskakująca z każdej lodówki nie była tak naprawdę moja, ona była twarzą dobrego tematu, zachętą do rozmowy. Tak przynajmniej starałam się to traktować.

FOT. POLSKA ORKA POLITYCZNA, SARKA FARKA (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 41272a67e2

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorką jest Anna Kamieńska.

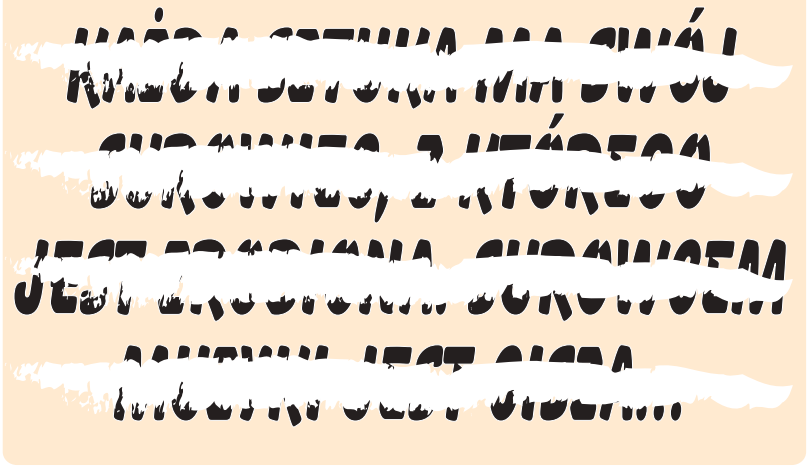

KAŻDA SZTUKA MA SWÓJ SUROWIEC, Z KTÓREGO JEST ZROBIONA. SUROWCEM MUZYKI JEST CISZA...

Aby język giętki...

PROF. EWA MARCINIAK
O WSPÓŁCZUCIU DLA RZĄDU

Karol Nawrocki przeszkadza rządowi, bo wetuje ustawy. Ale pojawia się społeczna emocja współczucia: rząd ma dobre intencje, ale nie może zrealizować swoich zadań.

ŁUKASZ WARZECHA
O PRZEMYSŁAWIE CZARNKU

Zrobienie z byłego ministra edukacji twarzy partii nie jest zmianą strategiczną, tylko pudrowaniem trądu.

AGNIESZKA DZIEMIANOWICZ-BĄK
O WALCE

Przyjęłam założenie, że jak się nie walczy, to się przegrywa zawsze.

MAGDALENA PARYS O NIEMCACH

Niemiec cały czas czuje podziw, zachwyt, strach, miłość i nienawiść do Rosji.

MAJA KOMOROWSKA O WYOBRAŹNI

Jeśli jej nie karmimy, przestaje być żywa. A twórczość bez niej jest niemożliwa. Składają się na nią pamięć, szczegóły, uważność na wszystko, co nas otacza.

AGNIESZKA SZYDŁOWSKA
O POWROCIE DO RADIOWEJ TRÓJKI

Może być otwartym zaproszeniem dla kolegów pracujących teraz w internetowych stacjach. Nie muszą zostawiać ich za sobą, a są mile widziani u nas.

MARIUSZ TRELIŃSKI
O ZAGUBIONEJ TAJEMNICY MIŁOŚCI

Miłość jest irracjonalna, ślepa i nie wiadomo, kogo ani jak trafi.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 41272a67e2

Bartłomiej Flis, Roztopy

Alex Urban, Zerwany kwiatuszek

Kwiato-stany

Motyw kwiatu, obecny w sztuce od wieków, poprzez zebrane na wystawie prace, m.in. Edwarda Dwurnika, Maurycego Gomulickiego, Andrzeja Kuliga, Agnieszki Liber, Alicji Pakosz czy Erny Rosenstein, zostaje odczytany na nowo jako nośnik pamięci, kodów kulturowych i nieoczywistych komunikatów. Twórcy eksplorują jego symbolikę – od delikatności i piękna po przemijanie, stratę i ambiwalencję uczuć.

Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej Elektrownia
Radom, ul. Kopernika 1
do 17 maja

Marcin Janusz, Człowiek z cukru

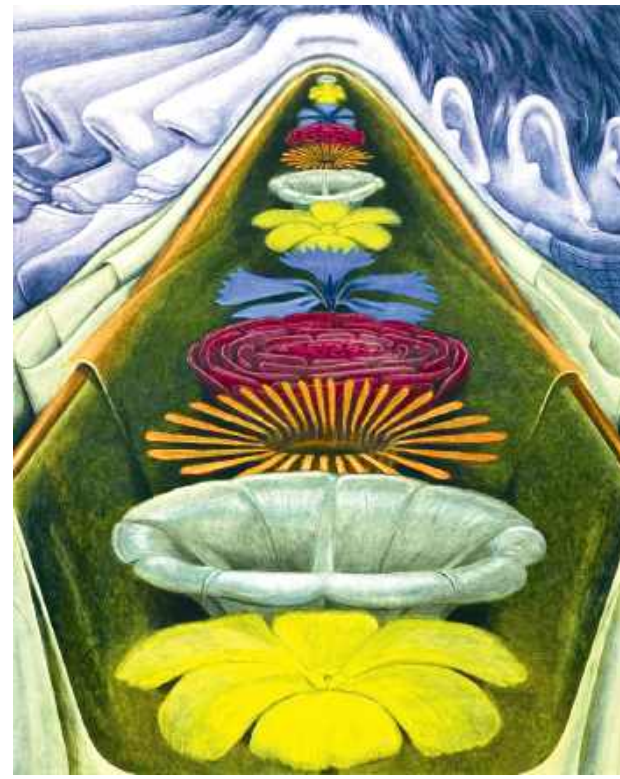
Krzysztof Grzybacz, Colour of the eyes

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 41272a67e2

SEZON 2025/2026

REPERTUAR TCN

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

MIODOWA 22/24
KASA TEATRU CZYNNA STACJONARNIE:
OD WT. DO PT. W GODZ. 15:00 – 19:00
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA
W SOBOTY W GODZ. 15:00 – 17:00
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA

MOŻNA SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z NAMI RÓWNIEŻ
TELEFONICZNIE: 662 155 960
MAILOWO: KASA@E-AT.EDU.PL
OD WT. DO PT. W GODZ. 11:00 – 19:00
W WEEKENDY W GODZ. 13:00 – 17:00
TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

MAJ 2026

RÓZIA
REŻ. JACEK BRACIAK

05	06	15	16	
WTOREK 19:30	ŚRODA 19:30	PIĄTEK 19:30	SOBOTA 19:30	SALA IM. J. KRECZMARA

SCHODY, SCHODY, SCHODY
REŻ. WOJCIECH FARUGA

08	09	26	27	28	
PIĄTEK 19:00	SOBOTA 19:00	WTOREK 19:00	ŚRODA 19:00	CZWARTEK 19:00	SCENA GŁÓWNA

„FORMAT" DLA CIEBIE

09 SOBOTA 12:00 – 19:00

DZIEŃ OTWARTY FILII W BIAŁYMSTOKU

SPEKTAKLE DLA DZIECI I DOROSŁYCH

DON GIOVANNI
REŻ. CEZARY TOMASZEWSKI

13	14	
ŚRODA 19:00	CZWARTEK 19:00	SCENA GŁÓWNA

Fot. Zuzanna Mazurek

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA

Patroni medialni: chilli zet, Przegląd, nami

Partnerzy Teatru: biletomat PBG

eprasa.pl 41272a67e2

TEATR CAPITOL

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY

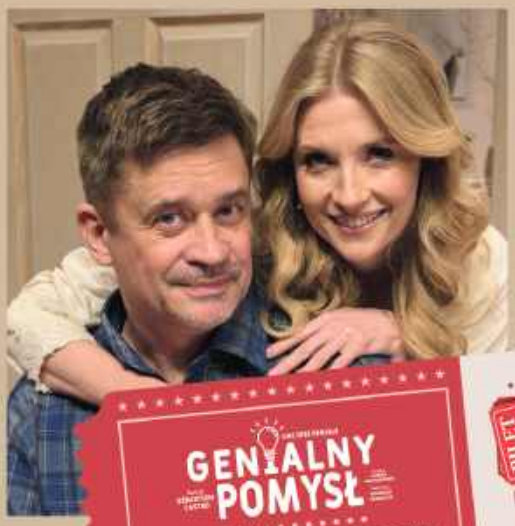

GENIALNY POMYSŁ

1 maja | piątek | godz. 18:00 | Duża Scena

BILET • KUP www.teatrcapitol.pl

Kiedy kota nie ma...

2 maja | sobota | godz. 19:00 | Duża Scena

12 lat kultowego Kota!

Urodzinowy tort i welcome drink w cenie biletu.

BILET • KUP www.teatrcapitol.pl

SKOK W BOK

2 maja | sobota | godz. 19:30 | Scena Mniejsza

BILET • KUP www.teatrcapitol.pl

Boeing Boeing

3 maja | niedziela | godz. 17:00 | Duża Scena

BILET • KUP www.teatrcapitol.pl

Mamy Twój BILET na majówkę!

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 41272a67e2